

# CRACOVIA LEOPOLIS

KWARTALNIK

ISSN 1234-86000

500. rocznica urodzin Mikołaja Reja



# 2

(42) 2005

Rozmowa z J. Wasylkowskim ♦ Wspomnienia A. z Chwistków Dawidowiczowej, A. Trojanowskiego, T. Olszańskiego ♦ Prof. Z. Żygulski jun. o arch. Marii Lilien ♦ O doktorze Kubasie ♦ O rodzinie Agopsowiczów ♦ P.M. Stański o lwowskich i krakowskich bibliotekach ♦ Wiersze K. Kołtuna ♦ O klimacie, harcerstwie, zabytkach i plastykach ♦ O Encyklopedii Kresów

---

## WIDACTWO

Afera związana z tzw. *mieniem zabużańskim* jest ogólnie znana od lat. Afera? A jak inaczej nazwać uporczywe i niegodne odmawianie części społeczeństwa – części najbardziej przed laty poszkodowanej (nie tylko materialnie) i bardzo już przereźdzonej – prawa do własności, którą bez własnej winy i woli utraciła w wyniku II wojny światowej? W tle owej afery istnieje moc nieporozumień zupełnie podstawowych – jedne wynikają z niewiedzy o tym, co wydarzyło się naprawdę, inne ze złej woli rodaków „z centralki” – tak nazywają centralną Polskę, z Warszawą na czele, osiedleńcy na ziemiach zachodnich.

To, co się wydarzyło, jest całkiem jednoznaczne, jakby tego nie oceniał. Oto Państwo Polskie po II wojnie utraciło ziemie wschodnie, a otrzymało zachodnie. Jak i dlaczego to się stało i komu to *zawdzięczamy*, to całkiem inne sprawy – teraz rozmawiamy o faktach. Mówiąc więc brutalnie: terytorialnie nasze państwo jako całość niewiele straciło (niech nam bracia ekspatrianci wybaczą takie sformułowanie, ale ono jest potrzebne do logicznego wywodu). Skoro więc nie straciło państwo, to oczywiście przesiedlani obywatele powinni odebrać w nowym miejscu to, co stracili w starym. Pomińmy w tej chwili wszystkie osobiste tragedie ludzi wyrzuczonych i wysłanych – z cudzej woli – na obce sobie terytorium. Dramat utraty małej ojczyzny i budowanej przez wieki kultury narodowej – to też inny temat.

I cóż z tego, że to takie logiczne? Władza komunistyczna postanowiła przy okazji upiec swoją polityczną pieczeń: dla ludności wiejskiej założyć od razu kolchozy i sowchozy (czyli po polsku spółdzielnie produkcyjne i PGR-y), korzystając z przymusowej sytuacji, w jakiej znalazły się ekspatrianckie masy, z ich totalnej dezorientacji i poczucia zagubienia. W ustabilizowanej – mimo wojny – „centralce” nie poszłoby tak gładko, więc z tego zrezygnowano. Tu (w ogromnej większości) ludzie dalej siedzieli na swoim. W nowo pozyskanych zachodnich miastach władza przejęła od razu całą zabudowę, nie przyznając przybyszom żadnych praw, które – przynajmniej formalnie – nadal zachowali mieszczenie w całej „centralce”. I tylko jakaś cząstka ekspatriantów zasłużyła otrzymaną godną dla siebie miejsca zamieszkania (np. niektórzy profesorem, ludzie kultury), pewnej liczbie udało się „urządzić” (wcale nie tylko przesiedlonym ze Wschodu, także różnej maści spryciarzom z Polski centralnej). To był jednak margines.

Całkiem przegrani zostali ci, których los rzucił na tereny Polski centralnej, do Krakowa, Lublina, do odbudowującej się Warszawy czy Poznania, do setek mniejszych miast i miasteczek. Tam o żadnej rekompensacie nawet nie myślano. Sami musieli się przebijać przez morze obojętności, czasem jawnej niechęci. I budować swoje życie na nowo.

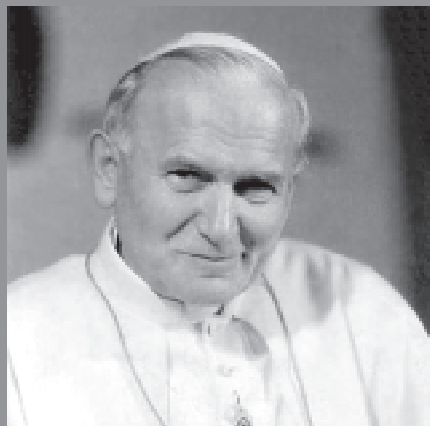
Komunistyczny reżim szczęśliwie po kilkudziesięciu latach upadł, problem więc odżył. Skoro swoje domy odzyskują właściciele w miastach (gorzej w Warszawie – tam z innej przyczyny wszystko się pomieszało), to powstaje pytanie: dlaczego nie mają ich odzyskać wysiedleni właściciele ze Lwowa czy Wilna, z Grodna, Łucka, Stanisławowa czy Tarnopola? Jeżeli nawet część ziemian odzyskuje w „centralce” swoje dwory i pałace (co prawda bez ziemi, bo tę w prezencie od komuny dostali chłopci, jeszcze potęgując katastrofalne rozdrobnienie ziemi) – to dlaczego wygnańcy ze wschodu nie mogą dostać ekwiwalentu na zachodzie? Słyszymy, że tam popegeerskie ziemie leżą odłogiem.

# BYŁ Z NAS I DLA NAS

Odszedł od nas Jan Paweł II. „Nasz Papież”. Był z nas i dla nas. Wskazał nam wartość odwagi i prawdy. Obudził nas z drętwoty komunizmu. Rzesze, które towarzyszyły Jego pielgrzymkom do Polski, to nie były już pozbawione twarzy tłumy. To byli ludzie; każdy z nas, pojedynczy człowiek, który poczuł się obywatelem wolnego kraju. Podając sobie ręce w czasie mszy św. czuliśmy, że nie jesteśmy sami, że jesteśmy razem, że łączy nas zwykła ludzka solidarność. Jego wołanie w Warszawie – Niech zstąpi duch Twój i odnowi oblicze Ziemi, tej Ziemi – było wołaniem do Boga, do wszystkich Polaków i do każdego z nas. Można powiedzieć, że za sprawą jednego człowieka odkryliśmy siebie samych; nasze dążenia i pragnienia. Ale Jan Paweł II nie był tylko dla nas; był także dla całego świata i światu pokazał polskie oblicze. Oblicze mądrości, dobroci i miłosierdzia, a równocześnie też i zdecydowanego dążenia do wolności. Ukazał to wszystko, co w latach zniewolenia było głęboko ukryte w naszych sercach, ukazał całemu światu. Będziemy jeszcze przez długie lata korzystać z Jego nauk; z Jego legendy, która pozostanie dla tych, którzy przyjdą po nas.

A nasz lwowski ślad w Jego życiu: wyniósł na ołtarze arcybiskupa Lwowa, Józefa Bilczewskiego, który z kolei wyświęcił na biskupa Bolesława Twardowskiego; ten udzielił sakry biskupiej Eugeniuszowi Baziakowi, który musiał opuścić Lwów, a po śmierci kardynała Sapielhy objął archidiecezję krakowską i tu wyświęcił na biskupa księdza Karola Wojtyłę, czyli Jana Pawła II.

Barbara Czalczyńska



BIJCIE DZWONY  
PŁYŃCIE ŁZY  
PONTIFEX MAXIMUS  
MORTUS EST

„Weź krzyż swój  
i pójdz za mną”...

Idą  
Ojciec Pio  
Matka Teresa  
Jan Paweł Wielki

ogromnieje rzeka  
ludów i narodów  
rozstępują się fale  
mórz czerwonych  
karleją królestwa szatana

Idą  
światło w mroku  
drogowskazy na bezdrożach...

Dobry Boże  
w te smutne dni refleksji  
i żalu  
po Świętym Pasterzu  
obdarz i nas maluczkich  
łaską  
krzyżyków mniejszych  
prowadzących do celu  
za Nim  
drogą cierni i miłości  
którą nam wskazał...

Bogusław Stanisław Kasprowicz  
Lwów – Bytom

Wadowice, 6 kwietnia 2005  
Wpis do księgi kondolencyjnej

## REFLEKSJE PIELGRZYMA KRESOWEGO

Byłem na Kresach kilkakrotnie i cieszę się, że było to możliwe, że stało się faktem, ponieważ poczynając od wczesnej młodości – zwłaszcza po lekturze *Trylogii* Sienkiewicza i *Pana Tadeusza* – zawsze pragnąłem zobaczyć miejsca o szczególnym znaczeniu dla Polski, mojej Ojczyzny. Pragnąłem zobaczyć i poznać miejsca, w których rozgrywały się wielkie bitwy lub dokonywały zdarzenia rozstrzygające o losie Polski. Czyli zobaczyć i poznać te miejsca, gdzie Polacy i inni obywatele państwa polskiego angażowali w twórczy sposób swoje talenty, uzdolnienia i umiejętności w budowaniu dobra wspólnego, w tworzenie znakomitych dzieł, które są wyrazem prawdziwej kultury, a więc tej rzeczywistości, która jest właściwa człowiekowi jako wyraz człowieczeństwa, która go uszlachetnia i przypomina mu o jego wielkiej godności. Godności nadanej mu przez samego Stwórcę.

Odwiedzanie i zwiedzanie Kresów daje Polakowi okazję i wręcz skłania go do rozważań na temat przebiegu zdarzeń historycznych, które wiążą się mniej lub więcej ściślej z Polską dawną i współczesną. Kresy skłaniają również do refleksji nad przebiegiem zdarzeń i procesów dziejowych, które rozstrzygały i rozstrzygają nadal o losie narodów i państw. Ale też o losie rodzin i wielu innych społeczności ludzkich, co ma oczywiście decydujący wpływ na kształtowanie się losu poszczególnych jednostek, które do tej oto rodziny, do tej oto społeczności, do tego oto narodu czy państwa przynależą.

Ten rodzaj rozważań prowadzi do rozważań o szerszym zasięgu: historycznych i ściślej filozoficznych, w nich zaś zwłaszcza i przede wszystkim – etycznych. Chrześcijanin, pragnący być chrześcijaninem świadomym i autentycznym, nie może zwolnić się z badań, których przedmiotem są te same zdarzenia i procesy widziane w świetle prawd i kryteriów teologicznych.

Jeśli Kresom i ich dziejom przypatruje się Polak ceniący i kochający swą Ojczy-

znę, nie może nie stawiać pewnych konkretnych pytań i nie szukać na nie odpowiedzi. Do takich pytań zaliczam przede wszystkim następujące:

Jak to się stało, że Polska Rzeczpospolita Obojga Narodów w stosunkowo krótkim czasie uległa takiemu osłabieniu, tak wielkiej degradacji, że trzy sąsiednie państwa o zapędach imperialnych mogły sobie pozwolić na tak spektakularną i zbrodniczą grabież, jaką były poszczególne rozbiory? Jak mogło dojść do tego, że tak wielkie państwo, państwo wielowiekowych tradycji, państwo o ogromnym dorobku kulturowym, mogło zniknąć z map Europy? Szukając odpowiedzi na te pytania, sprawą istotną jest dociekanie mającej za cel znalezienie przyczyn, które do takich właśnie skutków doprowadziły.

Wnikliwe studium dziejów ojczystych przyczyny te odkrywa i wyraźnie wskazuje wszystko to, co doprowadziło do takiej słabości państwa, że próby ratowania go nie przyniosły oczekiwanych skutków, nie ocaliły Polski. Były spóźnione, nie udało się wprowadzić w życie koniecznych reform. Nad Polską zapadły mroki porzobiorowej niewoli.

Heroiczny patriotyzm wielu pokoleń Polaków, patriotyzm nie cofający się przed największymi ofiarami oraz mądrość i wysiłek szlachetnych i wielkich duchowo przywódców, przyniosły wreszcie bezcenny owoc odzyskanej niepodległości. Niestety tylko na dwadzieścia lat.

Zniszczona przez dwa totalitaryzmy Polska nie może otrząsnąć się z tragicznych następstw degradacyjnych działań obydwu okupantów, niemieckiego i sowieckiego. Z wielkim trudem podąża do koniecznej we wszystkich istotnych dziedzinach życia równowagi. Wciąż pojawiają się wielorakie trudności, z którymi trudno sobie poradzić.

Czy Polacy rozumieją prawdę, że rozkład życia narodów i państw zaczynał się i zaczyna od lekceważenia zasad etycznych i moralnych, od lekceważenia norm, które obowiązują każdego człowieka w każdym

czasie? Czy Polacy rozumieją, że budowanie zdrowych duchowo społeczności ludzkich powinno się zaczynać od przyjęcia za fundament życia takich właśnie norm?

Oby dziś i później Polacy potrafili rozpoznać tych fałszywych proroków i deprawatorów, którzy umieją udawać dobroczyńców i ludzi nieskazitelnych. Oby rozpoznałszy ich, potrafili przeciwstawić się szerzonej przez nich wielopostaciowej destrukcji. Destrukcji szerzonej za pomocą podstępnych metod działania. Dlatego szczególnie niebezpiecznej.

Polska wciąż potrzebuje mądrych i uczciwych wychowawców oraz podobnie mądrych i uczciwych przywódców, którzy poprowadzą naród i państwo ku prawdziwym i godnym człowieka wartościom.

28 I 2005 r.

Powyższy piękny i mądry tekst nadszedł do nas... z Tirany, gdzie Autor czasowo przebywa. W przewodnim liście Książd napisał m.in.:

*... Przedstawiam tekst o zabarwieniu patriotycznym. Podejmuję w nim próbę zachęcenia Czytelników do takiej refleksji, która owocuje rzetelnym miłowaniem Ojczyzny i taką postawą życiową, która skutecznie przyczynia się do czynów wspomagających odradzanie się Polski i jej zdrowy rozwój...*

Serdecznie dziękujemy. Szczęść Boże w albańskiej misji!

**30 marca 2005 r. zmarł w Krakowie**

**śp.  
prof. dr ANDRZEJ OLSZEWSKI**

Urodzony w r. 1930 i wychowany we Lwowie, absolwent UJ, historyk sztuki; 1958–1986 pracownik naukowy w Katedrze Historii Architektury Polskiej PK, 1986–2000 profesor Akademii Pedagogicznej w Krakowie. Wybitny specjalista w zakresie sztuki sakralnej polskiego średniowiecza.

W latach 1995–1999 był członkiem Rady Redakcyjnej „Cracovia-Leopolis”  
W następnym numerze zamieścimy wspomnienie o Andrzeju.

Żonie i Córce Zmarłego składa bardzo serdeczne wyrazy współczucia i żalu  
Redakcja Kwartalnika CRACOVIA-LEOPOLIS

**Tadeusz Czerny**

## **WYKONYWAŁ CZYNY ZWYCZAJNE W SPOSÓB NADZWYCZAJNY**

*Sługa Boży Wenanty  
Katarzyniec (1889–1921)*



Kilka miesięcy temu minęło 115 lat od jego urodzenia. W swoich notatkach zapisał: *Wszystkie moje starania mają zmierzać do tego, aby się Panu Bogu podobać.* Kim był ten młody, cichy i skromny zakonnik, którego doczesne szczątki spoczywają w podziemiach kościoła w Kalwarii Paclawskiej? Czy jego postać i styl życia mogą coś powiedzieć współczesnemu człowiekowi?

Urodził się 7 października 1889 r. we wsi Obydów, należącej do parafii Kamionka Strumiłowa (archidiecezja lwowska). Na chrzcie otrzymał imię Józef. Rodzicami jego byli małorolni wieśniacy Jan Katarzyniec i Agnieszka z domu Kozdrowicka.

W rodzinnym Obydowie zaliczył trzy klasy szkoły ludowej. Dalej uczył się przez 3 lata do szkoły w Kamionce Strumiłowej. W 1903 r. ukończył szkołę i chciał się dalej kształcić, bo pragnął zostać kapłanem.



Wszelkie jednak projekty rozbijały się o ubóstwo rodziców, którzy w końcu zdecydowali się posłać syna do szkoły wydziałowej w niedalekim Radziechowie. Utrzymywał się tam z udzielania korepetycji, zaś wolny czas spędzał na czytaniu książek dostarczanych mu przez dyrektora szkoły. Ukończył ją po roku ze świadectwem celującym.

W 1904 r. podjął dalszą naukę w seminarium nauczycielskim we Lwowie. W czasie wakacji w 1907 r. zgłosił się do oo. Franciszkanów z prośbą o przyjęcie do zakonu, jednak tamtejszy prowincjał polecił mu najpierw ukończyć szkołę. W roku następnym, po zdaniu matury, został przyjęty i przybrał zakonne imię Wenanty. Po rocznym nowicjacie złożył pierwsze śluby zakonne i wyjechał do Krakowa, gdzie w klasztorze swego zakonu odbył studia filozoficzno-teologiczne. Tam też w 1912 r. złożył śluby wieczyste, a 2 czerwca 1914 r. otrzymał święcenia kapłańskie.

W czasie wakacji 1914 r. wyjechał do Obydowa, by w swej rodzinnej wsi odprawić

prymicje. Tu zastał go wybuch I wojny światowej. Gdy z trudem przedostał się do Lwowa, został przydzielony do pracy duszpasterskiej w Czyszkach, parafii położonej 12 km na wschód od Lwowa. Po rocznej pracy duszpasterskiej odwołano go do Lwowa i powierzono – mimo młodego wieku – obowiązki magistra nowicjatu – wychowawcy młodzieży zakonnej. Ten ważny i trudny obowiązek pełnił przez 5 lat (1915–20). Wśród wiernych o. Wenanty zasłynął jako gorliwy zakonnik, doskonały kaznodzieja i niezmordowany spowiednik.

Ojciec Wenanty był słabego zdrowia, ze skłonnością do gruźlicy płuc. Od 1918 r. jego stan zaczął się pogarszać. Rozwój choroby wstrzymywały krótkie odpocynki w Hanańczowie lub Kalwarii Paclawskiej. Niestety stały postęp gruźlicy uczynił go niezdolnym do pracy wychowawczej i w końcu musiał pozostać w Kalwarii Paclawskiej na stałe. Tam 31 marca 1921 r. o godz. 6 wieczorem zakończył swoje godne życie. Ciało złożono na miejscowym cmentarzu, jednak rosnący kult świątobliwego kapłana spowo-

## Naszym zdaniem

### Prawda obowiązuje wszystkich...

Przyjmujemy jako rzecz oczywistą różnicę między osobami – zwłaszcza na wysokich szczeblach – świeckimi i duchownymi. Osoby świeckie wysoko postawione to zazwyczaj politycy, których wypowiedzi i działania są (ale nie muszą być) dyktowane polityką, koniunkturą i wcale nie muszą być mądre, choć przekonująco podawane.

Inaczej osoby duchowne. Z samej istoty naszej wiary wynika, że ich słowo przyjmujemy jako prawdę. Czasem duchowni wychodzą jeszcze dalej – poza swoje duszpasterstwo i teologię – są filozofami, historykami, znają się na sztuce, bywają poetami. To, co czynią w tych dziedzinach, wzbogaca ich i naszą wiarę i wiedzę. Wtedy także w sprawach ziemskich w uwagę słuchamy ich wypowiedzi. Pod warunkiem, że ich kompetencje są niekwestionowane.

Dlatego smutek ogarnia, gdy padają słowa, które nie świadczą o żadnej wiedzy ani wyczuciu, a tylko o całkiem doraźnych intencjach, obliczonych na aplauz ze strony tego, do którego owe słowa są kierowane, nie bacząc (albo nie wiedząc), że godzą w prawdę i godność tych, w których imieniu (?) są wypowiedzane.

Z ogromną przykrością trzeba więc zwrócić uwagę na słowa, jakie padły ze strony ks. kardynała Józefa Glempa w liście\* do kard. Huzara, głowy Cerkwi grekokatolickiej. Oto nasz dawny prymas\*\* w tekście stosownym do dialogu dwóch dostojników kościelnych, napisał m.in.: *Prawda jest nieraz bolesna. Uparte polonizowanie ruskiej ludności dzisiejszej Ukrainy poprzedzało rusyfikację, co było ogromną krzywdą dla ludności zamieszkującej Ukrainę.* [...]

Eminencjo! Im wyższe stanowisko – nade wszystko w Kościele – tym większej odpowiedzialności za słowa należy oczekiwać. Zdajemy sobie sprawę, że dostojnik nie musi znać historii (nie tak dawnej zresztą), ma od tego doradców czy sekre-

dował, iż w 1950 r. jego doczesne szczątki przeniesiono do podziemi kalwaryjskiej świątyni. Równocześnie podjęto proces kościelny, a następnie – w Rzymie – właściwy proces beatyfikacyjny.

Ojciec Wenanty Katarzyniec przez całe swe zakonne i kapłańskie życie był uważany za świętego. Jego przełożeni, profesorowie, współbracia zakonnicy, ludzie świeccy – uważali go za wzór postępowania. Opinię świętości potwierdziły widoczne znaki, odbierane przez wielu, którzy uciekali się i nadal uciekają pod jego opiekę w swych potrzebach duchowych i doczesnych.

Może powstać pytanie, czy tak krótkie życie, jakie było dane o. Wenantemu, oraz jego odcięcie od świata murem klasztornym – może być wzorem dla współczesnego człowieka? Odpowiedź na to dał o. Maksymilian Kolbe, serdeczny przyjaciel Wenantego:

**Życie to dowiodło, iż ideał doskonałości zakonnej jest osiągalny w stopniu heroicznym w najwykleszych warunkach i przy wykonywaniu najprostszyc**

**czynności. Wykonywał bowiem swe obowiązki starannie i dokładnie, praktykował głębokie skupienie, był stale tam, gdzie trzeba było pomóc, zastąpić innych, wykonać niemiłe zajęcie, spełnić wiernie obowiązki nawet z narażeniem swego zdrowia. Wykonywał czyny zwyczajne w sposób nadzwyczajny.**

Opracowano na podstawie tekstów o. Edwarda Staniukiewicza i br. Andrzeja Zajęca.

*Od kilku lat w marcu, w rocznicę śmierci Sługi Bożego Wenantego, oraz na sierpniowym odpuszczeniu w Kalwarii Paclawskiej spotykają się młodzi franciszkanie z całego kraju i wierni z obu stron kordonu na modlitwę o Jego beatyfikację. Warto, by i środowiska TMLiKPW włączyły się do tego dzieła, tym bardziej że letnią pielgrzymką do Kalwarii Paclawskiej można połączyć ze zwiedzeniem tej części Bieszczad, Przemyśla, zamków w Krasiczynie i Lesku, a także ważnych dla polskości miejscowości tuż za kordonem: Dobromiła, Felsztyna, Chyrowa, Turki. Bardzo zachęcamy.*

tarzy. Po ludzku rzecz rozpatrując, można sobie wyobrazić, że ktoś pisze, a ktoś to weryfikuje, mając na uwadze powagę dostojnej Osoby. Ktoś się więc może nie spisał?\*\*\*

Przechodząc do rzeczy: *nie jest prawdą uparte polonizowanie ruskiej ludności*. Najlepszy dowód, że w ciągu sześciu wieków polskości naszych ziem wschodnich, czyli Małopolski Wschodniej lub Wołynia – ruska mniejszość narodowa w Polsce nie spolonizowała się – bo nikt jej do tego nie zmuszał. Przeciwnie – magnaci budowali im cerkwie. Spolszczyła się ruska arystokracja i szlachta, bo tak było bliżej do dworu królewskiego (a zajęli najwyższe stanowiska!). Jakże więc porównać z polską tolerancją – Anglię, która zdołała wprowadzić bez reszty swój język w Szkocji, Walii, nawet Irlandii? Albo Francję – w Bretanii, Alzacji, Lotaryngii? Albo Rosję, która na wschodniej Ukrainie, nawet w stolicy – Kijowie, narzuciła rosyjski język? Polska nawet nie próbowała, bo perspektywiczne patrzenie było jej niestety obce (i tak do dziś...).

U nas było więc o d w r o t n i e. Dopiero arcybiskup Józef Bilczewski – dziś już święty – na początku XX w. zwrócił uwagę na katastrofalny brak kościołów na Podolu, bo jego poprzednicy nie dbali o to. Polacy chodzili więc z konieczności do cerkwi, a to zaowocowało oczywiście rutenizacją. Akcja budowy niezbędnej sieci kościołów była spóźniona o paręset lat.

Tamto jednak było zaniedbanie, a nie działaniem celowym. A teraz?

Właśnie t e r a z, w naszych czasach, ludzie naszego Kościoła – chyba nie z własnej inicjatywy, ale z uporem godnym lepszej sprawy – pracują nad wynarodowieniem niedobitków polskich w państwie Ukraina. I to nie tylko tam daleko, na prawdziwej Ukrainie, ale i na ziemiach przez sześć wieków polskich. Liczni (choć nie wszyscy) nadgorliwi księża i zakonnice, przysyłani z Polski, likwidują msze i katechezę po polsku, nawet tam, gdzie zgłaszane są sprzeciwy wiernych. Niegodziwość – nie możemy nie użyć tego słowa –

*dokończenie na s. 11*

# Piotr Marek Stański

## PRYWATNE ZBIORY BIBLIOTECZNE LWOWA I KRAKOWA

### Ossolińscy i Baworowscy oraz Czartoryscy

Założycielem Zakładu Narodowego im. Ossolińskich, popularnie zwanego Ossolineum, był pochodzący z tego rodu Józef Maksymilian, pisarz, historyk i kolekcjoner, pod koniec życia osiadły w Wiedniu, gdzie przez czas jakiś piastował nawet stanowisko prefekta nadwornej biblioteki. Przede wszystkim jednak poświęcił się gromadzeniu polskich rękopisów i starodruków. Wspomagali go w tym przedsięwzięciu Samuel Bogumił Linde oraz Jerzy Samuel Bandtke. Powziąwszy decyzję o przekazaniu swoich zbiorów społeczeństwu galicyjskiemu, rozważał kolejne ulokowanie ich w Krakowie, Zamościu (dopóki należał do Austrii), Tarnowie, by ostatecznie wybrać Lwów. W tym celu ustanowił w 1817 roku fundację, zakładającą utworzenie biblioteki, towarzystwa naukowego, wydawnictwa i drukarni, do których dołączyło następnie muzeum, będące darowizną Lubomirskich, którzy w zamian stali się dziedzicznymi kuratorami literackimi zakładu.

Po śmierci Ossolińskiego kolekcja przewieziona została z Wiednia do Lwowa przez Gwalberta Pawlikowskiego, skądinną również założyciela prywatnej biblioteki w rodowej Medyce. Na potrzeby nowej placówki zakupiono zabudowania dawnego kościoła i klasztoru karmelitanek trzewiczkowych, zdewastowane wskutek pożaru wojskowych magazynów, jakie tam urządzono po kasacie zakonu. Adaptacji obiektu do nowych funkcji podjął się społecznie Józef Bem, przebywający właśnie we Lwowie. Zanim ją ukończono, już w 1827 r. Ossolineum rozpoczęło działalność, a jego

pierwszy dyrektor, ksiądz **Franciszek Siarczyński**, przystąpił do wypełniania statutowych obowiązków od publikacji biuletynu *Czasopism Naukowy Księgozbioru Publicznego im. Ossolińskich* (na marginesie należy zauważyć, że z początku zaborcze władze nie zgadzały się na umieszczenie określenia *narodowy* w nazwie instytucji). Jego następca **Konstanty Słotwiński** otworzył 6 września 1832 roku czytelnię, wprowadził katalog kartkowy, wreszcie uruchomił drukarnię, spod której prasy zaczęły wychodzić również nielegalne publikacje patriotyczne (w tym *Księgi narodu polskiego i pielgrzymstwa polskiego* A. Mickiewicza), opatrywane fałszywymi datami i miejscami wydań (najczęściej dla zmylenia zaborcy wskazywano Warszawę, Paryż czy Lipsk). Pomimo tego fortelu ich nagłe i liczne pojawienie się wzbudziło podejrzenie, iż drukowane są na miejscu. Dwie kolejne rewizje w siedzibie Ossolineum doprowadziły w 1834 r. do aresztowania i skazania Słotwińskiego na osiem lat twierdzy w tyrolskim Kufsteinie oraz zamknięcia placówki na okres pięcioletni. Do jej reaktywowania doszło pod kierownictwem **Adama Kłodzińskiego**, który w 1842 roku wznowił wydawanie biuletynu, w środkowej części gmachu – tzw. rotundzie – urządził galerię sztuki, a sześć lat później przywrócił do życia czytelnię i drukarnię. Dla pozyskania niezbędnych funduszy wynajął pomieszczenia Zakładu na posiedzenia Stanów Galicyjskich. Ossolineum bardzo szybko stało się ośrodkiem życia naukowego i kulturalnego Lwowa, a znajdujące się na jego terenie salony w mieszkaniu Kłodzińskiego gościły na wtorkowych wieczorach takie znakomitości, jak Kornel Ujejski czytający swoje utwory czy improwizujący na fortepianie Franz Liszt w czasie pobytu w 1847 r.

W okresie Wiosny Ludów do szacownej instytucji wdziera się polityka: odbywają się tu wiece, a na dziedzińcu ćwiczenia z musztry przeprowadza świeżo utworzona Gwardia Narodowa. W obliczu ostrzału artyleryjskiego miasta ze wznoszącej się nad Ossolineum cytadeli Kłodziński wszedł w skład delegacji pertraktującej z generałem Wilhelmem Hammersteinem warunki kapitulacji, ale po ostatecznym stłumieniu dążeń wolnościowych utracił posadę. Wszelako tym razem nie zamiera działalność Zakładu i to pomimo naznaczenia przez władze komi-

Józef Maksymilian Ossoliński.  
Portret olejny J. Maszkowskiego





sarza w osobie Maurycego Dzieduszyckiego. Faktycznie zarządzający biblioteką **Jan Szlachetkowski** wprowadził nowatorskie jak na owe czasy uporządkowanie księgozbioru w oparciu o tzw. *numerus currens*, czyli następstwo bieżących wpływów inwentarowych, w przeciwieństwie do powszechnego wtedy podziału tematycznego. Natomiast kolejny dyrektor **August Bielowski** podjął się reedycji *Słownika Języka Polskiego* Lindego, a ponadto zainicjował wydawanie serii historycznych tekstów źródłowych – *Monumenta Poloniae historica*. Pełną stabilizację osiągnął Zakład pod rządami **Wojciecha Kętrzyńskiego**. Trzon nieustannie wzbogacanych zbiorów stanowią cenne manuskrypty (np. kronik Galla Anonima i Wojciecha Kadłubka) oraz inkunabuły, do których dołączają skupywane autografy twórców dzieł nowożytnych (np. J. Słowackiego, które posłużyły Juliuszowi Kleinerowi do pomnikowego wydania jego dzieł). Już w dobie galicyjskiej autonomii Ossolineum otrzymało w 1878 r. przywilej na wyłączną publikację polskich podręczników, ale nie uzyskało prawa do egzemplarza obowiązkowego druków z terenu austriackiego zaboru. Mimo tego mogło się pochwalić najpełniejszym do I wojny światowej zasobem polskich czasopism. Jego zbiory powiększały się też dzięki darowiznom, jak np. biblioteka Pawlikowskich (potomków wspomnianego na początku Gwalberta), stanowiąca odrębny dział, również w sensie lokalizacji (udostępniona w 1921 r. w budynku przy ulicy Trzeciego Maja 5), czy archiwa gminy ormiańskiej oraz Towarzystwa Sztuk Pięknych. W wolnej już Polsce przyznano Ossolineum prawo do egzemplarza obowiązkowego wszelkich tytułów prasowych, ukazujących się na terenie całego kraju (rocznie dostarczano ich około dwa tysiące). Powetowano też sobie utratę monopolu podręcznikowego poprzez zawarcie umowy z rodziną Sienkiewicza na wyłączność publikacji jego dzieł. W 1932 r. Zakład przejął od zbankrutowanej Krakowskiej Spółki Wydawniczej *Bibliotekę Narodową*, serię krytycznych opracowań polskiej i obcej klasyki literackiej, co w zmienionych warunkach kontynuuje do dziś. Symbolicznym wydać się może, iż na terenie biblioteki zmarli pierwszy i ostatni lwowski dyrektor Ossolineum – **Ludwik Bernacki**, którego w czasie wrześniowego



oblężenia miasta w roku 1939 pochowano w ogrodzie przylegającym do gmachu od strony cytadeli.

Zbiory Czartoryskich, jakkolwiek starsze od fundacji Ossolińskich, znacznie później udostępnione zostały publiczności. Ich zaczątkiem były kompletowane od roku 1731 księgozbiory pałacowe Aleksandra Augusta w Puławach, Warszawie (gdzie w 1770 r. skatalogował je Franciszek Karpiński), Sieniawie i Paryżu. Najprężniej spośród nich rozwijała się kolekcja puławska, a to za sprawą wnuka założyciela – Adama Jerzego – oraz jego żony Izabeli z Flemingów, która z myślą o swojej Świątyni Sybille i Domku Gotyckim gromadziła autografy sławnych ludzi (m.in. listy Mikołaja Kopernika, Josepha Haydna, Ludwiga van Beethovena, Tadeusza Kościuszki, pierwszych amerykańskich prezydentów). W czasie Powstania Listopadowego, w które zaangażowali się Czartoryscy, aby uchronić bibliotekę przed grożącą jej ze strony Rosjan konfiskatą, wysłano nawet w czerwcu 1831 r. specjalną ekspedycję wojskową, zw. biblioteczną. To, co udało się ocalić, przewieziono do Sieniawy oraz Hotelu Lambert, paryskiej siedziby duchowego przywódcy Wielkiej Emigracji, który w testamencie zobowiązał swego syna Władysława do zebrania kolekcji w jednym miejscu i oddania na użytek narodu. W rzeczywistości już od dłuższego czasu sprawował on nad nimi pieczę, a w 1874 r., wykonując wolę ojca, sprowadził książki i eksponaty muzealne do Krakowa i umieścił je w ofiarowanych przez miasto budynkach Arsenалу i domu popijarskiego oraz połączonych z nimi przewiązką, a należących do Czartoryskich kamienicach przy ulicy św. Jana. Po upływie dwóch lat otwarto je dla zwiedzających i czytelników. Jak w większości prywatnych kolekcji ozdobiły także i tej stanowią bogato iluminowane rękopisy (kroniki Jana Długosza, pisma George'a Byrona, Adama Mickiewicza, Cypriana Kamila Norwida), dokumenty (akty: Unii Horodelskiej oraz Hołdu Pruskiego)

i starodruki (pierwsze wydania dzieł Mikołaja Reja, Jana Kochanowskiego, Mikołaja Kopernika – tzw. norymberskie *De revolutionibus orbium coelestium* z ekslibrisem Zygmunta Augusta).

Drugą co do wielkości i znaczenia prywatną księżnicą Lwowa było tzw. Baworovianum, usytuowana w dawnym Arsenale Sieniawskich, nieopodal kościoła św. Marii Magdaleny. Założycielem utrzymującej je fundacji był Wiktor Baworowski, tłumacz (m.in. poematu Victora Hugo *Mazepa*). W sposób oczywisty wzorując się na Ossolińskim, nabywał prywatne kolekcje biblioteczne (np. Stadnickich) bądź otrzymywał je w drodze darowizn (np. w 1858 r. od Dionizego Zubrzyckiego, ukraińskiego historyka ze Lwowa). Po śmierci administratorem stworzonej przez siebie placówki uczynił Wydział Krajowy (galicyjską egzekutywę), który doprowadził w październiku 1901 roku do otwarcia podwojów Baworovianum dla chętnych do korzystania z jego zasobów. Do zgromadzonych tam cymeliów należały m.in. manuskrypty kroniki Kadłubka oraz niemieckiej *Kroniki Hagena*.

Gwoli ścisłości należy odnotować istnienie jeszcze jednej prywatnej biblioteki lwowskiej – Dzieduszyckich, ale nigdy nie została ona w pełni udostępniona szeregowemu gronu. W okresie międzywojennym doszło nawet do swoistej unii personalnej pomiędzy księżniczami publicznymi i prywatnymi w osobie Rudolfa Kotuli, który był jednocześnie dyrektorem Biblioteki Baworowskich oraz Uniwersyteckiej, sprawując na dodatek w latach 1922–25 przejściową kuratelę nad księgozbiorem Dzieduszyckich. Stała się też wyrażoną w testamencie wolę Ba-

worowskiego, który, posiadając w okolicach Tarnopola majątek, pragnął, aby powstała w tym mieście biblioteka utworzona z dubletów Baworovianum oraz spuścizny lokalnej. Na jej potrzeby pozyskał Kotuła odpowiedni budynek, wszelako wybuch II wojny światowej udaremnił to przedsięwzięcie.

Zbiory Ossolineum zamierzali wywieźć w głąb imperium zarówno biali Rosjanie w czasie I wojny światowej (wcześniej, po rozbiorach podobnie uczynili ze sławną Biblioteką Załuskich w Warszawie, najstarszą polską księżnicą narodową, czy księgozbiorem liceum Krzemienieckiego, który dał podwaliny pod bibliotekę tworzonego właśnie rosyjskiego uniwersytetu w Kijowie), jak i czerwoni, gdy latem 1920 roku podeszli pod Lwów (tajny rozkaz Siemiona Budionego). Dwadzieścia lat później połączyli Ossolineum z Baworovianum, do tego pierwszego przenosząc książki, a w drugim urządząc galerię dzieł sztuki (zbiory muzeum Lubomirskich przekazano Gallerii Miejskiej). Stało się to wkrótce po hucznie obchodzonym przez okupanta osiemdziesięciopięcioletni śmierci Mickiewicza, z której to okazji urządzono w Ossolineum okolicznościową wystawę *mickiewiczianów* z rękopisem *Pana Tadeusza* na poczesnym miejscu i pomimo starań pierwszego radzieckiego dyrektora Zakładu Jerzego Borejszy (przysłego prezesa „Czytelnika”, skądinąd brata niesławnej pamięci Różańskiego), by zachować integralność instytucji. Na tej bazie w okresie okupacji hitlerowskiej działała Staatsbibliothek zu Lemberg, przy czym z miejsca wywiezione zostały rysunki Albrechta Durera. Wycofując się w 1944 roku przed zbliżającym się frontem, Niemcy zabrali ze sobą niektóre książki i złożyli je w Adelinie (dziś Zagrodno) na Dolnym Śląsku. Znalazły się tu m.in. rękopisy Mickiewicza, Słowackiego i Fredry. Wraz z wydanymi po wojnie przez władze radzieckie (około połowa dawnego stanu posiadania), złożyły się na zasób utworzonego we Wrocławiu Zakładu Narodowego im. Ossolińskich, włączonego następnie w struktury administracyjne Polskiej Akademii Nauk. W latach 90. przywrócono mu prawną samodzielność. Tak jak we Lwowie, również we Wrocławiu siedzibą Ossolineum są zabudowania poklasztorne, tyle że różokrzyżowców, z umieszczoną pośrodku budynku kopułą.



W przeddniu wybuchu wojny krakowskie zbiory Czartoryskich przeniesiono, jak przed półtora wiekiem, do Sieniawy, gdzie znajdowały się dobra stanowiące źródło finansowania fundacji. Odnalezione przez Niemców, wywiezione zostały z kraju, ale na szczęście udało się je w większości odzyskać. W nowych realiach historycznych przejęło je państwo i włączyło do Muzeum Narodowego. Wtedy też definitywnie rozdzielono eksponaty muzealne i księgozbiór, który scalonono z własnymi zasobami bibliotecznymi muzeum (m.in. kolekcją Hutten-Czapskich). Dla ich należytego przechowywania i udostępniania wzniesiono osobny budynek przy ulicy św. Marka 17, otwarty w 1961 r.

Jeszcze w 1940 r. siedzibę Ossolineum przekazano Bibliotece im. Wasyla Stefanyka\*, należącej do Ukraińskiej Akadaemii Nauk. Stało się to pretekstem, by pozostałe we Lwowie zbiory fundacji Ossolińskich (głównie unikalne roczniki czasopism) zło-

żyć w nieogrzewanym i niezabezpieczonym kościele jezuitskim św. Piotra i Pawła. Sprawa ta czeka wciąż na uregulowanie i przekazanie prawowitym właścicielom ich dóbr lub tego, co z nich zostało, jeśli uwzględni się, że są one przechowywane w warunkach urągających wszelkim normom konserwatorskim. A na marginesie warto zauważyć, że gromadzenie księgozbiorów w zdegradowanych świątyniach wydaje się być lwowską specyfiką, a może raczej tradycyjną już praktyką tutejszych okupantów, albowiem podobnie postąpiono przed dwustu laty, kiedy w pobliskim kościele potrynitarskim zlokalizowano bibliotekę niemieckiego Uniwersytetu Lwowskiego, od imienia jego założyciela nazywanego Józefińskim.

\* Ukraiński pisarz naturalista, który w swej twórczości przywoływał obrazy z życia Bojków. Zaprzyjaźniony z Władysławem Orkanem, z którym utrzymywał żywą korespondencję.

## MUZEUM LUBOMIRSKICH WE LWOWIE

*Dotarł do nas mały folderek, wydany w roku 1889 przez Zakład Narodowy imienia Ossolińskich, pt. MUZEUM IMIENIA LUBOMIRSKICH. Ponieważ sprawa tego muzeum obecnie odżywa (pisaliśmy o tym ostatnio kilkakrotnie), przedstawiamy treść folderku. Oryginalną pisownię i interpunkcję zachowano.*

Śp. Henryk hrabia na Wiśniczu i Jarosławiu książę Lubomirski, obejmując wskutek umowy z Józefem hrabią Ossolińskim, Kuratoryę „Zakładu” jego imienia, kierowany miłością dobra publicznego przedsięwziął podnieść znaczenie tej instytucji, – włączając doń Muzeum poświęcone zbiorom rzeczy historycznych i pamiątkowych, oraz dzieł sztuki. – W tym więc celu, mąż ten zarówno wielkiego serca jak wzniosłego umysłu, przeznaczył wszystkie swe zbiory w księgach, obrazach, medalach, starożytnościach, bądź familijne, bądź przez się zgromadzone, na użytek publiczny. – Następnie syn jego śp. książę Jerzy Lubomirski, idąc śladami ojca – myśl tę rozwinął i w pewnym stopniu wykonał: – włączeniem do zbiorów muzealnych znakomitej kolekcji broni, – zatwierdzeniem planu Muzeum, co do układu w jakim się obecnie znajduje, – jak niemniej poleceniem go opiece obranego przez się zastępcy śp. hr. Kazimierza Krasickiego, pod którego zarządkiem uporządkowaniem zostało. Tym sposobem, dzięki szlachetnej ofiarności dwóch ludzi,

którzy w danym czasie, śród ogólnej niedoli i zwątpienia, niezawahali się ukazać ziomkom drogę obowiązku, a z nim drogę ku lepszej przyszłości, – te dwie instytucje Ossolińskich i Lubomirskich połączone, z których jedna obejmuje księgi i rękopisy, – druga przedmioty muzealne, – dopełniając się wzajem – stały się źródłem obfitym dla pracowników na polu nauk i sztuki; co więcej, – budząc ducha i kierując lot jego ku celom pięknym i wzniosłym, – utworzyły jeden z narodowych przybytków, – który złożoną w sobie myśl wieków i uczucia narodu, w księgach, obrazach, wojennych ryzsztunkach i pamiątkach minionej chwały i klęsk, – przekazuje potomnym.

Dodać należy, iż do rozwoju Muzeum, znacznie się przyczyniła ofiarności wielu osób, – które w uznaniu doniosłości ogniska przystępnego dla korzystania ogółu, złożyły w ni przypomem chętnie swe dary; to też imiona ich w Katalogu, jak również obok ofiarowanych przedmiotów, wdzięczność ku trwałej pamięci zapisała.

Edward Pawłowicz, Konserwator

*Na 1. stronie folderku czytamy:*

Muzeum otwarte codziennie, prócz Poniedziałku, rano od godz. 10 do ... [?] zaś we Wtorek i Piątek od godz. 3 do 5 popołudniu. Wejście bezpłatne.

Cena egzemplarza 30 ct.

Kazimierz Selda

# Doktor Kubas

*W rubryce Listy w poprzednim numerze (CL 4/04) opowiedzieliśmy o przesyłce otrzymanej od dra Zbigniewa Kubasa dla naszego Archiwum Wschodnich Małopolan. Na podstawie zawartych tam materiałów, a także artykułu w „Przekroju” sprzed 18 lat\* – przedstawiamy postać tego niezwykłego Lekarza. Wielu naszych Czytelników zapewne o Nim słyszało, ale na pewno nie wszyscy. Warto Go poznać.*

**B**óbrka to podlwowskie miasteczko – niewielkie, ale powiatowe. Leży o dwadzieścia parę kilometrów na południowy wschód od Lwowa, a powiat bobrecki rozciągał się z północy na południe aż po Dniestr, do którego wpadała – jakby wodna oś powiatu – rzeczka Ług, o której tak serdecznie wspominał Jerzy Masior. W powiecie leży Stare Sioło z renesansowym zamczyskiem i Chodorów ze słynną niegdyś cukrownią, a w pobliżu znane nam z opowiadań Czytelników: masiorowskie Dobrowlany i rydlowska Kremerówka. I jeszcze Brzozdowce, Borynicze i Chlebowice Wielkie. Przypomnieć warto, że właśnie z Bóbrki wyruszył ku Krakowowi Franciszek Wyspiański, ojciec Stanisława. W okolicy Wyspiańskich było mnóstwo.

*W tej właśnie Bóbrce urodził się w 1929 r. Zbigniew Kubas. Rodzina po mieczu wywoziona została do Worochty, dopiero babcia przysłała go doktora – po śmierci swego męża (który zginął w I wojnie na Węgrzech) – przemieściła się z sześciorgiem dzieci do Bóbrki.*

*Tam młodzi zapuścili korzenie, ale w dwadzieścia kilka lat później los ich rozrzucił. Swego życia dokonali w różnych miejscach świata: w Brzozowie, Krakowie, troje aż w Kanadzie, tylko jedna córka w Bóbrce.*



Ojciec Zbigniewa, Stanisław – jak i jego rodzeństwo – założył rodzinę w Bóbrce. Tam przeżyli II wojnę, aż w 1944 r. przyszło swe gniazdo opuścić. Stanisław z własną rodziną osiadł niedaleko za jałtańskim kordonem – w Brzozowie.

Zbigniew Kubas naukę szkolną rozpoczął w Bóbrce, kontynuował w Brzozowie, maturę zdał w Krakowie, a studia medyczne – ukończone w 1954 r. – na UJ/AM w Krakowie. Nie szukał szczęścia po świecie – w tym samym roku podjął pracę lekarza w Brzozowie i tam pozostał do końca swojej zawodowej drogi.

**O**we 35 lat (w tym 22 lata dyrektury) łączy się nie tylko ze szczyblami tzw. kariery, ale z czymś dużo istotniejszym: wieloletnią budową i rozbudową brzozowskiego szpitala, w głównej mierze pod kątem onkologii. Niezwykłość polega na tym, że dokonał tego nie w jednej z metropolii kraju, ani nawet w jednym z miast wojewódzkich, lecz w małym miasteczku powiatowym, zagubionym w powojennej „Polsce B”. Fakt ów stał się chwalebny dokonaniami Doktora. Dr Kubas zastał w Brzozowie szpitalik o 40 łóżkach, a liczbę tę z czasem powiększył dziesięciokrotnie. Pod kątem leczenia onkologicznego powstało całe zaplecze, w tym blok operacyjny, dział teleradioterapii, przychodnia.

W każdym triumfie tkwi załążek klęski. Zorganizowany przez siebie ośrodek rakowy w Brzozowie zamierzał uniezależnić od sieci szpitalnictwa ogólnego i stworzyć niezależną placówkę, jak to ma miejsce w Warszawie czy Krakowie. Plany doktora

Dom rodzinny autora w Bóbrce





jednak szły zbyt daleko jak na przyziemne ambicje bliższego i dalszego otoczenia. Mając niewiele przed sześćdziesiątką, dr Kubas zrezygnował ze swych marzeń. Z czasem opuścił Brzozów, osiadł we Wrocławiu.

Dodajmy, że dr Zbigniew Kubas – poza dyrekturą – był ordynatorem oddziału chirurgii ogólnej i onkologicznej, specjalistą wojewódzkim do spraw onkologii, prowadził specjalizację dla lekarzy-chirurgów. Za za-

ługi został Honorowym Obywatelem Miasta Brzozowa.

Dr Kubas wydał dwie ciekawe książeczki. Pierwsza – to opowieść *Jak budowałem szpital w Brzozowie* (1996), ale szczególnie dla nas ciekawy jest *Dzienniczek* (1997), spisany przezeń przez półtora roku 1942–44, gdy był uczniem VI klasy w Bóbrce.

\* Teresa Bętkowska, Zmierzyć się z nowotworem, „Przekrój” 2187/1987.

## Archiwum

# Nasze harcerstwo

W materiałach otrzymanych od dra Tadeusza Krzyżewskiego natknęliśmy się na maszynopis tekstu (artykułu) opracowanego przez Eugeniusza Sikorskiego pt. *O udokumentowanie w fotografii dziejów Harcerstwa okresu lat 1910–1945*. Autor informuje, że wystawa fotograficzna *Polskie Harcerstwo z okresu 1911–1945* ujawnia, iż w zbiorach Muzeum Historii Fotografii w Krakowie znajduje się przebogaty zbiór ok. 25 tys. zdjęć z tego zakresu. Zaproponował przeto opracowanie serii albumów na tematy: dziejów ZHP, życia jego poszczególnych jednostek organizacyjnych oraz ludzi działających i wychowanych w ZHP.

W zaproponowanym zestawie albumów przewidział m.in. takie hasła:

- III.1. „Sokół”
- III.5. Udział w Obronie Lwowa
- IV.31. Złot 10-lecia we Lwowie w 1921 r.
- IV.37. I Zjazd Starszego Harcerstwa w Żabnem na Huculszczyźnie w 1933 r.
- IV.50. Wyprawy na narodowe zloty skautowe w innych krajach – c) Chorągwi Lwowskiej na Złot Skautów w Rumunii w 1932 r.
- V. Chorągiew Lwowska: 1–5. drużyny lwowskie, 10. Hufiec Harcerek w Tarnopolu, 11. Środowisko Harcerskie w Tlumaczu
- XIV. Chorągiew Wołyńska: 1. Środowisko Harcerskie w Kowlu, 2. Środowisko Harcerskie w Łucku.

Łącznie przewidziano ok. 320 tematów. Problematyka wschodniomałopolska i wołyńska wystąpiłaby na pewno w wielu innych jeszcze tematach, zwłaszcza w *Albumie Archiwalnym*, dotyczącym ludzi: pionierów i działaczy, walczących w konspiracji II wojny, więzionych, poległych itd.

wobec polskich wiernych jest tym większa, że Kościół rzymskokatolicki przetrwał kilkadziesiąt lat komunistycznych prześladowań (po obu stronach Zbrucza) właśnie dzięki Polakom, bo przecież innych rzymskich katolików nie było. Mało: w dużej mierze grekokatolicyzm przetrwał dzięki parunastu naszym Kościołom, gdzie mogli się modlić i spowiadać we własnym języku, u własnych księży – we Lwowie, Samborze, Stryju czy Mościskach. Potem sobie poszli do swoich świątyń. A tam, gdzie n a s z y c h kościołów nie było – przeszli do prawosławia. Albo się zateizowali.

To, że Ukraińcy zapomnieli – już nie dziwi, tak jak i wiele innych rzeczy. Trudno jednak przejść obojętnie obok nieodpowiedzialno-

ści w słowach Osób, od których powinniśmy słyszeć tylko prawdę – nawet w sprawach świeckich. A jeśli prawda i godność są niewygodne, to może lepiej przemilczeć?

\* List kard. Glempa do kard. Huzara z 7 sierpnia 2004, wystosowany z okazji *pielgrzymki pojednania* do sanktuarium grekokatolickiego w Zarwanicy.

\*\* Kard. J. Glemp, jako emeryt, nosi honorowo i dożywotnio tytuł prymasa, zaś przewodniczącym Episkopatu jest obecnie metropolita przemyski, ks. abp Józef Michalik, jednak już bez tytułu prymasa.

\*\*\* Dla rozeznania w omawianej sprawie proponowalibyśmy zapoznanie się np. z książką Ł. Kapraleskiej *Pluralizm kulturowy i etniczny...* (ZW „Nomos”, Kraków 2000).



Zdzisław Żygulski jun.

# ZE LWOWA DO CHICAGO

## *Wspomnienie o Marii Lilien-Czarneckiej*

Pani Maria urodziła się w roku 1901 na Zofiówce we Lwowie w zamożnej rodzinie, zmarła zaś dnia 12 stycznia roku 1998 w Zakopanem, przeżywając niemal cały wiek XX, zarazem wspaniały, jak i straszny. Wspaniały dlatego, że w tym czasie ludzkość wstąpiła na zupełnie nową drogę w zakresie nauki, odkrywając niesłychane horyzonty swej Ziemi i wszechświata, skierowała architekturę i sztukę na nowe tory, a także wytyczyła literaturze, poezji i muzyce nowe kierunki. Straszny zaś dlatego, że właśnie wtedy rozpętały się dwie wojny powszechne, zawiązały się mordercze reżimy totalitarne i dokonano zbrodni ludobójstwa.

Pani Maria, wychowana i wykształcona we Lwowie, jedna z pierwszych kobiet, jakie uzyskały dyplom świetnej Politechniki Lwowskiej, uratowała swe życie uchodząc w roku 1940 do Stanów Zjednoczonych i uzyskała tam wysoki stopień autorytetu w zakresie znawstwa i nauczania dyscyplin artystycznych. Zachowała gorące i niezłomne uczucie dla rodzinnego miasta i dla Polski, stając się w Chicago ambasadorem polskiej kultury.

Panią Marię poznałem w roku 1966 w okolicznościach dość niezwykłych – na wernisażu wielkiej wystawy skarbów z Polski – *Treasures from Poland*, jaką otwarto z okazji milenium Państwa Polskiego w the Art Institute of Chicago, Instytucie Sztuki, będącym jednocześnie znakomitym muzeum, szkołą artystyczną i teatrem. Wystawa ta dostępna była w Chicago przez trzy miesiące, od końca września do końca grudnia, następnie przeniesiona do Filadelfii i do Ottawy. Było to największe polskie przedsięwzięcie muzealne po II wojnie światowej, początkujące całą serię podobnych wystaw, m.in. w Paryżu, Rzymie i Londynie. Chodziło o prezentację historii i kultury polskiej w czasie, kiedy Europę przegradzała żelazna kurtyna. Ze strony polskiej głów-

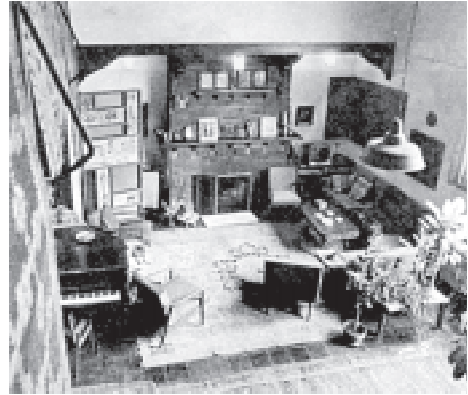
nym twórcą tej wystawy był profesor Stanisław Lorentz, dyrektor Muzeum Narodowego w Warszawie, ale szybko uzyskał on poparcie i współpracę profesora Jerzego Szablowskiego, dyrektora Państwowych Zbiorów Sztuki na Wawelu, i dra Jerzego Banacha, dyrektora Muzeum Narodowego w Krakowie, jak również życzliwość władz kościelnych, szczególnie kustosa Skarbcza Katedralnego na Wawelu.

Wystawa składała się z samych arcydzieł. Wśród nich znalazły się zabytki o najwyższej randze historycznej i artystycznej: złoty kielich z pateną opatów tyńceńskich z XI w., krzyż z koron złotych z XIII w., herma św. Zygmunta z XIV w., Madonna z Krużlowej – jedna z najpiękniejszych polskich rzeźb gotyckich, rycerz rzeźbiony przez Wita Stwosza, ornat Kmity, miecz przełamany nad trumną ostatniego Jagiellona, kur srebrny krakowski bractwa kurkowego, srebrny róg gwarków wielickich, dwa berła Uniwersytetu Jagiellońskiego z XV w., fragmenty ołtarza z legendą św. Stanisława, sześć głów rzeźbionych ze stropu Sali Poselskiej na Wawelu, osiem arrasów jagiellońskich z Wawelu, miecz i berło króla Stanisława Augusta, a nadto – osiem wędut Bellotta Canaletta, obrazy Bacciarellego, Peszki, Grassiego, Wojniakowskiego, Michałowskiego, Rodakowskiego i Matejki, a także polskie stroje narodowe i karabele. Mianowano kuratorów tej wystawy: wicedyrektora Muzeum Narodowego w Warszawie – Józefa Kojdeckiego oraz sławnego konserwatora – profesora Bohdana Marconiego, ja zaś



zostałem wyznaczony jako kurator z ramienia muzeów krakowskich. Ponieważ dobrze znałem język angielski, miałem towarzyszyć wystawie do samego końca. Ze strony amerykańskiej przedsięwzięciu patronowali dyrektorzy Instytutu Sztuki – Charles G. Gunningham i John Maxon, jak również doktor medycyny Aleksander Rytel, jeden z prezesów związkowych chicagowskiej Polonii. Inicjatorką i protektorką wystawy była właśnie pani Maria – jako aktywny profesor Instytutu. Bezcenne obiekty przewieźliśmy w obie strony na flagowym statku Żeglugi Polskiej, „Batorym”.

**N**a uroczystym otwarciu wystawy, wśród tłumu dam w wieczorowych sukniach obsypanych brylantową biżuterią i panów w czarnych bądź kolorowych smokingach, pojawiła się elita władz chicagowskich z burmistrzem panem Richardem J. Daleyem, byli też: radca Henryk Walendziak z ambasady polskiej, przedstawiciele innych ambasad i liczni działacze polonijni. Wśród nich pani Maria wyróżniała się samą osobowością, niezwykłą elokwencją i znawstwem sztuki. W ciągu następnych tygodni miałem cykl wykładów o polskiej kulturze i cieszyłem się ze stałej na nich obecności pani Marii. Rychło zaprzyjaźniliśmy się. Kiedy po miesiącu wyjechali do kraju moi warszawscy towarzysze-kuratorzy, pani Maria zaproponowała mi gościnę w swoim pięknym mieszkaniu-studio przy ulicy Ontario. Pan Lambert Tree, chicagowski milioner, miłośnik sztuki francuskiej i mecenas artystów zbudował tam dla nich szereg pracowni pod nazwą Tree Studios. Pani Maria była lokatorem jednego z tych przybytków sztuki, złożonego z wielkiej, świetnie przeszklonej i oświetlonej sali pracownianej, nad którą znajdowała się galeryjka z kilkoma pokojami gościnnymi, w dalszej zaś części lokalu – kuchnia, łazienka i przyległości. Pani Maria urządziła to wewnątrz stosownie do swego polskiego gustu, zawiesiła kobiercami i kilimami, obrazami i rycinami, wstawiając też fortepian, rzeźby i pamiątki zakopiańskie, półki z książkami i kwiaty. Nad wszystkim królował jej portret jako Pani w niebieskich rękawiczkach\*, wykonany przed wojną przez Antoniego Michalaka, pokazany na słynnej nowojorskiej wystawie światowej w roku 1939. Pani Maria miała oczy niebieskie i niski melodyjny głos. Stworzyła prawdziwy salon artystyczno-muzyczny, którego bywalcami, oprócz miejscowych, byli wybitni Polacy



odwiedzający Chicago, a wśród nich Artur Rubinstein, Witold Lutosławski, Witold Rowicki, Wanda Wiłkomirska, Krzysztof Penderecki, Mira Zimińska-Sygietyńska, Tymon Terlecki\*\* oraz Aleksander i Wala Jantowie.

**D**oświadczając zaszczytu zaproszenia przez panią Marię, mieszkiałem więc w jej studio i trwały pomiędzy nami nieustanne rozmowy – o Lwowie i o czasach przedwojennych, o wojnie i o Ameryce, o sztuce i polityce, o literaturze i muzyce. Z wielką czułością wspominała pani Maria swój rodzinny ukochany gród, lwowskie ulice, place i kościoły, corso na Akademickiej i sklep Zalewskiego, Targi Wschodnie, Boże Narodzenie z dzwoniącymi na ulicach saneczkami i rozkwieconą Wielkanoc, wśród palm i pisanek. Rozkochana też w sztuce górali, wspominała urok Zakopanego. Ale przed wojną poznała również Europę, zwiedzając Włochy, Anglię i Austrię. Kiedy gościła u swych krewnych w Wiedniu, w kamienicy naprzeciw Hotelu Imperial, zobaczyła nagle Hitlera, jak dumnym krokiem zmierzał do samochodu i podnosząc rękę pozdrawiał gapiów. Zdażyła dwukrotnie być w Ameryce i tam, za drugim pobylem, poznać swego przyszłego mistrza, znakomitego architekta Franka Lloyda Wrighta. Spotkała go w mieście Taliesin, gdzie miał swą pracownię z gromadą uczniów i entuzjastów. Przedstawiono mu ją jako kobietę-architekta z Polski. Zdumiał się i zaproponował jej stypendium w Taliesinie. Była to po prostu prywatna szkoła architektury i jednocześnie nowej filozofii w tej dziedzinie, zrywającej z dominującym do tego czasu stylem naśladowania form dawnych. Wright lansował archi-

tekturę „ograniczoną”, połączoną z naturą, odpowiadającą istotnym potrzebom człowieka. Najchętniej sięgał po pewne wzory secesji, ale także sztuki prekolumbijskiej. Uczniowie jego mieli żyć w wspólnocie, tworząc, a jednocześnie wykonując prace w ogrodzie, w polu, w kuchni. Mówiono, że wymyślił „idealną komunę”.

W lecie roku 1939 pani Maria powróciła do ukochanego Lwowa i do swej rodziny, ale z wybuchem wojny podjęła ucieczkę z zagrożonego miasta, zabierając z domu zaledwie kilka pamiątek. Przedzierała się do Rumunii, najpierw autem, a kiedy zabrakło benzyny – wozem drabiniastym, a wreszcie ciężarówką wojskową wyładowaną amunicją. W Rumunii długo czekała na wizę amerykańską. Otrzymała ją z rekomendacji Wrighta – nie zawiódł jej przyjaciel. Potem z Neapolu, w roku 1940, ostatnim statkiem odpływającym tuż przed przystąpieniem Mussoliniego do wojny, podróżowała do Stanów. Znow znalazła opiekę w Taliesinie, aby jednak gościnności nie nadużywać, przeniosła się do Chicago i tam otrzymała etat profesorski w Instytucie Sztuki. Z wielkim powodzeniem przez ćwierć wieku uczyła tajników architektury wnętrz. Zadziwiała wszystkich nie tylko wrodzonym smakiem, ale i wszechstronną wiedzą, zwłaszcza z geometrii wykreślnej, w jaką ją wprowadził we Lwowie znakomity profesor Kazimierz Bartel. W końcu studenci chicagowscy założyli fundację jej imienia, promującą studia ar-

chitektury. Kiedy pojawiłem się w Chicago, pani Maria, w atmosferze podziwu i szacunku, już dobiegała swej emerytury. Nie było jej trudno przekonać dyrektorów Instytutu o potrzebie polskiej wystawy.

W tym czasie Frank Lloyd Wright, jej wielki mistrz i przyjaciel, od siedmiu lat już nie żył, ale pani Maria nieustannie go wspominała jako architekta-filozofa czy nawet proroka. Ponoć zaprojektował i zrealizował 500 obiektów. Pokazywała mi jego sławne chicagowskie wille, a dopiero później zobaczyłem jego arcydzieła: Muzeum Guggenheima w Nowym Jorku i budynki w Kalifornii, a wreszcie tokijski Imperial Hotel, w którym przyszło mi nawet nocować.

**M**uzyka była również światem pani Marii, znała się na niej wyśmienicie, świetnie grała na fortepianie i śpiewała. Jej siostra, Klara Lilien Bloomfield, była słynną śpiewaczką estradową\*\*\*. Zabierała mnie na koncerty do znakomitej chicagowskiej filharmonii. Z przejęciem i zdumieniem ujrzałem wówczas jednego z twórców muzyki nowoczesnej – Igora Strawińskiego, innym zaś razem – mistrza jazzu – Duke'a Ellingtona. Na Boże Narodzenie roku 1966 wzięła mnie pani Maria do miejscowości Oshkosh, położonej wśród lasów, blisko granicy kanadyjskiej. Na wzgórzu zobaczyłem rozświetlony dom państwa Kranców: Felicja Krancowa była najbliższą przyjaciółką pani Marii. Było to Boże Narodzenie muzyczne: leśną willę

## *Wspomnienie rodzinne*

Maria Lilien była zarazem Polką i Amerykanką. Była profesorem, intelektualistką i artystką, ale także świetną gospodynią i wspanią, ciepłą Panią. Miała olbrzymią wiedzę i tworzył pazur. Kochała ludzi i mądrze się nimi otaczała. Bywała wszędzie, gdzie działo się coś ważnego i twórczego. Wykładała i malowała swoje akwarelowe szkice. W swoim ślicznym domu przyjmowała przyjaciół i gości garnących się do niej i do atmosfery, jaka tam panowała. Ujmująca aparycja, niebieskie oczy i piękny melodyjny głos dopełniały charakterystyki jej osobowości. Wśród wielu gości Marii Lilien był też Francuz, kpt. Brie Taylor, adiutant generała amerykańskiego George'a Pattona.

Maria Lilien była dobrym duchem dla Polaków w Chicago. Roztaczała opiekę nad polską

młodzieżą. Każdy potrzebujący znajdował u niej wsparcie i realną pomoc w nawiązywaniu zawodowych kontaktów na trudnym rynku amerykańskim. Była to jej pasja życiowa, szlachetny obowiązek wobec Ojczyzny.

Kasę fundacji swego imienia stale wspierała. Fundusze zdobywała również ze sprzedaży wyrobów Cepelii. Wyroby sztuki ludowej kupowała w Sukiennicach podczas wakacyjnych pobytów w Krakowie, a także w Zakopanem. Na spotkaniach w jej domu w Chicago znajdowały chętnych nabywców.

Znajomi i przyjaciele żegnali Marię Lilien z żalem i smutkiem. Zachowali we wdzięcznej pamięci szlachetnego człowieka i gorącą patriotkę.

Tadeusz Lilien, Kraków

wypełniła muzyka najlepszych wykonawców świata, wśród których znów królował przyjaciół domowi – Artur Rubinstein.

Pojechałem z wystawą do Filadelfii i do Ottawy, by wreszcie bez szwanku powrócić do Polski, ale nie traćłem kontaktu z panią Marią. Odwiedziła mnie potem w Krakowie, w drodze do swego umiłowanego Zakopanego. Zawsze była pełna czaru i swoistej elegancji, nie tylko mądra, ale i bardzo dzielna. Kiedyś się jej zdarzyło, że na pustej ulicy chicagowskiej o zmroku dopadł ją złoczyńca. Nie dała sobie wyrwać torebki, pokonała go i zmusiła do ucieczki. O dziwo, po szamotaninie pozostał jej w ręce zegarek lotra. Ot, prawdziwa lwowianka!

Gdy ją po raz ostatni widziałem, nosiła cudowny naszyjnik meksykański, ozdobiony trupimi główkami...

#### PRZYPISY REDAKCJI

\* Obraz był eksponowany na weneckim Biennale, później w Pittsburgu, a na koniec w Nowym Jorku. Na skutek wybuchu II wojny światowej nie wrócił do kraju, dzięki temu został odzyskany w Ameryce przez Marię Lilien (wg informacji Antoniny i Tadeusza Lilienów w Krakowie).

\*\* Lwowianin; pisarz, eseista, profesor literatury, po II wojnie w USA (jego opowiadanie *Papierowa magia* – patrz CL 1/01).

\*\*\* Była uczennicą Marceliny Sembrich-Kochańskiej. Po śmierci siostry Klary Maria Lilien ofiarowała do zbiorów polskich pozostałe po niej egzemplarze pierwszych wydań pieśni Szymanowskiego, a także utworów Moniuszki, Karłowicza oraz wiele innych zabytków muzyki polskiej.

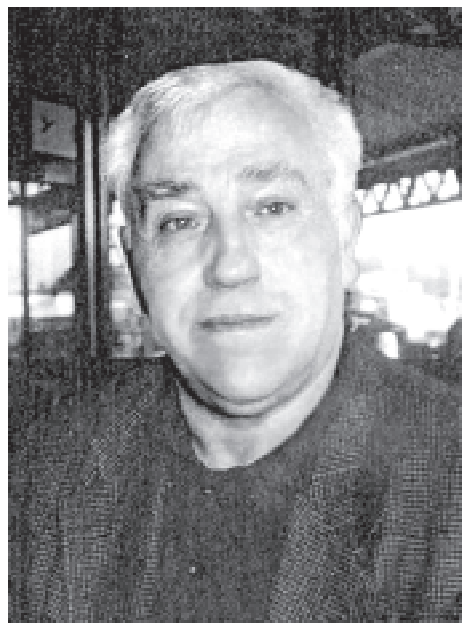
Sembrich-Kochańska była znakomitą śpiewaczką polską, ur. 1858 pod Tarnopolem, wychowaną w Bolechowie, wykształconą we Lwowie, zm. 1935 w Nowym Jorku.

## KTO WIE?

Kto wiedziałby o losach pani Alicji Kozłowskiej i jej młodszego brata Mieczysława ze Lwowa, którzy po II wojnie mieszkali w Paczkowie, a potem w Krakowie przy ul. św. Filipa? Wiadomości o nich poszukuje p. Leszek Sawicki, zamieszkały we Wrocławiu. Ewentualne wiadomości uprasza się kierować za pośrednictwem redakcji CL.

# Z JANUSZEM WASYLKOWSKIM

rozmawia Andrzej Chlipalski



Panie Januszu, należy Pan do pierwszej linii działaczy na rzecz kultury polskiego Lwowa. Ja to bardzo cenię, bo w tej dziedzinie niezbędna jest nasza szczególna aktywność. Urodzeni lwowiaci wykruszają się, a w młodszych pokoleniach dopiero za jakiś czas odezwie się podobne zainteresowanie – mamy przecież sporo takich sygnałów. Taka jest jednak różnica, że to, co my znamy z własnej młodzięcej pamięci, wspomaganą relacjami rodziców, dziadków czy w ogóle środowiska, z którego się wywodzimy – dla nich będzie mimo wszystko wiedzą z drugiej ręki. Czyli im więcej przekażemy, tym łatwiej będzie im tamto bogactwo zrozumieć i przejąć, kontynuować i rozwijać. Musimy pomóc na różne sposoby, żeby umieli nie poddawać się fali fałszu, jaka raz po raz daje o sobie znać.

Pana działalność jest wielowątkowa: założył Pan i prowadzi Instytut Lwowski, wydaje „Rocznik Lwowski” i inne książki o Lwowie, pomnaża swoje i nie tylko swoje zbiory leopo-

**litanów, pisze wiersze, a ostatnio przygotowuje Encyklopedię Lwowską. To ogrom dokonania!**

Rzeczywiście, ale dopiero od kilkunastu lat. Przedtem – w czasach PRL-owskich – robiłem różne inne rzeczy, wykonywałem kilka zawodów.

#### **Pan jest z wykształcenia polonistą, prawda?**

Tak, studiowałem w latach pięćdziesiątych we Wrocławiu. Przymierzałem się nawet do pracy doktorskiej o gwarze lwowskiej, jednak nie był to czas do tego sposobny. Pociągało mnie dziennikarstwo, jeszcze w Jeleniej Górze, będąc w 10. klasie zacząłem pisać sportowe artykułiki do katowickiego „Dziennika Zachodniego”. W czasie studiów założyliśmy z kolegami pismo dla studentów i młodej inteligencji „Poglądy”. W latach 1956–57 wydaliśmy 52 numery, w tym jeden pod tytułem „Zapatrywania”, co było przejawem walki z władzami partyjnymi, które nie mogąc sobie podporządkować redakcji, postanowiły w końcu pismo zlikwidować, podobnie jak „Po prostu” w Warszawie i kilka innych pism młodzieżowych w Poznaniu, Krakowie i Katowicach. Wcześniej jednak, bo w 1955 r. założyłem i prowadziłem pierwszy we Wrocławiu Studencki Teatr Satyry „Ponuracy”. Dla teatru pisałem skecze i wiersze, dla tygodnika fraszki, aforizmy, reportaże, felietony. Napisałem też pierwszą swoją sztukę teatralną – „Wszystko przepadło”, którą jesienią 1958 r. wystawiło przemyskie „Fredreum”. Była to komedia satyryczna – satyra na ówczesną polską dyplomację. Przemyska cenzura sztukę przepuściła, powodzenie na premierze było ogromne. Niestety na drugi dzień zjechała do Przemysła cenzura rzeszowska (najgłupsza – jak wówczas mawiano – cenzura w Polsce) i natychmiast zdjęła sztukę z afisza, a przy okazji, jak się wiele miesięcy później dowiedziałem – parę osób, które zaakceptowały tę sztukę.

#### **A jak Pan z tego wybrnął?**

Byłem młody, zadziorny i wierzący w siłę argumentów. Pojechałem do centrali cenzury w Warszawie wyklócić się o swoje dzieło. Miałem jednak pecha, bo szefem działu teatralnego był akurat facet, który wrócił właśnie z jakiejś dyplomatycznej placówki i moją komedijkę potraktował jako

obrazoburcze dzieło. – *Pańska sztuka jest antyrządowa i antyradziecka!* – powiedział. – *Moja sztuka jest anty głupocie. Dlaczego pan utożsamia głupotę z naszym rządem i na dodatek ze Związkiem Radzieckim?* – niemal wykrzyczałem. – *Ja z panem w taki sposób rozmawiać nie będę* – walnął pięścią w biurko. Ja także walnąłem, niestety – tylko w biurko, i krzyknąłem, że z nim także rozmawiać nie będę. Skutek był łatwy do przewidzenia. Wszystkie cenzury w Polsce otrzymały pisemko, że sztuki Janusza Wasylkowskiego „Wszystko przepadło” nie należy dopuścić do kolejnego wystawienia.

#### **Co było dalej?**

Próbowałem jeszcze działać we Wrocławiu. Założyliśmy mutację tygodnika warszawskiego „Od nowa”, a gdy i ta inicjatywa została utrupiona, pracowałem w Spółdzielni Dziennikarskiej „Omnipress”, przez rok byłem nawet sekretarzem komitetu wojewódzkiego... antyalkoholowego. Były próby założenia kolejnych teatrzyków: młodzieżowego „Sztubak” i studentów Politechniki „Bluff”. Pisałem teksty i wyreżyserowałem trzy programy. Wciąż marzyło mi się jednak dziennikarstwo, stabilizacja zawodowa i finansowa. Dowiedziałem się jednak – od kolegi ze studiów, który dostał pracę w cenzurze – że ja, podobnie jak inni dziennikarze z dawnych „Poglądów”, mam zakaz etatowej pracy dziennikarskiej. Ale, jak mnie przy wódce u owego kolegi poinformował szef cenzury, ręce tutejszego sekretarza KW sięgają tylko do granic województwa.

#### **I wtedy wyjechał Pan do Warszawy...**

Właśnie, to był rok 1961. Nie miałem we Wrocławiu pracy ani mieszkania... Na szczęście miałem w Warszawie rodzinę, ale po roku zaczęła się kolejna sublokatorska wędrówka. Ale pisałem! I to dużo, do niezłych (w owe lata) pism: „Nowej Kultury”, „Świata”, „Polityki”, „Przeglądu Kulturalnego”, do tygodników młodzieżowych. Na dwa lata związałem się z pismem harcerskim „Drużyna”, później prawie 7 lat pracowałem w „Życiu Gospodarczym”. Równocześnie publikowałem w innych pismach aforizmy, fraszki, napisałem kilka sztuk teatralnych i adaptacji, którymi zainteresował się Teatr Polskiego Radia i Teatr Telewizji. Kilka jednoaktówek wystawiono za granicą:



w Czechosłowacji, Szwajcarii, Anglii, ówczesnej RFN, Bułgarii, Kanadzie... W roku 1970 zaproponowano mi kierownictwo telewizyjnego Teatru Rozrywki. Przez dwa lata zrealizowałem 40 spektakli w Warszawie i kilkanaście w innych ośrodkach. Uważałem to za przygodę swego życia, ale właśnie wtedy pojawił się osławiony Maciej Szczepański (zwany nie bez kozery „Krwawym Maciusiem”), który rozpędził więcej niż połowę pracowników telewizji, likwidując wiele programów, w tym i mój Teatr Rozrywki. Później pracowałem jeszcze w Interpressie, w „Przeglądzie Technicznym”, ale dziennikarstwo przestało mnie bawić. Za dużo było interwencji i wymagań niezbyt mądrych szefów. Przerzuciłem się na handel, tak, zacząłem handlować książkami i obrazami. Chyba stałem się nawet niezłym znawcą polskiego malarstwa. Oczywiście wszystko było robione po cichu, po znajomości, ale popyt był duży, bo w stolicy Polski działały wówczas zaledwie – i to z ograniczeniami – cztery sklepy ze starociami i trzy antykwariaty książkowe. Pisałem natomiast okazjonalnie do emigracyjnej „Kroniki” w Kopenhadze, oczywiście za darmo i pod pseudonimem.

Dogadałem się też z prof. Wieczorkiewiczem na temat niedokończonych we Wrocławiu pracy magisterskiej oraz doktorskiej na temat gwary lwowskiej. Ale profesor nieoczekiwanie zmarł i okazało się, że nie ma w Warszawie specjalisty, który by mógł poprowadzić taką pracę. W dodatku dowiedziałem się, że pani prof. Zofia Kurzowa pisze w Krakowie i wydaje książkę o polszczyźnie Lwowa. Gdy zatelefonowałem do niej, powiedziała, żebym się nie trudził, bo ona już wszystko opisała. Po wydaniu tej książki okazało się, że jej słownik liczy około 1000 lwowskich słów i zwrotów, a w moich fiszkach jest ich 4 tysiące! Może jeszcze kiedyś wrócę do tego tematu...

**Zdaje się, że zbliżamy się do momentu, kiedy wszedł Pan wreszcie na najważniejszy odcinek swojego życia.**

Można tak powiedzieć. Gdy w roku 1989 powstało w Warszawie Towarzystwo Miłośników Lwowa, wszedłem do jego bardzo licznego wtedy zarządu. Po pewnym czasie podjęto decyzję o wydaniu Biuletynu Oddziału. Do zespołu redakcyjnego weszło 8

osób, same znane i ważne nazwiska, a ja miałem tym kierować. Jednak było to zbyt trudne, bo wszyscy mieli ogromnie dużo pomysłów, a niezbyt wiele chęci do konkretnej pracy. W efekcie po półrocznych delibercjach wyszło powielaczowe pismo, którym trudno było się pochwalić. Wtedy postanowiłem, że można inaczej. Dobrałem sobie ludzi mniej znanych, ale takich, na których można było polegać. I tak powstał „Rocznik Lwowski” – pierwszy numer wyszedł pod koniec 1991 roku. Do dziś wydaliśmy ich już dziesięć, niektóre podwójne – to efekt braku pieniędzy i kłopotów z uzyskaniem sponsorów. Numer 11 od grudnia leży gotowy do druku i także czeka na sponsorów...

#### **Czy Instytut już wtedy istniał?**

Założyliśmy go w 1991 roku i zarejestrowaliśmy jako działalność gospodarczą. Taki status ułatwił nam życie, mogliśmy podejmować wydawnictwa. Postaraliśmy się o dotacje z Komitetu Badań Naukowych i mamy je do dziś, niestety coraz skromniejsze. Podobno za dużo chętnych...

#### **Ale wydajecie nie tylko „Rocznik Lwowski”.**

Oczywiście, mamy już całą serię książek lwowskich, jednak wydawanych głównie nakładem autorów. Na 13 tytułów tylko dla trzech dostaliśmy dotacje – był między nimi album Wojciecha Wingrałka *Tam gdzie lwowskie śpią Orleża*.

#### **Czy koszty zwracają się ze sprzedaży?**

Udało się tylko w dwóch wypadkach, i to po paru latach: za moje *Lwowskie misztygalki* i Budzyńskiego *Rozmówki Aprikozenkranca i Untenbauma*. Do innych trzeba dopłacać.

**Jak sobie radzicie z obsługą takiej działalności? Wiem po własnych doświadczeniach z naszym kwartalnikiem, który ma przecież o wiele skromniejszy zakres rzeczowy i ilościowy, ale wymogi biurowe i przyprawy często o ból głowy.**

Sami byśmy nie dali rady. Te wszystkie formalno-księgowo sprawy prowadzi dla nas Bogdan Kasprowicz w Bytomiu – tak, ten od „Teatryku bez granic” – który ma tam biuro podatkowe. Spłacamy mu książkami. Zresztą sam wydał u nas trzy tomiki wierszy: swo-

jej matki Marii Bieleckiej-Kasprowicz i dwa własne. Więc jakoś sobie radzimy.

**Są jeszcze inne formy działalności Instytutu, prawda?**

Oczywiście. Przede wszystkim aukcje książki i grafiki. Było ich już dwanaście.

**Wiem coś o tym, bo niejedno stare wydawnictwo lwowskie zamówiłem u Pana listownie na podstawie ofert, które Pan rozsyła. A gdzie Pan to wszystko zbiera? To chyba ciężka praca...**

Skupuję przy różnych okazjach. Ludzie oferują, a ponadto co sobota i niedziela chodzę na bazar, na targi staroci. Byłem już dzisiaj rano, dlatego umówiłem się z Panem dopiero na jedenastą. Dzięki aukcjom zdobywam fundusze na utrzymanie redakcji, bogatą korespondencję, transport, magazyn...

**Właśnie! Nawet to mieszkanie jest nabite książkami, obrazkami, medalami, ekslibrisami, a w szafach stopy starych fotografii i druków ulotnych.**

Ten zbiór odnawia się nieustannie. Kolekcję widokówek nabyła u mnie Biblioteka Narodowa i wydali z tego piękny album. Ale nie wszystko jest na sprzedaż. Do wielu rzeczy, które Pan widzi, jestem bardzo przywiązany.

**Dobrze rozumiem, bo mam też sporo różnych rzeczy. Problem w tym, co z tym będzie w przyszłości. Przecież moja rodzina, choć życzliwa temu szaleństwu, nie będzie mogła żyć wśród tych stosów książek i pamiątek, bo już mają swoje własne. Podobny problem ma wiele osób i rodzin w całym kraju, a dodajmy, że te wszystkie zbiory powinny służyć nauce i pamięci o rodzinnej Ziemi. Ale przecież nie powinno się to rozproszyć po dziesiątkach bibliotek, muzeów, archiwów. I muszą się znaleźć ludzie, którzy przejmą cały zakres zainteresowania i badań nad tym, co powstało i co pozostało na Ziemiach Wschodnich i czym te ziemie były dla Polski. Rzecz jednak w tym, że oni już nie będą pracować amatorsko, jak nasze pokolenie. Więc najwyższy czas, byśmy podjęli, czy wzmogli, zabiegi o utworzenie ogólnopolskiej instytucji naukowo-badawczej, z własnymi, przebogatymi zbiorami. Niemcy już od dawna mają swój Ostinstitut. Ale to**

**osobny temat, będziemy do niego na pewno nieraz wracać.**

**Jakie są jeszcze inne formy działania Instytutu?**

Prowadzimy odczyty i konsultacje. Tych pierwszych było przez dziesięć lat około 140, najwięcej wygłaszał Jan Wojciech Wingralek na temat Cmentarza Orłąt. A konsultacje – to pomoc magistrantom i doktorantom, którzy piszą o Lwowie, o ludziach kultury, uniwersytecie, szkolnictwie, prasie. W tej dziedzinie oprócz mnie działają panowie Oskar Stanisław Czarnik, Andrzej Mierzejewski i Krzysztof Smolana. Ktoś interesował się życiem codziennym we Lwowie po wojnie – tu mogłem jedynie wskazać źródła i bardziej kompetentnych znawców tematu. Ludzie pytają czasem o drobne, ale ważne dla nich informacje, trzeba więc szukać. Agencja Produkcji Filmowej wypożyczyła u nas zdjęcia do filmu o Karolinie Lanckorońskiej. Ostatnio zwróciło się Wydawnictwo Kluszczyński z Krakowa o wskazanie błędów w ich nowej *Encyklopedii Kresów*. Jest ich tam sporo.

**W Krakowie też parę osób się w to zaangażowało. Ja osobiście wysoko oceniam tę księgę, bo ona wypełnia ogromną lukę informacyjną dla szerokich kręgów. Ale zauważam także sporo istotnych braków...**

... a nawet nieporozumień. Opracowywali to zapewne młodzi ludzie, pełni dobrej woli, ale – co zrozumiałe – brakowało przygotowania i niezbędnego wyczucia.

**Pozwolę sobie znowu na dygresję: dziś może pomóc Pan i jeszcze jakaś liczba starszych osób. A kto pomoże za 10–20 lat, po naszym, choćby najdłuższym życiu (w zdrowiu)? Więc znowu wracam do tamtego tematu instytucji naukowo-badawczej, skupiającej ludzi, którzy nie incydentalnie, lecz profesjonalnie będą się zajmować tamtą połową historii i kultury polskiej. Ale skoro zesłiliśmy na encyklopedię, to przecież i Pan przygotowuje coś bardzo szczególnego: *Encyklopedię Lwowa*. Jak będzie wyglądać, kiedy się ukáže?**

Jest na ukończeniu – kwestia paru miesięcy. Mam ciągle pewne braki, muszę się po raz któryś wybrać do Lwowa, żeby uzupełnić szczegóły. Będzie dość obszerna, dużo ilustracji. Złożą się na nią trzy części. Pierwsza to hasła historyczne w układzie

chronologicznym. Następnie hasła rzeczowe – o mieście i najbliższych okolicach. Ostatnia część – o ludziach. Jest to więc raczej encyklopedyczna opowieść o Lwowie niż encyklopedia *sensu stricto*.

**Bardzo na to czekamy i liczymy, że Pan sprostuje nieporozumienia, które zaistniały w tamtej encyklopedii. Że wśród lwowiaków znajdują się prawdziwi, znakomici profesorowie, pisarze, artyści, lekarze, inżynierowie, działacze, za to bez Schaffów i Kuroni. Ważne też, by liczni turyści, głównie młodzież, dowiedzieli się o polskości Lwowa i lwowian, bo na Łyczakowie coraz więcej nagrobków dostaje niepolskie napisy – ostatnio wielki architekt Julian Zachariewicz...**

**I jeszcze na koniec: nie mówiliśmy dotąd o Pana własnej twórczości literackiej.**

Wydałem kilka książek o Lwowie, m.in. już tu wspomniane *Lwowskie misztygalki*, trzy tomiki swoich wierszy i limeryków, tomik aforyzmów, tomik anegdot i dowcipów żydowskich ze Lwowa, kilka sztuk scenicznych, a także książkę publicystyczno-naukową: *Na rzecz Wolnej Polski* – o Towarzystwie Polskim w Danii – jednej z emigracyjnych, niepodległościowych organizacji, o których niepodległa ojczyzna jakby zapomniała... Przygotowuję kolejne zbiorki wierszy. A także aforyzmy, bo napisałem ich prawie 7 tysięcy. Niestety w Polsce nikt ich nie potrzebuje, za to drukują mi je w polskiej prasie w Kanadzie.

Wie Pan, nie napisałem dotąd powieści. Teraz nad taką rozmyślam – pod tytułem *Umrzeć we Lwowie*. Rzecz ma dzieć się we Lwowie przedwojennym, ale ja – jako jej bohater – będę miał świadomość i doświadczenie dzisiejsze. Stąd wynikną różne paradoksalne i zabawne sytuacje, spięcia. Mam mnóstwo pomysłów.

**Wspaniale! Czekamy na to wszystko. I myślimy o przyszłości. A za tę rozmowę bardzo serdecznie dziękuję – w imieniu redakcji i Czytelników.**

---

JANUSZ WASYLKOWSKI, ur. 1933 we Lwowie. Mieszkał przy ul. Reymonta (przecznica ul. Potockiego). Do czasu ekspatriacji uczęszczał do szkoły św. Marii Magdaleny. Członek Kolegium „Kolekcji Leopoldis” w Warszawie.

---

## Przypominamy...

Dowiedzieliśmy się niedawno, że Rosja nie uznała zamordowania przez bolszewików 22 000 oficerów polskich za ludobójstwo. Zbrodnia to wielopłaszczyznowa, bo dotyczy nie tylko 22 tysięcy ludzi zabitych planowo i zbiorowo, ale zarazem jeńców wojskowych, których chronią wszelkie międzynarodowe konwencje. Zważmy, że Niemcy – nie umniejszając ich zbrodniczości czasu II wojny światowej – te akurat zasady respektowali i wiele set tysięcy jeńców hitlerowskich oflagów i stalagów po wojnie powróciło do swych domów lub udało się (z całkiem innych powodów) na emigrację.

Cóż, widać, że Rosjanie owe 22 tysiące uznali nie tylko za polityczny dyskomfort, ale zarazem za *drobiazg* wobec milionów własnych obywateli różnych narodowości, których w straszny sposób wybili albo zagłodzili (z pełnym rozmysłem i konsekwencją).

A dziś – jak to oglądamy w telewizji – post-sowieckie staruszki pokazują się w Moskwie na manifestacjach z portretami największego zbrodniarza w historii świata – Stalina. Widać zapomniały, a może i wtedy dobrze rozumiały, że batuszka musi – dla dobra radzieckiej ojczyzny i całego świata – rozprawić się z wrogami jedynie słusznej nauki i świetlanej przyszłości. Tak je wszak uczono nie tylko w szkole i komsomole – podstawy tej mentalności wyniosły zapewne z domu i cerkwi. Nie zapominajmy, że najgłębszym fundamentem tej mentalności jest bizantyzm, z którym zesłała się nauka i praktyka komunizmu. I jeszcze na pierwszego dostawały pensyjkę, z której dało się wyżyć do końca miesiąca, a mieszkanie i komunikacja były za pół darmo. Niektórym nawet udało się za dobrą pionierską postawę pojechać do Arteku...

No, a my z tymi 22 tysiącami? Właśnie, dlaczego zbrodnie sowieckie ograniczamy do owych 22 tysięcy?

A co z kilkuset tysiącami pomordowanych w więzieniach – by tylko wspomnieć Łąckiego, Brygidki, Zamarstynów, Złoczów i setki innych miejscowości na całych Ziemiach Wschodnich? A co z tymi tysiącami starców i dzieci – spośród półtora miliona deportowanych do Kazachstanu, na Syberię, do Archangielskiego Kraju – którzy nie przeżyli, bo wiadomo było z góry, że przeżyć nie mogą...

A może nam wyjaśnią, że ci wywożeni i ci mordowani w więzieniach – to obywatele Związku Socjalistycznych Republik Rad, więc nasze pretensje to wtrącanie się w wewnętrzne sprawy tego innego państwa? Takie argumenty już były...

Ale my przypominamy naszym politykom, że ofiarami byli Polacy. I że sowieci wymordowali nie tylko 22 tysiące Polaków.

Na lutowym spotkaniu w Klubie „Zaulek” wystąpił dobrze nam już znany – z kilkunastu tomików poetyckich i wierszy drukowanych w naszym kwartalniku – poeta Krzysztof Kołtun. Mieszka w Chełmie, lecz korzenie wiążą go z Wołyniem (rodzina pochodzi z Lubomla). Ostatnio wydał swój o s i e m n a s t y zbiór wierszy, a w nim, jak we wcześniejszych tomikach, w subtelnej poetyckiej formie ułożone refleksje wołyńskie – z Madonną, krzemienieckim Wieszczem, pejzażem, tragedią ludobójstwa. Pisze też Kołtun o stronach poleskich, tarnopolskich, lwowskich...

Za zgodą Autora przedstawiamy dwa wiersze z nowego zbioru: pierwszy o Matce Boskiej Sokalskiej, której obraz po kilkudziesięciu latach c z a s o w e g o pobytu u krakowskich Bernardynów powrócił nad Bug – do Hrubieszowa, bliżej Sokala. Drugi wiersz wiąże się z niedawno obchodzoną 60. rocznicą ukraińskiego ludobójstwa na Wołyniu (i nie tylko). Stąd tytuł tomiku: „Psalterz z Porycka”.

Słuchałaś wód Bugu  
od jutrzni  
do zamknięcia bram wieczoru  
na wysepce w Sokalu.

Kapały łzy jak wosk świec  
z pielgrzymich twarzy.  
Słuchałaś skarg  
i nieraz współcierpiąca,  
od Jagiełłowych czasów  
– tylekroć wynoszona z ognia –  
spłonęłaś w ogniu świętołica.

Opatrzności ręka  
znalazła malarza  
– na nowej desce  
wymalował twarz,  
oczy staropolskie,  
ręce.  
Przyodział w sukienkę.

Kule gwizdały  
– woda wzbierała,  
krew płynęła nowenną.  
Ocalałaś.  
Enkawudzista – widząc Twoje serce  
kazał zabrać  
Twe lica – do Polski!

W Sokalu – więzienie,  
a została tam Twoja poświata.  
Przez Leżajsk, Kraków,  
królewskim traktem  
– wróciłaś na rubieżę,  
od Rzymu – na koniec świata.

W Hrubieszowie  
szepcą do Ciebie  
– Sokalska Pani, Pocieszenie...

jesień 2003 r.

Chowali się z karabinami  
w sadzie, za murem  
– w kościele modliły się dzieci.  
Weszli Ukraińcy  
– butami podeptali modlitwę,  
jak do litanii, zaczęli strzelać.  
Do każdego  
w głowę, piersi  
– tarcze Chrystusowe.  
Łuski poraniły Dzieciątko  
przytulone do Matki Bożej.  
Krwia obryzgała ołtarz,  
progiem kościoła, stróżką  
spłynęła na drogę  
– miała prowadzić  
przez Ukrainę.

Łzy matek, perłami dzwoniąc  
padały, wokół Hostii.  
Czyż nie mogłeś posłać Aniołów  
herbowych, świętych  
z wołyńskich kościołów,  
Boże Mocny!

Od sutanny zabitego księdza,  
z wiązek słomy  
– rozpalili ogień.  
Nie zapalił się kościół,  
wysłany trupami  
– długo konających,  
wołając Miłość Najdroższą  
o utulenie do wiecznego snu  
– młodych oczek.

Powrzucaли ciała do dołu  
– pod dzwonnica.  
Zakopali Polaków...  
Spokój...  
Nigdy dotąd Wołyń z Męczenników  
– nie słynał.  
Teraz – odpowiadają w świecie  
– Męczenników Jerozolima –  
w niej Poryck, Kisielin, Chrynow, Zabłoćce  
i zamordowany Chrystus.

11 VIII 2003 r.

Alina Dawidowiczowa

# O Lwowie, o domu, o sobie

*Wielu Czytelników zna zapewne ciekawe i uroczne wspomnienia pani Aliny Dawidowiczowej pt. „Zeschnięte liście i kwiat” (Wydawnictwo Literackie, Kraków 1989). Córka Leona Chwistka była przez wiele lat powojennych wykładowcą matematyki na Politechnice Krakowskiej.*

*Wszystkich lwowian, którzy tę książkę poznali, na pewno ujęły słowa Autorki na samym wstępie rozdziału zatytułowanego „Lwów – pierwsze wrażenie”. Cytujemy: „Ojciec zachwycił się Lwowem, miasto to-nęło w zieleni, okolica była żyzna – służąca z targu przynosiła wspaniałe owoce, grzyby, jarzyny – ojciec twierdził, że nawet dziewczęta są dorodniejsze. Nie wiem, czy zgodziłby się wrócić, gdyby go powołano na katedrę do Krakowa”. I potem już przez kilkadziesiąt stron o Lwowie, o domu na „Jaska Górze”, o rodzinie i środowisku kulturalnym miasta, o szkole, o Borysławiu w czasie wojny.*

*Oto wspomnienie Autorki, wygłoszone przed paru laty na spotkaniu w TMLiKPW w Krakowie.*

Zaczną patetycznie – zacytuję słowa Jana Pawła II, wypowiedziane do Polaków w Londynie: *Wy nie jesteście emigracją – wojna zmusiła was do opuszczenia swych domów.* To samo dotyczy lwowian, którzy w rodzinne strony mogą jeździć jedynie na wycieczki. I ja przeżyłam tę akcję wysiedleńczą, nazwaną niesłusznie „repatriacją”. Nikt z nas nie wracał do domu, lecz go opuszczał.

Moja osobista sytuacja była w tym wypadku może nietypowa, bo zostawiając we Lwowie dom, którzy stworzyli moi rodzice, i dom w Borysławiu moich teściów, gdzie mieszkalam w czasie wojny, wracałam do miejsca mego urodzenia – Krakowa.

Na wsi dzielą ludzi na „krzaki” i „ptaki” – w Krakowskim mówi się *krzoki* i *ptoki*. Te pierwsze nie ruszają się ze swych zagród, drugie przenoszą się z miejsca na miejsce. Mnie przypadł w udziale los *ptoka*. Urodzona w Krakowie, w mych wczesnych latach nie bardzo sobie wyobrażałam, że może coś istnieć poza tym miastem. I tak nadal sądzą

moje dawne, wiekowe dziś koleżanki. To są właśnie te straszne krzoki.

Nie miałam 13 lat, kiedy pojechałam z rodzicami do Lwowa. Jak do tego doszło? Ojciec mój, Leon Chwistek<sup>1</sup>, był filozofem, logikiem, ale i malarzem. Był krakowianinem z urodzenia, studiował i habilitował się w Krakowie i tu związał się z grupą malarzką *formistów*. Tak pisał o nim Witkacy: *Chwistek uczy w gimnazjum w Krakowie, ale nie może dostać katedry, bo napisał artykuł do czasopisma „Nuż w bżuchu”.*

Tytuł był programowo napisany nieortograficznie. Lwów okazał się bardziej wielkoduszny i ojciec dostał tam katedrę logiki na wydziale matematyczno-przyrodniczym, wykładał także filozofię. Na marginesie chcę zwrócić uwagę, że mój ojciec jest twórcą modnego dziś, często używanego pojęcia *rzeczywistość*, taka lub inna. Rozróżnienie *rzeczywistości* to pomysł mojego ojca, autora książek *Wielość rzeczywistości* i *Wielość rzeczywistości w sztuce*.

Ojciec przyjechał do Lwowa w r. 1930, a ja z matką w następnym roku. Przybyłam do tego miasta pełnego drzew i ogrodów wczesną jesienią. Wrażenie było bardzo silne, Lwów wydał mi się zupełnie inny niż Kraków. Miasto dużo większe, ulice szersze, domy wyższe, mnóstwo zieleni, która otacza miasto: Park Stryjski, Pohulanka, Łyczaków, Wysoki Zamek! W lecie moc słońca, w zimie śnieg i słońce. Wjechałam w inny świat.

Moim rodzicom brakowało trochę artystycznego klimatu Krakowa, ojców brak było Akademii Sztuk Pięknych i klimatu, który w Krakowie wiązał się z Zielonym Balonikiem, z Wyspiańskim. W Krakowie nawet ludzie z innych środowisk, ziemianie i arystokraci, prowadzili rozmowy

Alina Chwistkówna ze swym wujem,  
prof. Hugonem Steinhausern, 1936







Obrazek Leona Chwistka:  
„Na górze św. Jacka”, 1938

o teatrze, o malarstwie. Lwów miał moc innych spraw i większy rozmach. W XIX wieku i na przełomie wieków była to stolica. Poza Uniwersytetem były inne uczelnie: przede wszystkim Politechnika i bardzo niedaleko miasta Dublany – Akademia Rol-

nicza. W kawiarniach ziemianie, przemysłowcy, inżynierowie. Lwów był bardzo patriotyczny. W gimnazjum Królowej Jadwigi, w którym zdawałam maturę, uczyły mnie samotne osoby, których narzeczeni zginęli w Obronie Lwowa. Otwierały się przede mną inne obszary intelektualne, zmuszały do nowych przemyśleń.

Wkrótce po naszym przyjeździe zaczęła się zima. W Krakowie miałam już narty, ale tylko raz zrobiłam z moją ciotką i z moją kuzynką wycieczkę do Łasku Wolskiego. We Lwowie zamieszkaliśmy na Górze św. Jacka, w willi profesora zoologii Politechniki Lwowskiej Benedykta Fulińskiego<sup>2</sup>. Profesor miał czterech synów i córkę, a jeden z synów, Stefan, był moim rówieśnikiem. Gdy „Jacka Góra” pokryła się śniegiem, było tak jakbyśmy mieszkali w schronisku w Dolinie Chochołowskiej. Po powrocie ze szkoły i po obiedzie przypinaliśmy narty i jechaliśmy ze Stefanem i jego kolegami śnieżną białą przed siebie.

Lwów był bardzo muzykalny. Śpiewano nie tylko ciągle popularne regionalne lwowskie piosenki. Orkiestry uliczne, których była moc, grały i śpiewały bardzo ładnie modne tanga, szlagiery, często autorstwa Hemara, który był lwowianinem i autorem piosenki w rytmie walca:

*A gdybym drugi raz urodzić się miał  
– tylko we Lwowie...*

Miałam to szczęście we Lwowie, że moje stosunki układały się dobrze zarówno z gro-nem nauczycielskim, jak i z koleżankami w szkołach, do których chodziłam – gimnazjum Zofii Strzałkowskiej (które miało wspa-niałą ogród) i gimnazjum Królowej Jadwigi, które ukończyłam. To drugie zwłaszcza uchodziło za szkołę, gdzie trzeba się uczyć. Odpowiadało mi to, nie zdawałam sobie sprawy dlaczego. Niedawno dopiero zetknę-

łam się ze zdaniem, które mi to wyjaśniło. Surowością – nie przesadną oczywiście – nauczyciel okazuje uczniowi szacunek, po-błażliwością – lekceważenie.

**W** jesieni 1937 r. rozpoczęłam studia ma-tematyczne. Lwowska szkoła matematycz-na jest sławna do dzisiaj, a niewątpliwie duża w tym zasługa mojego wuja Hugona Steinhau-sa<sup>3</sup>, który wniósł do Lwowa problematy-kę, z jaką zetknął się w Getyndze, gdzie stu-diował u największych matematyków tamtych czasów. Ale najwybitniejszą indywidualnością matematyczną był we Lwowie Stefan Banach. Zmarły przed laty w Krakowie ksiądz profesor Andrzej Turowicz, matematyk i przed wojną asystent Politechniki Lwowskiej, opo-wiadał mi, co przeczytał w jakiejś amerykań-skiej książce: matematyków było najpierw parę tysięcy, potem miliony, potem miliony milionów, ale matematykę stworzyło paru ludzi – wśród nich Banach. Umarł zaraz po wojnie, a jego przyjaciel, profesor Mazur, współtwórca *Księgi Szkockiej* – niedawno. *Księga Szkocka*<sup>4</sup> – zeszyt, w którym mate-matycy lwowscy spisywali zagadnienia, wy-szła na Zachodzie w angielskim tłumacze-niu. W Poznaniu marli profesorowie Władysław Orlicz<sup>5</sup> i Andrzej Alexiewicz<sup>6</sup>, w Krako-wie prof. Feliks Barański. Na Politechnice Lwowskiej wykładał też mój drugi wuj Włod-zimierz Stożek<sup>7</sup> oraz prof. Antoni Łomnicki<sup>8</sup>, którego prace zostały wysoko ocenione po wojnie. Obaj zginęli zamordowani przez Niemców w grupie profesorów uczelni lwow-skich<sup>9</sup>. Nie żyją już uczniowie lwowskiej szkoły matematycznej, którzy zdobyli po II wojnie wielką sławę w USA: Stanisław Ulam i Ma-rek Katz. Międzynarodową sławę zyskał rów-nież zabity przez Niemców Juliusz Szauder.

**W**uj Hugo Steinhaus znalazł się po woj-nie we Wrocławiu, jako jedyny tam przed-stawiciel szkoły lwowskiej matematyki. Był bardzo lubiany, o czym świadczą liczne o nim anegdoty.

■ *Rzecz dzieje się na zebraniu Akademii Nauk w parę lat po wojnie. Wymiana zdań między przewodniczącym a Steinhausem:*

*– Panie Profesorze, jak Pan usprawiedliwi swoją nieobecność na poprzednim zebraniu?*

*– Zaraz wyjaśnię moją nieobecność, jeżeli parę osób tutaj zechce wyjaśnić swo-ją obecność!*

■ *Rektor Kulczyński zwrócił się do Steinhausa z propozycją, by o godzinie 8 rano witał na dworcu wrocławskim Pabla Picassa<sup>10</sup>. Odpowiedź:*

– *Magnificencjo! Na dworzec nie przyjdę, ponieważ jestem chory na ciele i zdrowy na umyśle!*

■ *Zapytano Steinhausa, ile razy przekroczył granicę.*

– *Mogę najwyżej powiedzieć, ile razy granica mnie przekroczyła...*

Kazimierz Dziewanowski w swej książce *Reportaż o szkiełku i oku* (wyd. „Iskry”, 1963) cytuje taki wrocławski wierszyk o wujciu Hugu:

*My tu katolicy i marksiści,  
Żydzi i komuniści,  
Jesteśmy po kroćset kroci  
Wszyscy po trosze hugenoci.*

\* \* \*

Lwów i matematykę lwowską opuściłam w grudniu 1939 roku. Po ślubie zamieszkałam z mężem u moich teściów w Borysławiu. Pracowałam tam jako urzędniczka na Ponerli, na małej polance w górach, wśród lasów i szczybów.

Wysiedlili nas w czterdziestym czwartym.

PRZYPISY

<sup>1</sup> Leon Chwistek (1884–1944), ur. w 1884. Wybitny filozof, matematyk, malarz i teoretyk sztuki. Krakowianin, w r. 1930 został powołany na

katedrę logiki na Uniwersytecie Jana Kazimierza we Lwowie. Jego kandydaturę poparł wielki filozof angielski Bertrand Russell. L. Chwistek był żonaty z siostrą prof. Steinhausa, Olgą. W tym numerze zamieściliśmy również informację o wystawie rysunków L. Chwistka w Galerii „Krzysztofor” w Krakowie – patrz w dziale *Kultura-Nauka*

<sup>2</sup> Benedykt Fuliński (1881–1942), ur. w Chlebowicach Świrskich k. Bóbrki. Zoolog, profesor na wydziale rolniczo-leśnym Politechniki Lwowskiej. Jego lwowska willa znajdowała się przy ul. Tarnowskiego 82.

<sup>3</sup> Hugo Steinhaus (1887–1972), ur. w Jaśle, współtwórca Lwowskiej Szkoły Matematycznej. Swoje lata lwowskie (1916–41) opisał w książce *Wspomnienia i zapiski* (wyd. „Aneks”, Londyn 1992).

<sup>4</sup> Nazwa pochodzi od Kawiarni Szkockiej przy ul. Akademickiej we Lwowie, którą upodobali sobie matematycy. Zeszyt ofiarował im właściciel kawiarni, by zapobiec pisaniu przez nich na blatach stolików.

<sup>5</sup> Władysław Orlicz (1903–1990), matematyk. Po wojnie profesor UAM w Poznaniu.

<sup>6</sup> Andrzej Alexiewicz (Lwów, 1917–1995), matematyk. Po wojnie profesor UAM w Poznaniu.

<sup>7</sup> Włodzimierz Stożek (1883–1941). Matematyk, profesor Politechniki Lwowskiej. Zamordowany przez Niemców wraz z dwoma synami na Wzgórzach Wulekich.

<sup>8</sup> Antoni Łomnicki (1881–1941), ur. we Lwowie, pionier kartografii matematycznej

<sup>9</sup> 4 lipca 1941 na wzgórzach Wulekich.

<sup>10</sup> Picasso przybywał do Wrocławia na tzw. Kongres Pokoju w r. 1948.

## Nasze klimaty

*Wpadł w nasze ręce stary, z pierwszych lat XX wieku, podręcznik ogrodnictwa\*, gdzie znaleźliśmy opis klimatu Galicji/ Małopolski, podzielonej – wedle ustalenia dokonanego przez profesora Akademii Dublańskiej, Kazimierza Szulca – na pięć stref. Ciekawostkę tę przedstawiamy Czytelnikom. Pisownię uwspółcześniono.*

[...] Praca ta dzieli Galicję przede wszystkim na część nizinną, obejmującą cztery pierwsze strefy, i na część górską, biegnącą mniej więcej szerokim pasem wzdłuż południowej granicy kraju i stanowiącej strefę piątą. Granica pomiędzy częścią nizinną

a górską zaczyna się cokolwiek powyżej\*\* Białej; biegnie stąd ku wschodowi powyżej Wadowic, Myślenic, Bochni, Krosna, aż do granicy bukowskińskiej. W części nizinnej wyróżnia się 4 strefy. Z tych:

- I obejmuje zachodnią, nizinną część kraju, aż prawie po Rzeszów;
- II ciągnie się od Rzeszowa do Brodów, granicząc od północy i wschodu z Lubelskiem i Wołyniem, a dotykając na południu Lwowa i Złoczowa – zajmuje zatem całą północno-wschodnią część kraju;
- III stanowi górne dorzecze Dniestru z Samborem i Stryjem oraz północna część Podola galicyjskiego z Tarnopolem;
- IV stanowi Pokucie i południowa część Podola galicyjskiego, czyli dolne dorze-

## Moja lwowska edukacja (2)

Dokończenie z nr. 1/05

po ukończeniu drugiej klasy szkoły powszechnej, nie wiem z jakich powodów, przeniesiono mnie do Szkoły Ćwiczeń przy Państwowym Seminarium Nauczycielskim im. St. Sobińskiego. Znajdowało się ono w tym samym budynku, lecz na wyższym piętrze. Nie potrafię powiedzieć dlaczego szkoła M. Konopnickiej była 7-klasowa, zaś tzw. popularnie Ćwiczeniówka tylko 5-klasowa. Przypuszczam, że wiązało się to z zamierzoną przez rodziców dalszą edukacją.

Ćwiczeniówka była poligonem doświadczalnym dla przyszłych adeptów zawodu nauczycielskiego, do których mieliśmy obowiązek zwracać się tytułując *panie kandydacie*. A oni byli dla nas – mimo swego doświadczenia – poważnymi panami, tym bardziej że niektórzy mieli już pod nosem wyraźne wąsy, dodające oczywistej powagi. Cała ta szkoła miała zupełnie inny charakter, była znacznie poważniejsza, do czego przyczyniał się wiek i wygląd kadry nauczycielskiej. Ta wywodziła się przeważnie jeszcze z czasów cesarsko-królewskich i Miłośnicwie Panującego Pana. Ponieważ ojciec mój – wbrew swej zgoła innej karierze zawodowej – posiadał wykształcenie pedagogiczne, miał wśród tamtejszych nauczycieli kilku swych kolegów ze szkół, a także ze „Strzelca”, tej bardzo popularnej organizacji niepodległościowej w ówczesnej Galicji. Z tego wynika, że nauczyciele ci byli w wieku ok. 50 lat i nic dziwnego, że ubierali się wedle dawnej mody, nosili sztywne kołnierzyki, tzw. *Vatermoerdery*, w których szczyty wysokości osiągał kierownik szkoły pan A. Grabowski. Coś przerażającego, jak się można dobrowolnie samoudręczać!

Dyrektorem Seminarium był pan Zimmerman, a następnie pan Koziara. Były to autorytety, przed którymi drżeliśmy z szacunku, a przede wszystkim ze strachu. Czy był to słuszny kierunek tworzenia autorytetów, należy raczej wątpić. Brak takich obecnie prowadzi z kolei do upadku porządku społecznego, a nawet rozkładu moralnego.

Tamtejszych nauczycieli pamiętam mniej niż ze szkoły M. Konopnickiej, co musi mieć jakieś swoje uzasadnienie. Jednym z tych nauczycieli, chyba od języka polskiego, był szwagier mojego ojca Józef Lubczyński. Uczył tam także swojego syna Janusza, który był wtedy moim kolegą w tej samej ławce. W pewnym okresie spędziłem wakacje letnie w domu letniskowym tej rodziny, w Żelemiance koło Hrebenowa, pośród olbrzymich lasów, będących własnością barona Groedla. Wspólnikiem przy budowie tego domu był prof. Szklarczyk ze Lwowa, także znajomy mego ojca. Podczas pierwszej okupacji sowieckiej był on działaczem podziemnej organizacji niepodległościowej i został zaaresztowany przez NKWD, więziony i skazany na zesłkę. Ojciec mój, także aresztowany w tym czasie, spotkał go w maju 1941 r. – po więzieniu w Starobielsku i Charkowie – na zauralskich stepach w okolicy Karabasu. Innym zapamiętanym nauczycielem, bodajże od ćwiczeń celnych, był pan Kapałka, *strzelecki* kolega ojca. Z zajęć tych miałem permanentnie notę jedynie dobrą, a to znaczyło, że byłem jakąś niezdarą. Jak widać, taryfy ulgowej tam nie doznawałem.

Wydaje mi się, że tam właśnie, a nie u *Konopnickiej*, uczył nas języka ruskiego wąsaty, groźnie wyglądający, ale bardzo goździwy i przywoity pan Madurowicz. Mieszkał gdzieś w okolicy ul. Snopkowskiej i tam spotykałem się później z jego synem, bardzo miłym i sympatycznym. Gospodarzem klasy i nauczycielem rachunków był pan Wincenty Lewicki, którego syn Adaś był wtedy moim kolegą. Nie zetknąłem się z nim nigdy po wojnie, wiem natomiast, że żył i działał w Tarnowie jako aktywny członek organizacji kresowej\*.

Muszę wspomnieć bardzo miłego pana kandydata nazwiskiem Piesch\*\*, który dzięki ładnemu głosowi oraz nienagannej dykcji występował zawsze przy okazji różnych uroczystości szkolnych jako recytator. Przed kilkoma laty pani Castori, lwowska aktorka,

wspominała w jednej z krakowskich gazet aktora o tym samym nazwisku. Jestem przekonany, że nie był to przypadkowy zbieg okoliczności, lecz potwierdzenie dalszej kariery tego mile wspomnianego przeze mnie pana.

**W** Szkole Ćwiczeń nie czułem się dobrze, nic też dziwnego, że większość moich wspomnień pochodzi raczej z *Konopnickiej*. Nie wiem, czy na moją prośbę, czy z innych przyczyn, znalazłem się znowu w tym samym budynku o piętro niżej, czyli w klasie 5, prowadzonej przez panią W. Prydównę – pomiędzy większością moich dawnych kolegów. Dyrektora nadal pan A. Królik. Kiedy mój pradziadek, weteran z 1863 r., zaproponował mi towarzyszenie mu podczas uroczystości 15. rocznicy Powstania Śląskiego, na które został zaproszony, ojciec mój udał się do pana dyrektora z zapytaniem, czy uważa, że na takie wyróżnienie zasługuję, sam mając co do tego wątpliwości, wyraźnie wtedy okazywane. Pan dyrektor uważał, że takiej okazji nie można zmarnować i zgodę na mój wyjazd wyraził. Ojciec mój, ze względów jego zdaniem wychowawczych, kazał mi ucałować z wdzięczności pana dyrektora w rękę, co natychmiast usiłowałem uczynić, przy jego oczywistym opędzaniu się od moich zabiegów. Takie to były wówczas stosunki i metody wychowawcze! W nawiązaniu do tego muszę jeszcze wspomnieć, że ze względów wychowawczych prowadził mnie ojciec do sąsiedzkiego szewca-połatajki i tam odbywały się w mojej obecności rozmowy na temat przyjęcia mnie do terminu, jak się to wtedy mówiło. Stale byłem też straszony, że zostanie oddany do zakładu wychowawczego oo. Zmartwychwstańców przy ul. Piekarskiej, a co jeszcze gorsze, do tzw. *schulbruderów*, znanych mi z ulicy. Wszystko to były metody mające mnie utempero-

wać i zapędzić do nauki, w której wcale tak bardzo się nie zaniedbywałem.

Wracając do wspomnianego wyjazdu, nastąpił on do Katowic w maju 1936 r. Przeżyłem tam wiele wzniosłych chwil, m.in. siedząc podczas bankietu oddalony o kilka metrów od marszałka Rydza-Śmigłego. Odbyła się tam wtedy wielka defilada wojskowa i demonstracja prorządowa części byłych powstańców śląskich. Równocześnie miała miejsce podobna demonstracja, zorganizowana przez Wojciecha Korfantego, zdecydowanie antyrządowa. Już wtedy więc doświadczyłem, jak Polska potrafi się podzielić w sprawach zasadniczych! Korfantego poznałem później osobiście w jego willi zakopiańskiej „Elżbiecina”, która już obecnie nie istnieje, a była taka piękna, stylowa. Jego sekretarzem był mój wuj A. Ulman, działacz endecki po wojnie na terenie USA, który rzekomo był nosicielem tajemnicy śmierci gen. Sikorskiego.

**N**ie rozróżniając, z której szkoły pochodzili moi ówczesni koledzy, pragnę ich koniecznie wspomnieć dla uratowania nawet drobnych szczegółów personalnych związanych z ówczesnym Lwowem.



Autor w latach szkolnych  
(Kuźnice 1937)

Z moją częstą obecnością koło kościoła św. Mikołaja wiąże się dwóch braci bliźniaków Wagemanów: bardzo żywy, ciemnooki Stefan oraz jego brat Zdziszek, zdecydowanie cichy i spokojny. Mieszkali niedaleko, bo przy ul. Mochackiego, a ojciec ich był chyba związany z Biblioteką Uniwersytecką. Z nimi wieszałem się na linach podczas rozruchu dzwonów, pomiędzy nawą kościoła a budynkiem parafialnym. Największy z dzwonów nazywał się Pius i do jego rozkołysania trzeba było więcej kolegów niż nasza trójka. Tacy się zawsze tam znaleźli. Prawie vis-a-vis kościoła znajdował się sklep kolonialny pana Olecha. Nazwa *kolonialny* pochodziła

w tamtych czasach od sprzedawanego asortymentu, który pochodził w dużej mierze z tak licznych jeszcze wtedy kolonii. Mój koleżka, a syn pana Olecha, Lucek, był zawsze poważny, powściągliwy i na pewno nie wieształ się z nami na linach dzwonów. Ukończył studia i został lekarzem. Zgoła innym kolegą był Adaś Bielak, syn kapitana WP, wykładowcy w Korpusie Kadetów. Mieszkał przy ul. Jabłonowskich w tzw. blokach oficerskich. Pamiętam kolegę Stępka, który nie wiadomo z jakiego powodu miał na głowie wyraźnie jaśniejsze gniazdo włosów, wśród reszty zdecydowanie ciemniejszej. Może było to pourazowe? Moim towarzyszem powrotów ze szkoły był Jurek Kubala, mieszkający daleko, aż na Górnej Zielonej, w samotnie stojącym tam budynku pracowników Wodociągów Miejskich. Drugim był mieszkający bliżej, cichutki, niewielkiego wzrostu Sobieszcański, który odłączał się od nas w okolicy ulicy Wagilewicza. Nieco dalej, bo chyba przy ul. Sobińskiego, mieszkał bardzo ruchliwy i wesoly Michał Majewski. Z dość daleka, bo aż z osiedla Własna Strzecha, dochodzili do szkoły m.in. Staniewicz oraz Głanowski. Bliżej, bo w okolicy Góry św. Jacka, mieszkał Romek Muller oraz Jasio Wiktor. Pierwszy był narodowości niemieckiej i odnalazłem go przypadkowo po wojnie w RFN, jako nadal bardzo dobrego kolegę. Jaś był synem wykładowcy w Instytucie Sztuk Plastycznych przy Państwowej Szkole Technicznej. Przez długie lata, szczególnie w trudnym okresie pierwszej okupacji bolszewickiej, był moim najserdeczniejszym kolegą, prawie do samej swojej śmierci. Doskonale pamiętam Owsianego, bodajże Antka, mieszkającego gdzieś w okolicy ul. Ochronek, tam gdzie znajdowała się komenda Żandarmerii Wojskowej, popularnie zwanych *kanarkami*. Niejaki Wojtych był chyba synem znanego specjalisty od wyrobów srebrnych we Lwowie. Ciemnowłosy Wumela czarował z powodzeniem dziewczynki w okolicy placu św. Zofii, gdzie pojawiał się także niejaki Przyszła. Wielokrotny repetyent Smagacz, zajmujący tradycyjnie ostatnią ławkę, zwaną ośłą, wypijał na życzenie – ale za 10 groszy – atrament z kałamarza osadzanego w specjalnym otworze drewnianego blatu ławki. Przypomniałem sobie jeszcze Jurka Kożuchowskiego, z którym spędzałem niegdyś wakacje

w Tatarowie koło Worochty, a przede wszystkim Zdziszka Arnolda z ulicy Krasińskiego, z którym uprawiałem najdziksze zabawy w jego domu i przyległym sadzie.

Cały szereg bardzo licznej grupy kolegów wyznania mojżeszowego, których dobrze zapamiętałem – to rumiany Abend, otwierający zawsze listę uczniów w dzienniku lekcyjnym, zaraz za nim był niesamowicie piegowaty i otyły Bloch, a potem już Fenster, Feifel, Kaufer, Rosenberg, Unter i wreszcie Walisch, którego ojciec był pracownikiem lwowskiej „Chwilii”. Wątpię, by którykolwiek z nich się uchował, przeto tym bardziej wspominam ich jako dobrych kolegów, charakteryzujących się przeważnie szczególnymi zdolnościami i pilnością. Poprzez naukę rodzice pragnęli im zapewnić dobry byt w wybranym zawodzie. Rację miał przeto prof. Ebermann z Politechniki Lwowskiej, że jeśli się znalazł głupi Żyd – a Żydem był on sam – to głupszy jest od najgłupszego goja. Paradoksalne jest, że po I wojnie światowej był oskarżany jako zbrodniarz wojenny, będąc konstruktorem silników wysokoprężnych do niemieckich łodzi podwodnych\*\*\*

Kończąc, wspominam że nazwisko moje figurowało zawsze w dzienniku lekcyjnym pod numerem 42, a nawet 48, z czego wynika jasno, jak liczne były wtedy poszczególne oddziały szkolne. Nie mogę także pominąć faktu, że najlepszą notę określano wtedy jako jedynkę i nie wiem dlaczego notę niedostateczną nazywano cwajem, podczas gdy liczba ta w gruncie rzeczy logicznie była rezerwowana dla noty dobrej. Przypuszczam, że była to jakaś pozostałość, wywodząca się zwyczajowo jeszcze z czasów austriackich. Tą dygresją kończę swoje wspomnienia sprzed tak wielu lat.

Kraków, styczeń 2003

Autor składa podziękowanie p. Andrzejowi Konoplickiemu w Poznaniu za udostępnienie zdjęć, wykorzystanych w pierwszej części powyższych wspomnienia (CL 1/05).

\* Adam Lewicki był wieloletnim prezesem TMLiKPW w Tarnowie. Zmarł w r. 2000.

\*\* W latach po II wojnie występował w teatrach krakowskich jako Hugo Krzyski.

\*\*\* Informację tę przekazał autorowi znany konstruktor szybowców i pracownik naukowy Politechniki Lwowskiej, a potem Krakowskiej, inż. F. Kotowski.



# WĘGRZY W STANISŁAWOWIE

Stanisławów znajdował się dosłownie o krok od węgierskiej granicy. Na tym karpackim obszarze zamieszkałym przez wiele narodowości – Polaków, Ukraińców, Rusinów, Hucułów, Żydów, Niemców, Ormian, Węgrów, Rumunów i Cyganów – od stuleci przenikały się kultury. Podkarpacie było polskie, Zakarpacie już węgierskie, bez względu na to, czy tereny owe należały do Polski, Węgier czy wreszcie od początków XIX wieku do Austrii. Może właśnie w tym czasie Polaków i Węgrów po obu stronach Karpat najmocniej połączyło dążenie do odzyskania niepodległości. Było, minęło. Od roku 1945 tereny te znalazły się pod władzą radziecką, a dziś należą do Ukrainy. Obszar przenikania się kultur przestał istnieć. Warto chyba jednak przypomnieć dramatyczne lata, kiedy właśnie wbrew największym przeciwnościom losu Polacy i Węgrzy wspierali się wzajemnie. Również w Stanisławowie.

## Już w czasie Wiosny Ludów

Dobre imię Węgrów ugruntowało się w Stanisławowie już w czasie Wiosny Ludów w 1848 r. W skład stacjonującego w naszym mieście austriackiego garnizonu wchodził również szwadron węgierskich huzarów, dowodzony przez kapitana Janosa Lenkeya. Tuż po wybuchu powstania 15 marca 1948 r. w Budapeszcie doszło również na początku kwietnia do rozruchów w Stanisławowie. Podobnie jak na Węgrzech, polska ludność w Galicji domagała się wolności. Dowódca garnizonu polecił węgierskim huzarom spacyfikowanie demonstracji. Kapitan Lenkey odmówił wykonania rozkazu, bo solidaryzował się z żądaniem Polaków. Demonstrację stłumili Austriacy. Padły strzały, było wielu rannych i jeden zabity. W dwa dni później pogrzeb stał się okazją do jeszcze większej demonstracji. Znów wyszło wojsko. Jakież jednak było zdumienie Austriaków, kiedy okazało się, że trumnę niosą na ramionach węgierscy huzarzy, a w pogrzebie uczestniczy cały szwadron z bronią w ręku. Dzięki

temu uniknięto kolejnej masakry. Lenkey wiedział, co się dzieje w Budapeszcie, bo rewolucyjne nastroje patriotyczne dojrzewały tam od dłuższego już czasu. W dzień po udziale szwadronu w pogrzebie, kiedy to obok polskich flag znalazła się i węgierska, Lenkey został aresztowany. Wtedy szwadron zbuntował się i ruszył na Węgry. Dowódca garnizonu zwolnił wówczas kapitana z aresztu i wysłał go za huzarami, aby rozkazał im wrócić. Lenkey dogonił szwadron i dla zachowania pozorów dał się wziąć swoim huzarom za jeńca. Faktycznie natomiast poprowadził swój oddział przez zaśnieżone Karpaty na Węgry, co było już jawną dezercją – kula w łeb za to – i dotarł do kraju, gdzie płonąła już rewolucja. Węgierskie oddziały przechodziły na stronę powstańców i toczyły się walki. Lenkey i jego huzarzy byli pierwszymi, którzy w czasie Wiosny Ludów rozpoczęli walkę o *naszą i waszą wolność*. Cała ta sprawa jest dobrze znana w dziejach Węgrów, a dokładnie opisał ją znany historyk Istvan Nemeskurty. Lenkey, którego droga zaczęła się w Stanisławowie, stał się jednym z wybitnych dowódców węgierskiej Wiosny Ludów, doszedł do stopnia generała, skapitulował w ostatniej bitwie pod Vilagos. Austriacy zemścili się na nim okrutnie i zamordowali w więzieniu. Na Węgrzech jest czczony do dziś jako jeden z bohaterów Wiosny Ludów. Największymi wszakże postaciami tej rewolucji są wódz powstania Ludwik Kossuth oraz polski generał Józef Bem, który wstawił się osobistym bohaterstwem i największymi zwycięstwami.

## Węgiersko-polskie rodziny w Stanisławowie

To historyczne przypomnienie uznałem za stosowne, aby uzmysłowić tło polsko-węgierskich powiązań w Stanisławowie, zarówno w okresie międzywojennego dwudziestolecia, jak i w czasie II wojny światowej. Węgry były od Stanisławowa o krok przez Karpaty. Bliskie duchowo, przyjazne. W Stanisławowie było dużo polsko-węgierskich małżeństw i kilka węgierskich rodzin.

Na ulicy 3 Maja znajdował się sklep z materiałami odzieżowymi Kerekgyarto. Właścicielem był Węgier o tym trudnym do wymówienia nazwisku, chyba inżynier, miał trzy córki, Węgierki będące żonami Polaków. Założyły one kółko towarzyskie i regularnie się spotykały.

Najważniejszą postacią w tym gronie była żona generała Dąbrowskiego – Elżbieta Brulik, córka barona węgierskiego, znanego tenora, który śpiewał w operach w Budapeszcie i Wiedniu. Elżbieta Brulik była damą na dworze cesarzowej Sissi i tam poznała urodzonego na Bukowinie młodego Polaka, ck oficera, Romualda Dąbrowskiego. Doszedł on do stopnia podpułkownika, wyróżnił się w czasie I wojny światowej, a następnie już w Wojsku Polskim – zwłaszcza w wojnie z bolszewikami. Generałem został mianowany w 1927 r. Mówił świetnie po węgiersku, bo ukończył słynną Akademię Wojskową „Ludovica” w Budapeszcie, a następnie służył w węgierskich formacjach ck armii, gdzie oficjalnym językiem był węgierski. Generał Dąbrowski był moim ojcem chrzestnym. Dąbrowscy mieli dwóch synów – Franciszka i Romualda. Obaj byli oficerami, a kapitan Franciszek Dąbrowski zasłynął jako zastępca dowódcy Westerplatte majora Sucharskiego.

Węgierką była żona doktora Erazma Niemczewskiego – Katarzyna Hezser z miasta Nagyszollos, mistrzyni Stanisławowa w tenisie. To właśnie ona była duszą towarzystwa, wiecznie organizowała rozmaite spotkania, odczyty, wycieczki. Niemczewscy mieli starszych ode mnie – córkę Werę i syna Kazimierza. To ona też ściągnęła do Stanisławowa swoją młodszą koleżankę, moją matkę i doprowadziła do małżeństwa z moim ojcem, też lekarzem. Z Niemczewskimi byliśmy bardzo zaprzyjaźnieni.

Również trzeci lekarz, dr Chorzewski miał węgierską żonę i trójkę synów. Węgierką była Irma Ulbrich, żona przemysłowca, właściciela cukrowni. Ich wnukiem jest Stefan Kudelski, twórca magnetofonu *Nagra*, żyjący w Szwajcarii. Węgierkami były żony dwóch ukraińskich lekarzy-ginekologów Małaniuka oraz Wojewidki i ukraińskiego adwokata Ławryzki. Wreszcie do tego towarzystwa dołączała rodzina ożenionego z Polką węgierskiego lekarza Ludwika Morvaya z Tyśmienicy. Nie chciał on złożyć przy-

sięgi wierności Czechom i osiedlił się na Pokuciu. Miał syna i dwie córki. Wszystkie dzieci z tych polsko-węgierskich małżeństw mówiły lepiej czy gorzej po węgiersku, bo matkom bardzo na tym zależało.

Środowisko węgierskie było znacznie liczniejsze, liczyło około setki, a może więcej. Pomnę tylko zaprzyjaźnionych z moją rodziną. Pamiętam, że Madziarzy spotykali się w kościele Ormiańskim 15 marca – święto narodowe Węgier. Córka doktora Morvaya, niezwykle energiczna panienska Wanda, która uczyła się i mieszkała w internacie gimnazjum Sióstr Urszulanek, organizowała tam węgierskie akademie właśnie dla przypomnienia Wiosny Ludów. Z małymi wyjątkami polsko-węgierskie rodziny były dwujęzyczne, utrzymujące kontakt ze swoimi ojczystymi stronami Zakarpacia. Jednak nie były to wtedy Węgry, lecz Czechosłowacja. Dopiero w marcu 1939 r. tereny te wróciły do Węgier i na krótko Polska znów graniczyła z tym państwem.

## Wybuch wojny i sowiecka okupacja

Nabrało to ogromnego *znaczenia* z chwilą wybuchu wojny. Węgry wprawdzie znalazły się po stronie Niemiec, ale w rezultacie wiekowej przyjaźni i różnych politycznych kalkulacji odmówiły Hitlerowi zgody na przemarsz wojsk niemieckich i uderzenie na Polskę od południowej flanki. Umożliwiły też ewakuację dziesiątków tysięcy Polaków, w tym całych jednostek wojskowych z brygadą pancerną płk. Maczka oraz personelu lotniczego, zapewniły opiekę nad uchodźcami i tolerowały konspiracyjną działalność oraz przerzuty kurierskie aż do chwili zajęcia Węgier przez Niemców w marcu 1944 r. W tej złożonej sytuacji znaczenia nabrały też polsko-węgierskie rodzinne powiązania, zwłaszcza na przygranicznym Pokuciu.

Po wejściu sowieców węgierskie środowisko poniosło natychmiast stratę. NKWD zniszczyło generała Dąbrowskiego. W mojej pamięci, a miałem wtedy 10 lat, pozostałe przekonanie, że państwa Dąbrowskich wywieziono razem, zaraz w pierwszej wóźce na *nieludzką ziemię*. I choć pani generałowa była chorowita – leczył ją mój ojciec – a generał dziarski, to w zatłoczonym wagonie podobno zmarł natychmiast, albo zaduszony, albo na atak serca. Generałowa

dzielnie wytrzymała podróż – czuwając przy zwłokach męża, a potem zsyłkę do Kazachstanu, gdzie zmarła pod koniec wojny. Moja matka korespondowała z nią, wysyłała paczki. Taka legendarna wersja utrzymywała się w kręgu znajomych przyjaciół generałostwa Dąbrowskich. Zaraz po wojnie, gdy żyli jeszcze moi rodzice, a także wielu stanisławowiaków, bezpośrednich świadków tych wydarzeń, nie interesowałem się tymi sprawami, czego dziś bardzo żałuję. Rzeczywistość dokładnie opisał wiarygodny i bezpośredni świadek wydarzeń Stanisław Fudali w książce *80 miesięcy w kleszczach sierpa i młota*. Fudali, który miał wówczas podobnie jak ja 10 lat, znalazł się 12 kwietnia 1940 r. w transporcie do Kazachstanu – na tej samej ciężarówce i w tym samym wagonie co generałowa Dąbrowska. Generała już nie było, bo został znacznie wcześniej aresztowany przez NKWD. Zastanawiająca jest rozbieżność między legendą a rzeczywistością. Pewne jest natomiast, że sowieci nie zwlekali by z aresztowaniem i wywózką generała, który przez siedem miesięcy walczył z nimi w czasie wojny w 1920 r. Takich jak on zamykali natychmiast.

### **Węgierski garnizon w Stanisławowie**

Bodaj w cztery dni po panicznej ucieczce sowietów ze Stanisławowa, 25, a może 27 czerwca 1941 r., do miasta wkroczyli Węgrzy. Natychmiast położyli kres ukraińskiej soldatesce i pogromom żydowskim. Dobrze to pamiętam, mieszkaliśmy wtedy

na ulicy Kamińskiego 13 naprzeciw kliniki dra Gutta, obok Urszulanek, i przez te kilka dni przebywało u nas trzech synów dyrektora banku Weissberga, dawnego sąsiada z ulicy Sapieżyńskiej 26. Węgierskie dowództwo ulokowało się w klasztorze i szkole Urszulanek. Nieprawdopodobnym zbiegiem okoliczności dowódcą garnizonu był płk Domokos Ayckler, którego żoną była serdeczna przyjaciółka mojej matki z lat młodości. Ayckler dobrze też znał braci mojej matki – Arpada i Sandora Simenfalvych, którzy zajmowali wysokie stanowiska w administracji regenta Horthyego. Arpad Simenfalvy był liderem mniejszości węgierskiej na Zakarpaciu i po odzyskaniu jej przez Węgrów w 1939 r. został wojewodą trzech komitatów – Ugoczy, Beregu i Ungvaru (dziś w Ukrainie – Winohrady, Beregowo i Užhorod), graniczących naprzód z Polską, a w czasie wojny z Generalną Gubernią. Właśnie przez te komitaty przenikali polscy uchodźcy na Węgry, a po 1941 r. tędy wiódł szlak białych kurierów opisany przez Marka Celta. Sandor Simenfalvy był natomiast dyrektorem KEOKH, czyli Państwowego Centralnego Urzędu Kontroli Cudzoziemców w Budapeszcie, a więc instytucji, która obok IX departamentu Ministerstwa Spraw Wewnętrznych zajmowała się sprawami wszystkich uchodźców na Węgrzech, również Polaków. Pułkownik Ayckler był ich przyjacielem i mimo niemieckiego nazwiska należał do skrzydła przeciwników sojuszu z III Rzeszą. Moja matka z doktorową Niemcowską natychmiast udały się do Aycklera.

cze Dniestru. Strefa ta graniczy na wschodzie z Podolem rosyjskim, a na południu z Bukowiną i wciska się między strefę górską w postaci trójkąta, którego środkiem płynie Dniestr.

Ze względu na klimat poszczególnych stref powieść można, że wybitnie wyróżniają się z całości kraju dwie tylko strefy, a mianowicie: IV, pokucko-podolska, najcieplejsza w lecie, strefa kukurydzy i tytoniu, nadająca się, miejscami przynajmniej, do hodowli winorośli, i strefa V, podgórska, najzimniejsza. Różnice klimatyczne między pozostałymi trzema strefami są stosunkowo nieznaczne. Spomiędzy nich

względnie najłagodniejszym klimatem cieszy się strefa I, obejmująca dolinę górnej Wisły, najsurowszy zaś klimat posiada strefa III, a w szczególności jej część wschodnia, z Tarnopolem. Strefa II ma zimy przeciętnie surowsze niż strefa I, ale za to lato cokolwiek cieplejsze; strefa III ma i lato cokolwiek chłodniejsze i zimę surowszą niż strefa I i II. Lato przy tym jest w niej cokolwiek krótsze. [...]

\* Józef Brzeziński, prof. UJ, *Hodowla drzew i krzewów owocowych*, Kraków.

\*\* Powyżej – na mapie, tzn. na północ.

Węgrzy szybko zorganizowali wydawanie żywności. Przed Urszulankami ustawiły się kolejki po wydawany przez Węgrów chleb oraz gorącą zupę z polowych kuchni. Węgrzy przez kilka tygodni stanowili garnizon Stanisławowa, ale szybko pojawiło się też gestapo ze sławetnym obersturmfuehrerem Hansem Krugerem na czele.

W tych pierwszych tygodniach dzięki Aycklerowi ruszyła fala uciekinierów na Węgry, głównie Żydów. Granica faktycznie przestała istnieć, a węgierskie posterunki przepuszczały polską ludność. Warto też zaznaczyć, że Żydzi otrzymywali na Węgrzech dokumenty polskich uchodźców bez wymieniając ich żydowskiego pochodzenia. W tej fali przedostało się na Węgry co najmniej kilka tysięcy uchodźców, m.in. doktorowa Niemczewska. Przyjechał po nią specjalny samochód z Węgier. Pani Niemczewska błagała męża, aby jechał razem z nią na Węgry, gdzie zresztą były już ich dzieci. Doktor Niemczewski na swoją zgubę odmówił. W miesiąc później aresztowano go gestapo i zginął z kwiatem stanisławowskiej inteligencji. Został rozstrzelany w Czarnym Lesie. Dopiero na przełomie lipca i sierpnia, w rezultacie działania gestapo, granicę Guberni zabezpieczyły niemieckie formacje grenzschutzu. Węgierski garnizon opuścił Stanisławów i Krueger, który dokonał brutalnej eksterminacji inteligencji polskiej we Lwowie, przeprowadził identyczną akcję w naszym mieście.

## Wkracza gestapo

Zostaliśmy wyrzuceni z mieszkania przy Kamińskiego i przenieśliśmy się do domu pana Malca na rogu Zarzewia i 3 Maja. Przez Stanisławów nadal przejeżdżali Węgrzy, tędy szło zaopatrzenie dla I armii węgierskiej walczącej na froncie wschodnim. Często zaglądali do nas oficerowie węgierscy z korespondencją oraz paczkami żywności i odzieży dla mojej matki. Nazwisko jednego z nich dobrze zapamiętałem – był to major policji Batisfalvy, adiutant jednego z moich wujów. Pomoc przekraczała nasze potrzeby, więc była dzielona wśród znajomych. Jesienią 1941 r. rozegrał się dramat doktora Wojewidki, który mieszkał na Lipowej. Jego żona była piękną kobietą, Węgierką, ale żydowskiego pochodzenia. Upodobał ją sobie Kruger. Wojewidka był bardzo za-

możny, więc Kruger naprzd łudził go, szantażował i wyciągnął wszystkie skarby, a w końcu nie dotrzymując obietnicy wypuszczenia na Węgry, aresztował i zamordował oboje.

Bez skrupułów też w lipcu 1942 r. aresztował całą rodzinę Morvayów. Zaangażowali się oni w akcję przerzutu Polaków na Węgry. Mieli willę w Jaremczu, która stała się punktem przerzutowym. W dodatku młody Kazimierz Morvay, jako porucznik polskiego wojska, po kampanii wrześniowej znalazł się w Budapeszcie, a ponieważ doskonale mówił po węgiersku, został oficerem łącznikowym między przedstawicielstwem internowanych na Węgrzech polskich żołnierzy a tamtejszym Ministerstwem Obrony, o czym doskonale wiedział niemiecki wywiad. Wanda Morvay współpracowała czynnie z kurierami, odbierała ich w Stanisławowie, przewoziła do Jaremcza, skąd przedostawali się na Węgry. To właśnie ją ściagało gestapo, ale ponieważ nie mogli jej złapać, aresztowano rodziców. Wanda, aby ich ratować, zgłosiła się więc dobrowolnie do gestapo. Nic to nie pomogło, natychmiast ją zamknięto, a rodziców nie wypuszczono. Morvayowie byli torturowani i głodzeni. Węgrzy stanęli w ich obronie. Doskonale pamiętam, jak piękna węgierska dama – Marta Siminifalvy, żona wojewody Arpada Siminifalvy, a więc mego wuja, przyjechała jesienią 1942 r. do Stanisławowa ze specjalną misją i spotkała się z szefem gestapo Hansem Krugerem. Przywiozła węgierskie paszporty dla Morvayów, wystawione przez szefa KEOKH Sandora Simenfalvyego i wręczyła odpis oficjalnej noty węgierskiego MSZ do rządu III Rzeszy, żądającej uwolnienia Morvayów jako swoich obywateli. Przedmiotem jej misji była też interwencja w sprawie aresztowanej przez Krugera i trzymanej w stanisławowskim więzieniu hr. Karoliny Lanckorońskiej. W jej przypadku mocnymi argumentami były rekomendacje wystawione przez węgierską arystokrację. Niewiele wskórała. Dr Morvay zmarł w więzieniu, córkę Wandę wywieziono do Majdanka. Chorą na tyfus panią Morvayową wypuszczono dopiero późną jesienią. Przyjeliśmy ją do nas, wykurowaliśmy i dopiero po miesiącu wyjechała na Węgry. Znacznie dłużej trwały oficjalne starania, już dyplomatyczną drogą via Berlin, o uwolnienie 16-letniej Wandy Morvay,

którą wypuszczono w końcu z Majdanka w stanie skrajnego wyczerpania. Opisała ona dokładnie tę całą historię w wydanych u nas, a także na Węgrzech *Wspomnieniach polskich uchodźców na Węgrzech* (Wydawnictwo ZWS, Warszawa 1999).

### Więcej niż pomoc...

Po tragicznym roku 1942, kiedy wydawało się, że nic nie powstrzyma zwycięstwa Niemców, nastąpiło wreszcie załamanie i zmiana sytuacji. Coraz częściej zaglądali do nas węgierscy oficerowie. Pamiętam doskonale wizytę spokrewnionego z matką majora Imre Szentpalyiego z otoczenia szefa sztabu generalnego węgierskiej armii, generała Szombathelyiego. Było to latem 1943 r. Wkrótce potem spotkał się on u nas z zaprzyjaźnionym z nami panem Puzyną (jednym z bocznej linii tego rodu), który często nas odwiedzał i zawsze był bardzo głodny, zjadając co się dało, oraz dwoma nieznanymi mężczyznami. Już po wojnie ojciec opowiedział mi, że byli to przedstawiciele lwowskiego okręgu AK. Ponoć od tego spotkania zaczęły się pertraktacje AK ze stacjonującymi na Podolu oddziałami I armii węgierskiej, uwieńczone porozumieniem o neutralności, wzajemnym informowaniu się, a nawet odstępowaniu uzbrojenia. W latach sześćdziesiątych, kiedy jako dziennikarz zacząłem jeździć na Węgry, wielokrotnie na rodzinnym już gruncie spotykałem się z majorem Szentpalyim i usiłowa-

łem uzyskać od niego informacje o kontaktach węgierskiej armii z AK. Zdecydowanie odmawiał, bo uważał, że nadal wiąże go wojskowa przysięga. Bolał nad tym, że Węgry znalazły się w wojnie po stronie Niemiec, ale z kolei kontakty z AK uważał za złamanie sojuszu z Niemcami i nigdy ich nie ujawnił.

To, że spotkania odbywały się u nas, było w pełni uzasadnione tym, że ojciec był jednym z niewielu lekarzy w Stanisławowie i przyjmował prywatnie pacjentów. Pracował też dzień i noc, był wzywany do nagłych wypadków i miał *ausweis* upoważniający do poruszania się nocą, a po drugie miał żonę Węgierkę z dobrymi koneksjami, o czym doskonale wiedzieli Niemcy. Wprawdzie za sprawą stosunku do Polaków Niemcy coraz bardziej tracili zaufanie do węgierskiego sojusznika, jednak musieli się z nimi liczyć.

### Ucieczka na Węgry

We wrześniu 1943 r. do Stanisławowa znów zawitał węgierski garnizon, a jego dowódcą znów był pułkownik Ayckler. Jednocześnie nasiliła się akcja repatriowania Polaków, którzy mogli się wykazać węgierskim pochodzeniem lub powiązaniem. Była ona prowadzona przez hrabiego Pala Domszkyego, który rezydował wprawdzie w Warszawie, ale jego wysłannicy dostarczali odpowiednie papiery Aycklerowi, a ten pakował ludzi do wagonów, które przywoziły



## TRZEBA ROZWIJAĆ, ALE Z WYCZUCIEM

*Uzupełnienie*

W poprzednim numerze (CL 1/05) zamieściliśmy artykuł pod powyższym tytułem, jednak nie znalazło się tam zdjęcie, które wyjaśnia sytuację urbanistyczną, dotyczącą projektu poszerzenia ulicy Kościelnej wzdłuż kościoła Matki Boskiej Śnieżnej. Zdjęcie to zamieszczamy obecnie: jest to właśnie ulica Kościelna, po lewej widać kościół MB Śnieżnej, mur oporowy i w głębi kamienicę, która miałaby być zburzona dla poszerzenia ulicy. Burzenie muru naraziłoby na niebezpieczeństwo stabilność jednego z najstarszych kościołów Lwowa, a rozbiórka kamienicy zdegradowałaby zabytkowy zespół w tym fragmencie miasta.



zaopatrzenie, a potem puste wracały na Węgry. Madziarzy sami plombowali wagony i nie podlegało to kontroli *bahnschutzpolizei*. Nasiliły się spotkania z Węgrami w naszym mieszkaniu, a ojciec wzywany był często do pozostającego pod niemiecką kontrolą szpitala – gdzie leżeli również węgierscy żołnierze – pod pozorem uczestniczenia w konsylium lekarskim. Gdzieś w połowie listopada 1943 r. pojawił się u nas w domu Ayckler i oświadczył, że natychmiast musimy wyjeżdżać. Zaczęliśmy się pakować, bo przed północą miała po nas zajechać ciężarówka. Ojciec dosłownie szalał, bo nie chciał wyjeżdżać, a także nie chciał zostawić swojego wspaniałego księgozbioru – kilku tysięcy tomów cennych książek medycznych, astronomicznych i historycznych. W końcu ustąpił, bo przecież dobrze wiedział, co spotkało jego kolegów lekarzy zamordowanych bez skrupułów przez Niemców. Ciepło ubrani, z walizkami w rękę i jedną skrzynią, do której ojciec wrzucił trochę książek, w tym oryginalną biblię księdza Wujka, czekaliśmy, kto pierwszy się pokaże – Węgrzy czy gestapo?

Ciężarówka z madziarskimi *honvedami* była pierwsza. Zostaliśmy zawiezieni na rampę kolejową przy moście na Majzle nad torami kolejowymi, naprzeciw rafinerii. Rampa była obstawiona przez węgierskich żołnierzy. Czekano już kilka polskich rodzin, w tym znana nam Węgierka Wilma z trzema córkami. Do dwóch wagonów pakowano różne sprzęty, worki, jakieś meble. Do trzeciego nas wszystkich. Uprzedzono, że pod żadnym pozorem nie możemy zdradzić naszej obecności w wagonie. Wypuszczą nas dopiero Węgrzy, już u siebie. Zasunięto i zaplombowano drzwi towarowego wagonu. Ruszyliśmy jeszcze nocą. Kilka razy stawaliśmy, minął dzień i druga noc, było potwornie zimno, więc ścisnęliśmy się wszyscy w jednym kącie i okryliśmy kocami, aby wzajemnie się ogrzewać. Szybko skończyła się ciepła herbata w termosach i zabrany

przez ojca medyczny spirytus. W Karpatach leżał śnieg. Chyba najdłużej staliśmy w Ławocznem, które znajdowało się jeszcze na terenie GG. Tam słyszeliśmy niemieckie rozmowy, stukanie młotkami. Wreszcie po ciąg ruszył.

W pół godziny później zazgrzytały drzwi i węgierski żołnierz słowami *Itt vannak ezek a Lengyelek!* (Tu są ci Polacy!) oznajmił dotarcie do celu. Stacja nazywała się Korosmezo. Na wpół zamrzniętych wydobyto nas z wagonu, zawieziono do łaźni, poddano dezynfekcji, wymyto, nakarmiono i napojono. Na transport czekał również przedstawiciel Komitetu Obywatelskiego Uchodźców Polskich na Węgrzech, który wręczał dokumenty osobiste – legitymacje polskiego uchodźcy, pieniądze, bilety kolejowe i skierowania do różnych ośrodków i obozów polskich na terenie Węgier. Moi rodzice udali się do rodzinnego majątku mojej matki w Nagy Tarna, a ja otrzymałem bilet do Balatonbogar i pojechałem prosto do polskiego gimnazjum.

Nigdy nie zapomnę, kiedy ogrzanych już i wykąpanych, przeprowadzono nas do kasyna oficerskiego na posiłek. Na nakrytym stole dymiły ogromne wazy zawieszistej zupy. Gdy siedliśmy do stołu, młody oficer węgierski, który cały czas nam towarzyszył, podniósł szklanekę z winem i powiedział: *Eljen Lengyelország!* Niech żyje Polska!

---

TADEUSZ OLSZAŃSKI, ur. 1929 w Stanisławowie, w czasie II wojny uczeń polskiego gimnazjum w Balatonbogar (Węgry). Dziennikarz, pisarz, tłumacz literatury węgierskiej, przełożył 40 powieści i utworów dramatycznych; pisze przewodniki i książki o Węgrzech. 1986–90 dyrektor Instytutu Kultury Polskiej w Budapeszcie, 1991–94 korespondent PR i TV na Węgrzech i w Jugosławii. Obecnie pracuje w redakcji „Polityki” w Warszawie. Działacz sportowy, relacjonował olimpiady w Rzymie, Tokio, Meksyku, Monachium i Moskwie; napisał 15 książek o tematyce sportowej. Interesuje się sztuką kulinarną i pisze książkę na ten temat.

---

## ERRATA

Niezawodny p. Andrzej Pawłowski zwrócił naszą uwagę na pomyłone daty w Sylwetce cesarza Karola w CL 1/05 na s.40. A więc Franciszek Józef panował przez **68 lat**, bo zmarł w **1916 r.** (a nie 1914), zaś Karol tylko **2 lata** (a nie 4) – **od 1916 do 1918 r.** Przepraszamy, Andrzejowi dziękujemy, a p. Malwinę upominamy!

# NASZE ZABYTKI

W swoim przewodniku „Lwów” (patrz CL 3/02) Jurij Biriulow pisze:

*Architekt R. Feliński zastosował tu estetyczne, pełne ekspresji konstrukcje żelbetowe i szerokie oszklone powierzchnie. Elewacja tego pierwszego we Lwowie wybitnego dzieła funkcjonalizmu kojarzy się z rytmicznymi strukturami obiektów natury. Zasadą wyrazu jest tu powtarzalność połączeń pionowych potężnych słupów i poziomych rzędów wielościennych wykuszy.*

## MAGNUS

W poprzednim numerze (*Z tamtej strony*) wspomnieliśmy – niestety z niemilej okazji – znany niegdyś dom towarowy „Magnus”, który stoi na rogu ulic Kazimierzowskiej i Pełtewnej, za Teatrem Wielkim. W ostatnich paru latach jego wnętrze zostało – z inicjatywy i za pieniądze polskich biznesmenów – odnowio-



ne i zmodernizowane, doszło jednak do skandalicznego oszukania Polaków przez ich ukraińskich partnerów. Ale o tym pisaliśmy, natomiast tu chcemy opisać sam obiekt, ponieważ stanowi on ważną pozycję w dorobku polskiej architektury początków XX wieku.

W naszym archiwum odszukaliśmy artykuł z „Życia Warszawy” nr 277 z 1972 r. (!), dotyczący wprawdzie warszawskiego domu Braci Jabłkowskich, ale znalazł się tam następujący akapit:

*Należy nadmienić, że w tym samym czasie [ok. 1910 r.] powstał według projektu Romana Felińskiego dom towarowy we Lwowie, będący również jak na owe lata dziełem awangardowym. Te dwie polskie realizacje weszły już do historii architektury polskiej, podobnie jak do historii architektury światowej dom towarowy „Carson, Pirie and Scott” w Chicago (arch. Sullivan), paryski „La Samaritaine” (arch. Jourdain), dom Moskiewskiego Stowarzyszenia Kupców (arch. Schechtel).*

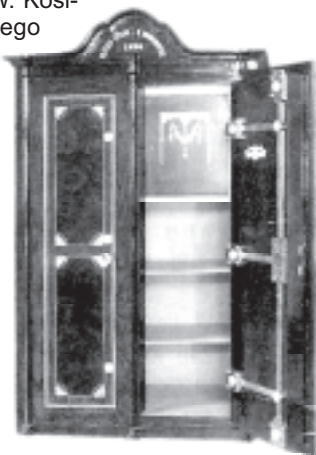
Od siebie dodajmy, że dom Jabłkowskich w Warszawie mało sygnalizuje swoją lokalizacją i bryłą szczególną funkcję, jaką reprezentuje. O wiele wyżej należy więc ocenić położenie i architekturę „Magnusa”, która odpowiada dwudziestowiecznemu rozumieniu zasad projektowania architektonicznego. Lwowski dom handlowy jest absolutnie pierwszym przykładem współczesnego komponowania współzależności treści i formy obiektu o szczególnej funkcji w wielkim mieście.

## KASA

Całkiem inny zabytek: nie gmach, lecz... kasa pancerna, i nie we Lwowie, lecz w Wieliczce.

Niedawno nawiedziliśmy Muzeum Żup Krakowskich w dawnym zamku wielickim. Na samym wstępie, w holu, rzuca się w oczy potężna szafa pancerna (o wadze półtorej tony, wysokości ponad dwa metry), która służyła dyrekcji kopalni niemal przez cały wiek XX. I co najważniejsze, na *tympanonie* zwieńczającym ścianę przednią jest taki napis: W. Kosiba & W. Chudzikowski, LWÓW. A z opisu wynika, że szafa powstała w CK Uprzywilejowanej Pierwszej Krajowej Fabryce Kas Ogniotrwałych W. Kosiby & W. Chudzikowskiego we Lwowie. Fabryka powstała w końcu XIX w., a szafę zakupił Zarząd Salinarny w Wieliczce w 1910 r.

Kiedy oddano ją do muzeum, była w stanie opłakany, ale została pięknie odnowiona, zabezpieczona antykorozyjnie i odmalowana; odtworzono dekorację na drzwiach z zastosowaniem płatkowego złota. To też efekt jest doskonały.



# Kobylec

Monika Agopsowicz, Elżbieta Łysakowska

– Od Jakuba do Jakuba.

– Co takiego?

– Genealogia rodzinna.

– A, tak, to celna uwaga. Jakub Agopsowicz z Kobylca miał stryja Jakuba i Jakubów w rodzinie jest wyjątkowo dużo. W końcu Jakub to po ormiańsku Hakop, a od Hakopa do Agopsowicza już jeden krok. W młodym pokoleniu mamy dwóch Jakubów, dlatego nasze drzewo genealogiczne można nazwać od Jakuba do Jakuba.

## Rodzina

Jakub i jego żona Maria z Agopsowiczów kupili ziemię w Kobylcu zapewne w połowie lat osiemdziesiątych XIX wieku i wtedy też Jakub zbudował dom. Wspomina ich wnuk Roman: „Dziadek, dorobiwszy się na dzierżawach, upatrzył sobie miejsce na folwark, położone na łagodnym wzniesieniu obok wsi Kobylec i odkupił od chłopów około 200 mórg urodzajnego czarnoziemiu z trzech różnych wsi: Kobylec, Nazurna i Zahajpol. Wybudował tam z dębowych brusów niezwykle solidne budynki gospodarcze i obszerny dom mieszkalny, zakładając wokół ogród warzywny i sad, a też ogród spacerowy, z którego rozpościerał się piękny widok podgórze Karpat na szerokości niemal połowy horyzontu, rozpoczynającego się tuż za Prutem, w odległości ok. 10 km”. Troje dzieci Jakuba i Marii, które dożyły wieku dojrzałego, było już na świecie. Najstarszy Kazimierz miał wtedy około dziesięciu lat i wysłany był do gimnazjum jezuitów w Chyrowie. O dwa lata młodsza Maria miała w przyszłości spędzać w Kobylcu z rodzicami najwięcej czasu. Najmłodszy Ludwik, urodzony w Bazarze koło Czortkowa, zamieszkał później z założoną przez siebie w 1921 roku rodziną w Skolem.

Dzięki żmudnej pracy mojego nieżyjącego już kuzyna, Jana Agopsowicza, wiemy o rodzinie dość dużo, a i pamiętek oraz dokumentów przechowało się w rodzinie całkiem sporo. Pokrótce: Hasso Agopsowicz, zajmujący się handlem podobnie jak i wiele innych rodzin ormiańskich – Passakasów, Romaszkanów, Theodorowiczów, Zerygie-

wiczów – zaczęli przenosić się z Mołdawii chyba na przełomie XVIII i XIX wieku i osiedlać na żyznej ziemi kresów południowo-wschodnich. Część rodziny mieszkała już wtedy w Stanisławowie i Łyścu i stamtąd prowadziła interesy na Bukowinie, jak Mikołaj Hasso Agopsowicz, który w 1815 roku zwracał się do austriackiego „ministerium finansów” o odszkodowanie w związku ze stratami poniesionymi przy dostawie 2400 koni. Dziadek naszego Jakuba, Grzegorz Michał, który zmarł w 1844 roku, był członkiem Kolegium Stanów Galicyjskich we Lwowie. W 1812 rodzina otrzymała potwierdzenie szlachectwa, „ale szlachcic nie mógł trudnić się handlem lub przemysłem, więc niszczała świetność stanu i przechodziła w ręce żydowskie”, jak cytuje Stanisław Wasylewski w swojej książce „Lwów” pierwszego gubernatora Galicji z roku 1773.

Kupili więc Agopsowicze ziemię w samym Zabłotowie i w niedalekim Tułukowie, w okolicach Czarnelicy – w Chmielowej, okolicach Gwoźdźca w: Kułaczkowcach, Balińcach, Buczaczkach, Trofanówce, Nazurnej i Kobylcu. Z zachowanych odpisów umów i metryk wynika, że posiadali też ziemię w Ostrowcu, Korniczu, Kropiewisku, ale przed II wojną światową figurują w rejestrach i w pamięci ludzkiej jako właściciele i mieszkańcy Kułaczkowic – Mieczysław, Trofanówki – Kajetan, Tułukowa – Kazimierz i Kobylca – Jakub z Marią.

Pojechaliśmy w tym roku ich śladami: wnuczka Mieczysława, dwie prawnuczki Jakuba i jego prawnuk – czternaścieletni Jakub. Odwiedziliśmy zapisane w historii rodzinnej Popielniki, Zabłotów, Gwoździec, Śniatyn i Horodenkę oraz znane z wielu opowiadań Kuty, Kosów, Krzyworównię, Żabie, Worochtę, Tatarów i Jaremcze.



Eklibris Jana Hasso-Agopsowicza, 1943.

Wg. „Ormianie polscy...”,  
Muzeum Narodowe, Kraków, 1999

Zatrzymaliśmy się w Kołomyi u przemilnej pani Marty. Przyjechaliśmy z Przemysła ośmioosobowym busem, którym powoził niezwykle sympatyczny pan Jacek, przyjęty jednogłośnie do rodziny w trakcie wycieczki. Już następnego dnia dojechaliśmy z pomocą dobrych ludzi do odległego o kilkanaście kilometrów, w kierunku Gwoździec, Kobylca. Jechaliśmy od strony Nazurnej i już niedaleko od wsi mogliśmy się kierować szkicem narysowanym przez siedemdziesięcioletniego Romana Łysakowskiego, Jakubowego wnuka, a syna Marii z Agopsowiczów Łysakowskiej.

Tutaj pozwolę sobie na krótki zwrot do Czytelnika starszego pokolenia: rysujcie, proszę! Wszystko: plany sytuacyjne Waszych rodzinnych stron, obejść, ogrodów, domów – rozkład pokoi i ich wyposażenie, położenie mogił Waszych bliskich, co się da – w odniesieniu do charakterystycznych punktów, które mogły przetrwać do naszych czasów. Tak jak umiecie. Albo poproście wnuka, żeby Warn pomógł. Tych kilka szkiców, które pozostawił po sobie śp. Roman i które teraz rysują nam nasi krewni, jest wprost bezcennych. Tam, gdzie szkiców nie mieliśmy, a mieszkańcy nie pamiętali dawnych czasów, tam byliśmy bezradni.

Tak więc zgodnie ze szkicem Romana przejechaliśmy mostek na potoku, tym potoku, od którego pochodzi podobno nazwa wsi, a z którego łąwiło się raki na legendarną zupę rakową. Zdecydowanie najboleśniej wspomina tę zupę ciocia Lesia. Kiedy jako mała dziewczynka przybyła do Kobylca w odwiedziny z babcią Samuela (z Ohanowiczów Agopsowiczową), szwagierką Jakuba, do surowej cioci Marii Agopsowiczowej, grzecznie nabierała rosnących pod świerkami pieczarek na zupę. Jakie było jej zdziwienie, gdy na obiad podano zupę... rakową – czerwoną, z ugotowanym i faszzerowanym rakiem na każdym talerzu. Widok był tak dla Lesi przerażający, że zsunęła się z krzesła, wymawiając się nagłą, a pilną potrzebą. Babcia zaprowadziła ją do urytnału i, nie mogąc doczekać, aż Lesia skończy, wróciła do stołu. Wreszcie zaniepokojona poszła po Lesię. Ta, mimo strachu przed groźną ciocią wyznała, jaka była prawdziwa przyczyna odejścia od stołu. Dziecku podano rosół.

## Kolej

Do Kobylca dojeżdża się i dojeżdżało polną drogą. Linia kolejowa biegnie bowiem z Kołomyi na Zaleszczyki przez Gwoździec i Horodenkę, omijając Kobylec. W odróżnieniu od prostej jak drut linii Kołomyja-Czerniowce przez Śniatyn, ta wije się jak opętana. Okolica płaska jak stół, skąd więc te wygibasy? „Kto chciał, żeby linia kolejowa biegła przez jego majątek, ten ją sobie kupował”, wspomina pani Zofia z Rozwadowskich Zdańska, mieszkająca od wielu już lat w Anglii. A młody historyk-amator, Wołodimir Mandrusiak z Kobylca, dodaje: „Przy budowie tej linii kolejowej rozpatrywano dwa warianty. Pierwszy – z Kołomyi na Matyjowce (ten odcinek już był) i dalej przez Nazurną i Kobylec – na Gwoździec. Drugi – z Kołomyi na Cieniawę przez Podhajczyki i dalej na Gwoździec. Pan Agopsowicz bardzo chciał, by linia kolejowa biegła przez Kobylec. Zapowiedział, że sam zbuduje w Kobylcu stację kolejową, a podłogę wyłoży monetami. Władze odrzuciły taki pomysł, jako że na monetach był wizerunek Franciszka Józefa, a kto to widział, żeby poddani Jego Cesarskiej Mości chodzili po jego obliczu. W takim razie, zgodził się Agopsowicz, monety każę odwrócić rewersem do góry, żeby nie deptać cesarza. Niestety, właściciel ziemi w Podhajczykach przekupił inspektora, od którego zależała trasa planowanej linii kolejowej. W owym czasie państwo płaciło duże sumy za przekazanie ziemi pod budowę linii kolejowej. Tak więc linia wyznaczona została nie tylko że przez Podhajczyki, ale i taką trasą, by przebiegać przez najdłuższy odcinek pańskiego pola. Kiedy cała afera wyszła na jaw, inspektor już był ukarany, ale linia kolejowa omijała Kobylec.

Tu znowu pozwolę sobie na zwrot do Czytelnika: zdaje się, że opisana tu linia kolejowa budowana była na przełomie XIX i XX wieku. Czy to możliwe, że „kupował” ją kto chciał? Trudno uwierzyć, by przekup-



Samuela z Ohanowiczów Agopsowiczowa (1851–1953).  
Wg K. Stopka „Ormianie w Polsce...”, Kraków 2000



ność urzędników państwowych wyznaczała całą niemal trasę linii kolejowej, a z drugiej strony, jak wytłumaczyć wyjątkową wprost jej pokrętność w tych okolicach?

## Cerkiew

Przyjechaliśmy do Kobylca od strony potoku o tej samej nazwie i udaliśmy się w kierunku miejsca, gdzie jeszcze na początku lat dziewięćdziesiątych stał grobowiec Jakuba. Przyznam się, że przygotowana byłam na to, że grobu już nie ma (dziadek zmarł w 1917 roku, potem pochowani tam byli jeszcze w 1931 roku, zmarli w odstępie jednego dnia, Łysakowscy: ojciec – Leopold, zięć Jakuba, i syn Leopolda – Feliks). Zaskoczenie moje było ogromne – stał nie tylko grób pradziadka, ale i wyrosła blisko niego, na swoim dawnym miejscu, piękna nowa cerkiewka greckokatolicka. Teren wokół zadbane – skoszona trawa, ład i porządek. I kilka starych sosen, które wyglądają jak wyjęte z innego miejsca. Gdyby one mogły opowiadać...

Wnętrze cerkiewki strojnie wymalowane i wyzłocone, z bogatym ikonostasem – widać w tym wykończeniu wiele ludzkiego serca i dbałości o najmniejsze szczegóły. Czy taki ikonostas widział mały Romuś Łysakowski, kiedy razem z rodziną siadywał koło ołtarza „na miejscu *kolatorskim* za tzw. carskimi wrotami, rzeźbionymi i złoconymi”? „Lubiłem – pisał dalej Roman – bardziej pieśni wschodniej liturgii, aniżeli łańskie msze u bernardynów [w Gwoźdźcu], choć w małej cerkwi panował zaduch od kożuchów i głów wysmarowanych starym masłem”. „Pamiętać przy tym należy – wspomina mój stryj Henryk – że kożuchy nosiło się przez okrągły rok – latem włosom do góry, a zimą – do dołu. W niedzielę pokazywały się pięknie haftowane koszule i kapelusze”.

Nie mogę tu nie wspomnieć słów pana Władysława Zachariasiewicza, który niedawno opowiadał o pięknym widoku Hucułów, którzy przy okazji wszelkich świąt schodzili z gór do cerkwi w swoich odświętnych, malowniczych strojach. Otóż to, znad której części Czeremoszu był Hucuł, poznawało się po portkach, mówił pan Zachariasiewicz. Ich kolor odpowiadał odcieniowi koloru danego biegu rzeki.

Drewniana niewielka cerkiew wraz z dzwonicą zbudowana była w Kobylcu w połowie XIX wieku. Jakub udzielał jakiejś

finansowej pomocy cerkwi, stąd wzięły się owe „kolatorskie miejsca” dla Agopsowiczów. „On nawet księży wybierał na parafię w swojej wsi tak, by byli w typie ormiańskim – czarnoocy i o czarnych włosach”, napisał Bogdan Seniuk w niedawno opublikowanym artykule o Ormianach na ziemi kołomyjskiej, który ukazał się w regionalnej gazecie „Wilnyj Gołos”. Cerkiewka szczęśliwie przetrwała dwie wojny światowe, by w połowie lat osiemdziesiątych paść pod kołami kolchozowych traktorów. Wspomnienia o tych chwilach są przejmujące – pękające drewno, mszczone wyposażenie, milcząca grupa mieszkańców wioski. Pani Maria Dolińska, mieszkanka Kobylca, opowiada, że kiedy traktorzyści zabrali się za niszczenie stojącej obok dzwownicy, zgromadzeni ludzie patrzyli bardzo złowrogo. „Dzwon jest we wsi bardzo potrzebny – czy to pożar, czy inne nagłe nieszczęście”, tłumaczy pani Maria. Dość na tym, że pracownicy kolchozu dzwonicę tylko przewrócili i uciekli. A ludzie? Od razu dzwonicę postawili. W kilka lat później była ona ich tymczasową cerkwią, w której zbierali się w czasie świąt. Jedną z fotografii przedstawia grupkę wiernych stojących przed dzwonicą z wielkanocnymi koszyczkami. A dzwon? Był jednym z trzech, które były ufundowane. Średni, bo dwa pozostałe zabrali Niemcy w czasie wojny. Ukrył go wspomniany wcześniej Wołodia. Przy nas wdrapał się pod dach dzwownicy i przeczytał napis na dzwonicie: „Żertwa [ofiara] parafian. 1929 rik”. Od Wołodii dostaję szczegółową informację o historii cerkwi. Cerkiew jest pod wezwaniem Podniesienia Krzyża i zbudowana została w 1850 roku. W latach 1992–1994 na miejscu zburzonej cerkwi powstała nowa – murowana, kryta blachą. Poświęcona została 27 września 1994 roku, w dniu święta Podniesienia Krzyża, które jest niezwykle uroczyste obchodzonym odpustem – „świętem chramu”. Zjeżdżają się na to święto krewni, odprawiana jest uroczysta msza święta, a potem wszyscy idą biesiadować.





Razem z Zahajpolem należy Kobylec do parafii w Nazurnej, ustanowionej w 1754 roku. W „Schematyzmie” za rok chyba 1904 (karta tytułowa była w strzępach) i za rok 1909 znajduję informację, że „patronem” parafii był Jakub Agopsowicz, „parochem” był Stefan Kruszelnicki (ciekawe, czy był czerniawy), w Kobylcu było w 1904 – 171, w 1909 – 184 grekokatolików, w 1904 – 4, a w 1909 – 2 Żydów i ani jednego rzymskiego katolika. Ankieta najwyraźniej nie przewidywała katolików rytu ormiańskiego, czyli Agopsowiczów. Ze „Schematyzmu” z roku 1909 – spisu sporządzanego regularnie przez Kościół grekokatolicki – wynika jeszcze, że ck starostwo było w Kołomyi, sąd i urząd podatkowy były w Gwoźdźcu, poczta, stacja tel. (telegraficzna?) i kolejowa były w Matyjowcach. W Nazurnej była szkoła 1-klasowa, a w Zahajpolu – 2-klasowa z językiem wykładowym ruskim i 1-klasowa z językiem wykładowym polskim.

## **Obrządek praojców**

Mieszkańcy i goście kobyleckiego dworu częściej bywali na świątecznych mszach w cerkwi aniżeli w rzymskokatolickim kościele w Gwoźdźcu, dokąd chętniej przyjeżdżali z kolei Agopsowicze trofanowiecscy i ci z Kułaczkowicz oraz Chomiakówki. Wszyscy dbali natomiast o to, by ich dzieci chrzczone były i żenity się w obrządku ormiańskokatolickim. Metryki mówią o proboszczach ze Stanisławowa, Łyśca, Kut i najbliższych – Horodenki i Śniatyna księżach: Krzysztofie Abrahamowiczu, Ignacym Jakubowiczu, Dominiku Łukasiewicz, Jakubie Moszoro, Dominiku Osadcy, Michale Romaszkanie, Kazimierzu Roszce i zaprzyjaźnionym z rodziną księdzu Dionizym Kajetanowiczu. Zdarzało się, co odnotowane jest w metrykach, że „z wody” chrzczył ksiądz grekokatolicki, a dopiero później ceremonii i chrztu i bierzmowania (razem, zgodnie z obrządkiem) dokonywał ksiądz ormiańskokatolicki. W pogrzebie Mieczysława uczestniczyło trzech księży – każdy innego obrządku (ksiądz Kruszelnicki – grecki, przyjaciel domu ten sam, który był na początku wieku proboszczem w Nazurnej i był w Jakuba na partyjkach preferansa, Niemczycki – gwardian bernardynów z Gwoźdźca, ormiański – nieznanymi) i każdy z nich odprawił mszę świętą w kułaczkowskim dworze.

Niecodziennym wydarzeniem była wizytacja parafii horodeńskiej przez arcybiskupa ormiańskokatolickiego Józefa Teodorowicza w grudniu 1928 roku. Jak donosił „Posłaniec św. Grzegorza”, ilustrowany miesięcznik lwowskiej archidiecezji obrządku ormiańskiego: „O godz. 12-tej Ekscellencja odjechał [z Horodenki] do Trofanówki, gdzie o 2-giej państwo Kajetanowie Agopsowicze przyjęli X. Arcybiskupa obiadem w rodzinnym kółku, w którym Ekscellencja spędził miłą godzinę, by ku wieczorowi odjechać do księstwa Leonów Puzyńów do Gwoźdźca”.

## **Dwór**

Zapatrzony w carskie wrota mały Roman, urodzony w 1899 roku, już jako artysta malarz Roman Łysakowski spisał ok. 1980 roku kilka stron wspomnień o swoim szczęśliwym dzieciństwie w Kobylcu. Proszę sięgnąć do tych barwnych opisów dworu i jego okolic, które opublikowane zostały w numerze 2 (30) „Gdzie szum Prutu...”.

## **Dzieci**

Spędzały w Kobylcu wakacje. Najstarszymi byli Roman i jego brat Feliś. Potem Julek – ich brat stryjeczny z Tułukowa i mieszcuch Stefek, wnuk brata babci Kobyleckiej. To było towarzystwo, które strzelało do ptaków z flowerów i pod okiem dorosłych kapało się w Prucie. Za smarkaterię musieli uchodzić Lesia, wnuczka Jakubowego brata Aleksandra (nie dość, że smarkata, to jeszcze baba!) i jej stryjeczny brat – Antoś, po którego Roman przyjeżdżał bryczką na stację kolejową w Kołomyi. Najmłodszy w rodzinie to Henryk (flower dostał dopiero w 1934 roku!) i Tadzio – synowie Ludwika.

Dzieci wysyłało się do szkół. Chłopcy uczyli się między innymi u jezuitów w Chyrowie i w lwowskich gimnazjach. Dziewczynki trafiały na ogół do niepokalanek w Jazłowcu, choć córka Mieczysława, Teresa, uczyła się u sióstr urszulanek we Lwowie. Naukę kontynuowali młodzieńcy, głównie na kierunkach rolniczych w: Dublinach, Czernichowie i Czerniowcach. Studiujący prawo Kazimierz z Tułukowa czy Ludwik uczący się w Wyższej Szkole Rachunkowości Bankowej, lub też Roman studiujący na krakowskiej Akademii Sztuk Pięknych byli wyjątkami.

*Dokończenie w następnym numerze*

**Podróż sentymentalna. Polska kultura kresowa – to tytuł wystawy, jaką przygotowała Miejska Biblioteka Publiczna im. Gustawa Daniłowskiego w Sosnowcu. Miała ona na celu popularyzację wiedzy na temat Wschodnich Ziem Rzeczypospolitej – historii, kultury, literatury – oraz ich obecności w życiu współczesnych Polaków.**

Pojęcie *Kresy Wschodnie* do dziś wzbudza wiele emocji. Na łamach licznych publikacji toczą się dyskusje na temat definicji terminu oraz tradycji i dziedzictwa tego obszaru dawnej Rzeczypospolitej. Zwłaszcza w latach 80. i 90. pojawiło się wiele publikacji wspomnieniowych autorstwa osób, dla których *Kresy* pozostają synonimem *małej ojczyzny*. Dotyczy to paru milionów Polaków wypędzonych ze swoich stron rodzinnych. *Kresy* to jednak pojęcie ważne nie tylko dla osób związanych z tym regionem poprzez miejsce urodzenia lub pochodzenia, lecz są także – a przynajmniej powinny być – ważne dla wszystkich Polaków, jest to bowiem trwały element dziedzictwa naszej kultury narodowej. Pamiętać należy również o tym, że w czasach, kiedy *Kresy* były częścią państwa polskiego, nasza kultura miała ogromny wpływ na kultury wielu innych narodów europejskich i z jej dorobku korzystają one do dzisiaj.

Materialne dziedzictwo *Kresów* nie jest może dziś imponujące, ale jego bogactwo to ponadmaterialne wartości kultury, których zniszczyć się nie da. One pozostają w pamięci potomnych i w dziełach przez nich tworzonych. Wiele miejsc znanych z literatury już nie leży na polskiej ziemi, ale twórczość Mickiewicza, Słowackiego, Orzeszkowej, Sienkiewicza, Miłosza, Konopnickiej, Herberta, muzyka Moniuszki, malarstwo Grottgera, Stanisławskiego, Ruszczyca i innych są i na zawsze pozostaną arcydziełami naszej literatury i sztuki.

Ekspozycja w sosnowieckiej ksiąźnicy stanowi prezentację wydawnictw (książek, artykułów z czasopism), a także innych dokumentów, świadczących o różnorodności i atrakcyjności *Kresów*.

Wystawa ma układ działowy. W pierwszych gablotach zaprezentowano wydawnictwa i rozprawy na temat etymologii pojęcia *Kresy*, a także najważniejsze dzieła i źródła dotyczące historii tych ziem do 1939 r. Tu m.in. można było zobaczyć jedno z najstarszych wydań *Mohorta* Wincentego Pola,

poematu – rapsodu rycerskiego, w którym po raz pierwszy użyto słowa „*kresy*” w tym znaczeniu, jakie znane nam jest dzisiaj, choć obejmującym tam jeszcze tylko najdalsze pogranicze południowo-wschodnie, czyli ziemie ukraińskie. Dopiero później terminem tym zaczęto oznaczać także inne tereny przygraniczne Polski. Dzisiaj mówi się nie tylko o *Kresach Wschodnich*, ale też o *Kresach Południowych* i *Zachodnich*. Obok *Mohorta* wyeksponowano tam również dzieła Z. Glogera i in.

Osobną gablotę poświęcono exodusowi ludności kresowej w czasie wojny, bohaterkiej obronie Lwowa w 1939 r., trzem okupacjom: sowieckiej, niemieckiej i ponownie sowieckiej, kaźni profesorów lwowskich, a także powojennej tragedii mieszkańców *Kresów*, a więc mordom popełnionym na Polakach przez Rosjan i ukraińskich nacjonalistów, udziałowi Szarych Szeregów w walkach z UPA, zsyłkom w głąb ZSRR i dramatowi tzw. repatriacji, wskutek której *Kresowianie* musieli opuścić swe rodzinne strony, pozostawić swe domy i dobytek całego życia. Zaprezentowano tu dokumenty źródłowe i opracowania historyczne m.in.: E. Prusa, A. Peretiatkowicza, M. Pawłowiczowej, S. Jastrzębskiego, Cz.K. Grzelaka i in.

W wielkim skrócie zasygnalizowano polską literaturę kresową, teatr, naukę i szkolnictwo, książkę i prasę kresową, wiele miejsca poświęcono architekturze na tamtych ziemiach. Starano się pokazać te miejsca i obiekty, które jeszcze można zobaczyć, a także te, które dzisiaj znane są już tylko dzięki starym fotografiom i dziełom artystów. Zaprezentowano albumy, przewodniki, publikacje z czasopism. Całość uzupełniły fotografie, na których zamieszczono reprodukcje obrazów przedstawiających epizody z historii *Kresów*, a także tamtejsze krajobrazy w malarstwie i fotografii oraz wspaniałe dzieła polskiej architektury, a więc: zamki, pałace, dwory, kościoły i inne obiekty.

Podkreślono także niebagatelną rolę Kościoła katolickiego dla podtrzymania polskości na *Kresach* oraz przedstawiono dokumenty świadczące o religijności *kresowian*, a zwłaszcza o kulcie maryjnym, który z niespotykaną w innych regionach Polski siłą rozwinął się właśnie w tamtych stronach.

Świadczy o tym choćby fakt, że mieszkańcy owych terenów, opuszczając je w wielkim pośpiechu, obok najniezbędniejszych

rzeczy osobistych zabierali też wizerunki maryjne ze swych domów i kościołów. Ich losy śledzi dzisiaj Tadeusz Kukiz. Efekty swych poszukiwań zawarł w kilkutomowym dziele *Madonny kresowe i inne obrazy sakralne z Kresów w diecezjach Polski*. Na temat kresowych wizerunków maryjnych na Śląsku pisze też prof. Maria Pawłowiczowa. Ich prace zaprezentowano na sosnowieckiej wystawie, podobnie jak *Wybór pieśni nabożnych Franciszka Karpińskiego i psalmów w jego tłumaczeniu*, opracowany przez ks. Antoniego Reginka. Dzieło to podarowano Janowi Pawłowi II podczas jego pielgrzymki do Lwowa i na Ukrainę w 2001 r.

Osobne gabloty i fotoramy poświęcono największym miastom kresowym, a więc Wilnu i Lwowowi. Przedstawiono w nich głównie historię, kulturę i atrakcje turystyczne tych miast, a także literaturę wspomnieniową i bogaty materiał ilustracyjny. Na fotoramach zamieszczono również zdjęcia i pocztówki prezentujące inne miasta kresowe, a także ich herby. Osobną gablotę poświęcono Stryjowi, z uwagi na ciekawe materiały i dokumenty udostępnione przez zamieszkałą w Sosnowcu, a stryjankę z pochodzenia, prof. Henrykę Langauer-Lewowicką. Zaprezentowano również cykl fotografii Stanisławowa, wykonanych przez Mariana Gryniewiczza

Prawdziwym rarytasem były unikatowe pamiątki rodzinne: fotografie (niektóre z końca XIX wieku), legitymacje, metryki chrztu, zaświadczenia o miejscu zatrudnienia, zamieszkania, karty ewakuacyjne, świadectwa szkolne, tableau abiturientek Prywatnego Liceum Sióstr Urszulanek ze Stanisławowa oraz wiele innych ciekawych dokumentów. Materiały pochodziły głównie z Wilna, Lwowa, Starego Sambora i Stanisławowa, a zostały udostępnione przez Krystynę Wołoch (Gliwice), Izabelę Głowacką (Sosnowiec) oraz Marię Pawłowiczową (Katowice).

Całość uzupełniają dokumenty świadczące o działalności organizacji zrzeszających kresowian. Odgrywają one ogromną rolę w promowaniu polskiej kultury kresowej, popularyzowaniu wiedzy o historii tego regionu, a także w podejmowaniu szeregu konkretnych działań, zwłaszcza pomocy materialnej na rzecz Polaków, którzy tam pozostali. Na wystawie zaprezentowano czasopisma wydawane przez te stowarzy-

zenia, materiały informacyjne zamieszczane w Internecie, a także dokumenty świadczące o ich bieżącej działalności. Szerzej przedstawiono organizacje Stryjan, działające w ramach Towarzystwa Miłośników Lwowa i Kresów Południowo-Wschodnich, a zwłaszcza gliwicki oddział tego stowarzyszenia – z uwagi na interesujące materiały, które przekazano na wystawę. Zaprezentowano również dokumenty Koła Tarnopolan z Opolą, które udostępniła Maria Ćwierk.

Ostatnia gablota zawiera materiały dotyczące związków Śląska z Kresami. Przedstawiono tu m.in. sylwetki osób o kresowym rodowodzie. Są to ludzie nauki, teatru, sztuki, którzy osiedlili się w Katowicach, Gliwicach, Bytomiu, Zabrze i in. miastach śląskich i tu kontynuowali swą działalność.

Wernisaż wystawy odbył się 9 marca 2004 r. o godz. 9.30. Uczestniczyło w nim wiele wybitnych osobistości ze świata nauki i sztuki, kresowianie, a także inne osoby zainteresowane tematem. Słowo wstępne wygłosiła organizatorka wystawy Małgorzata Toczowska, a referat zaprezentowała, pochodząca ze Stanisławowa, prof. Maria Pawłowiczowa, autorka wielu publikacji o Kresach Wschodnich Rzeczypospolitej. Głos zabrali również: Lesław Hawling z katowickiego oddziału TMLiKPW oraz Michalina Borowczyk-Jędrzejek, żona znanego autora zagłębiowskich legend, Stanisława Jędrzejka. Wystawa była eksponowana do 24 kwietnia 2004 r. i cieszyła się ogromnym zainteresowaniem, czego dowodem mogą być liczne wpisy do książki pamiątkowej sosnowieckiej księżnicy.



Widok panoramiczny Lwowa z nad wzgórz Zniesienia. Wg: O. Czerner, Lwów na dawnej rycinie i planie

# SYLWETKI

## Przypominał o tragedii polskiej policji

WITOLD BANAŚ 1932–2005

W lutym tego roku zmarł w Katowicach Witold Banaś, założyciel i prezes Ogólnopolskiego Stowarzyszenia „Rodzina Policyjna 1939 r.” Urodzony w 1931 r. w Czeladzi na Górnym Śląsku, był synem Wincentego, przedwojennego funkcjonariusza Policji II RP w Rohatynie.

Wincenty Banaś został aresztowany przez sowietów już we wrześniu 1939 r. i osadzony w obozie w Ostaszkowie. Na wiosnę 1940 r. w budynku NKWD w Kalininie (Twerze) został – wraz z 250 innymi Polakami – zamordowany w nocnej egzekucji strzałem w tył głowy. Ciała zabitych zostały przewiezione ciężarówkami do pobliskiego Miednoje i tam wrzucone do wykopanych dołów, zasypane ziemią koparkami.

Ośmioletni Witold wraz z matką i innymi rodzinami policjantów zostali w kwietniu 1940 r. wywiezieni bydłęcymi wagonami do Kazachstanu. Przetrwali tam – zmagając się z głodem, upałem i mrozem – sześć lat, z czego Witold, z uwagi na chorobę matki, dwa lata spędził w sierocińcu.

Po powrocie do Polski w 1946 r. osiedli u rodziny w Czeladzi i tu Witold ukończył szkołę górniczą, potem technikum w Chorzowie. Po maturze – zamiast na studia, na które go wytypowano – został skierowany do roboczych batalionów i – odbywając służbę wojskową – pracował ciężko w kopalni. Potem, już przez całe zawodowe życie, pracował jako sztygar w kopalni.

O losie swego ojca dowiedział się w 1990 r., znajdując jego nazwisko na liście ostaszkowskiej. Na 6295 osób tam zabitych – 5889 to polscy policjanci z Ziemi Wschodnich. To osobiste zetknięcie się z tragiczną prawdą o ojcu, stałe poszukiwaniem i oczekiwaniem, sprawiło, że przez

ostatnie 15 lat swego życia w wolnej już Polsce Witold Banaś z niestrudżonym zapalem i całym sercem angażował się w inicjatywy zmierzające do ujawnienia ukrywanej przez pół wieku prawdy o ludobójstwie dokonanym przez sowietów na policjantach II RP. Już w 1990 r. założył w Katowicach Ogólnopolskie Stowarzyszenie „Rodzina Policyjna 1939 r.”, zrzeszające żony, dzieci i wnuki pomordowanych policjantów II RP. Zarząd pod jego kierunkiem prowadził i nadal prowadzi ożywioną działalność upamiętnienia sowieckiej zbrodni. Najważniejsze dokonania, to:

- zorganizowanie w 1991 r. Izby Pamięci w budynku Wojew. Komendy Policji w Katowicach, gdzie członkowie Stowarzyszenia złożyli pamiątki po swych najbliższych. Tam też umieszczono przedmioty znalezione przy ekshumacji w Miednoje;

- budowa symbolicznego Grobu Policjanta Polskiego na terenie Komendy Policji w Katowicach, gdzie złożono Szczątki Nieznanego Policjanta, ekshumowanego z Miednoje. Tam też rodziny umieszczają płyty pamiątkowe swoich najbliższych;

- aktywne wsparcie działań Rady Ochrony Pamięci WiM i jej sekr. gen. A. Przewoźnika, udział w pracach ekshumacyjnych w Miednoje, udział w symbolicznym pogrzebie tamże (1991) oraz uroczystym poświęceniu i otwarciu Cmentarza w Miednoje we wrześniu 2000 r. (prezes W. Banaś przemawiał obok premiera J. Buzka i A. Przewoźnika);

- opracowanie i wydanie albumu *Rodzina Policyjna 1939 r.* ze zdjęciami i danymi o policjantach zamordowanych w różnych miejscach kaźni na terenie ZSRR;

- umieszczenie w 2003 r. stosownego epitafium w kaplicy Matki Boskiej Jasnogórskiej;

- organizowanie prelekcji w szkołach na temat Policji II RP i jej tragedii, organizowanie corocznych spotkań przy Grobie Policjanta Polskiego z udziałem przedstawicieli władz, Policji oraz młodzieży szkolnej.

Motorem wszystkich wymienionych inicjatyw i działań w OS „Rodzina Policyjna 1939 r.” był zmarły Prezes Witold Banaś, człowiek prawy i pracowity, dobry katolik i żarliwy patriota.

Grażyna Tęczar

# MINISTER

Obecnym ministrem spraw zagranicznych RP jest Adam Daniel Rotfeld. Nie jest naszym celem szczególne popularyzowanie tej rządowej postaci – jakiegokolwiek rządowej postaci, bo parokrotnie sparzyliśmy się w podobnych przypadkach – warto jednak zwrócić uwagę na to, że minister pochodzi z naszych podlowskich Przemysłań (patrz CL 1/02, Słownik).

Adam Rotfeld (*h* wypadło przy transkrypcji na *i* z cyrylicy w czasie wojny)\* urodził się w rodzinie żydowskiej w 1938 r. jako syn przemysłańskiego adwokata. Rodzina była inteligencka – jeden z braci ojca był posłem na Sejm z Równego, drugi dyrektorem gimnazjum w Warszawie, trzeci lekarzem w Brzeżanach.

Małemu Adamowi przyszło żyć we własnej rodzinie tylko do czwartego roku życia. W 1942 r. jego rodzice zginęli, a on, wraz z innymi dziećmi żydowskimi został ukryty w grekokatolickim klasztorze studytów w Uniowie k. Przemysłań. Z tego okresu zapamiętał Rotfeld kilka wydarzeń, które warto przytoczyć. Kiedy rodzina po wejściu Niemców uciekała wczesnym rankiem z własnego domu, zostali zauważeni przez policjantów niemieckich i ukraińskich, któ-

rzy zaczęli do nich strzelać – na miejscu zginęła jego ciotka. Gdy zimą '42 ukrywali się w stodole wiejskiego nauczyciela, ktoś doniósł ukraińskiej milicji – wtedy stracono jego rodziców. Dom rodzinny został obrabowany przez ukraińskich sąsiadów.

W klasztorze ochrzczono go i nadano nazwisko Czerwiński; do prawdziwego wrócił dopiero kilka lat po wojnie. Ihumenem – przełożonym klasztoru, był w owym czasie o. Klemens Szeptycki, brat metropolity (w latach 50. został zamordowany przez sowietów, a przed kilkoma laty beatyfikowany). Po rozwiązaniu klasztoru w 1946 r. dzieci zostały przeniesione do domu dziecka w Złoczowie, zaś w 1951 r. – dzięki staraniom ambasady polskiej w Moskwie – przewieziono do PRL. Rotfeld dostał się do domu dziecka w Krakowie. Tu ukończył V Liceum im. Witkowskiego w 1954 r., był aktywnym działaczem ZMP-owskim, po czym wstąpił na wyższe studia w Warszawie. Ukończył wydział dyplomatyczno-konsularny Szkoły Głównej Służby Zagranicznej (kto tam studiował?), potem doktorat, habilitacja, tytuł profesora w Polskim Instytucie Spraw Międzynarodowych. Był członkiem polskiej delegacji na licznych konferencjach międzynarodowych.

\* Swoje życie opisał w „Polityce” 7/05.

## Z BRODÓW przez Warszawę i Paryż DO STANISŁAWÓWA

Barwny żywot przeżył Wincenty Nowina Smągłowski, urodzony w Brodach w 1806 r. Uczył się w gimnazjach w Wilnie i Tarnowie, a maturę uzyskał w Warszawie. Tam też rozpoczął studia na filologii klasycznej i tamże wstąpił do zakonu pijarów, lecz go usunięto. Zaciągnął się do szwoleżerów, a w 1829 r. zorganizował spisek, który miał na celu porwanie cara Mikołaja I, następcy tronu – przyszłego cara Aleksandra II, oraz wielkiego księcia Konstantego. Chcieli zmusić cara do abdykacji jako króla polskiego, a na tron zaprosić „Orlątko” – syna Napoleona Bona-

partego. Do spisku, nazwanego później „koronacyjnym”, jednak nie doszło, udaremnił go Joachim Lelewel, przewidując oczywiście konsekwencje szalonego pomysłu.

Potem brał Smągłowski udział w Powstaniu Listopadowym, a po jego upadku przekroczył z resztkami wojska granicę zaboru pruskiego. W końcu przedostał się na emigrację do Francji. W Paryżu uczył w Szkole Polskiej na Montparnasse oraz założył i prowadził w niej bibliotekę

Po powrocie do Polski osiadł w zaborze austriackim, w Stanisławowie, i włączył się w życie kulturalne tego miasta. Ufundował tu pierwszą bibliotekę publiczną.

Zmarł w Stanisławowie w 1883 r. i tamże został pochowany – zapewne na cmentarzu, który po niespełna stu latach – w 1980 roku – został unicestwiony przez sowieckich wandalów.

Maria Godłowsky



# Wspomnienie o przyjacielu

ADAM LEOPOLD RUBASZEWSKI  
1919 – 2005

Adam Rubaszewski urodził się w Stanisławowie w wielodzietnej rodzinie urzędniczej. Osierocony przez ojca w latach trzydziestych, uczęszczał przed II wojną światową do szkół stanisławowskich i tam w 1937 r. zdał maturę w II Państwowym Męskim Gimnazjum im. J. Piłsudskiego. W latach szkolnych był czynnym harcerzem, dosługując się stopnia *ćwika*. Naturalną kontynuacją tej edukacji było przeszkolenie wojskowe w Szkole Podchorążych rezerwy piechoty 48 Pułku 11 Dywizji Strzelców Podkarpackich w Stanisławowie.

W sierpniu '39 zmobilizowany, wyruszył na front w rejon Podhala. Jako kapral-podchorąży walczył w 16 Dywizji Artylerii Motorowej, wchodzącej w skład 10 Brygady Kawalerii Zmotoryzowanej płk. Stanisława Maczka. 7 września został ranny i dostał się do niewoli niemieckiej. Jako jeńiec był początkowo w oflagu, potem w stalagu w Neubrandenburgu, skąd przeniesiono go do pracy fizycznej w majątku rolnym. W listopadzie 1941 r. udało mu się zbiec do GG. W Przemyśle nawiązał kontakt z AK. Niestety podczas konspiracyjnych odwiedzin u matki w szpitalu we Lwowie został aresztowany przez gestapo i skierowany do obozu pracy przymusowej koło Dębicy. Po likwidacji obozu w lipcu 1944 wraz z innymi więźniami znalazł się w Sachsenhausen. W kwietniu '45 „marszem śmierci” ewakuowano więźniów na północ. Dotarli do Schwerinu, gdzie 2 maja szczęśliwie uwolnili ich Amerykanie.

W okresie pobytu w niewoli i obozach pracy był niezwykle pomocny współwięźniom dzięki dobrej znajomości języka niemieckiego, rzetelnie wyuczonego w stanisławowskim gimnazjum.

Po długotrwałym leczeniu na Zachodzie powrócił w 1947 r. do Polski. Ukończył studia w SGH w Warszawie, gdzie znalazła się jego matka i rodzina. Ożenił się z Wiesławą z Turnowskich, dochował się dwóch synów.

Adam Rubaszewski, poza pracą zawodową, angażował się znacząco w działalność na rzecz ekspatriantów z Ziemi Stanisławowskiej. W ścisłym kontakcie ze środowiskami stanisławowian w Krakowie, Wrocławiu, Opolu i Warszawie podejmował rozliczne formy aktywności dla upamiętnienia gehenny spo-

łeczności polskiej i żydowskiej, martyrologii inteligencji stanisławowskiej oraz tamtejszej chorągwi harcerstwa. Zbierał materiały, publikował, przyczynił się do powstania tablic pamiątkowych w kościołach Warszawy i Wrocławia. Sporządził ewidencję stanisławowian zamieszkałych po II wojnie w województwach warszawskim, wrocławskim i opolskim. Dzięki jego benedyktyńskiej pracy wiele rodzin stanisławowskich mogło się odnaleźć.

Przyczynił się do odnalezienia zbiorowych mogił pomordowanych przez hitlerowców w 1941 r. stanisławowskich nauczycieli i innych przedstawicieli inteligencji polskiej. Jako pierwszy dotarł z końcem lat osiemdziesiątych, jeszcze przed transformacją w RP i w państwie ukraińskim, do lasów na wzgórzu Uhrynowskim koło Pawelcza (ok. 7 km od Stanisławowa), gdzie odnalazł osiem dołów śmierci. Potem dopiero nadał bieg sprawie uporządkowania terenu i upamiętnienia tragedii, zwanej odtąd *morem w Czarnym Lesie*.

Dzięki osobistym kontaktom i wielokrotnie podejmowanym staraniom, wspomaganym przez Polonię Kanadyjską, przeniósł grób Agatona Gillera z unicestwionego cmentarza polskiego w Stanisławowie na warszawskie Powązki. Przy pomocy syna Pawła, rzeźbiarza, odtworzył pomnik nagrobny podobny do stanisławowskiego.

Adam przeszedł typową drogę życia inteligenta z ziemi kresowej. Szczególna natomiast była jego nadzwyczajna mądrość i aktywność, uczynność i serdeczność. Stanowił oparcie moralne dla wszystkich, którym była potrzebna jego pomoc. Założył Koło Stanisławowian w Warszawie, a dzięki zbiorom materiałów, dokumentów i opracowań, był źródłem informacji o sprawach stanisławowskich w wielu dziedzinach.

Rząd RP uhonorował go w latach pięćdziesiątych Krzyżem Kawalerskim Orderu Polonia Restituta i wieloma innymi odznaczeniami, w tym za udział w ruchu oporu, a przede wszystkim – Złotym Medalem Opiekuna Miejsc Pamięci Narodowej.

Śmierć Adama, człowieka niepospolitych zalet umysłu i charakteru, pograżyła społeczność stanisławowian w głębokim żalu. Zmarł 8 stycznia 2005, spoczął na Starych Powązkach w Warszawie. Cześć Jego pamięci.

Stanisław Leszczyński  
Za skróty dokonane przez redakcję przepraszamy.

# Z TAMTEJ STRONY

## ŻURAWNO I OKOLICE

List, jaki otrzymaliśmy, z wiadomościami o sytuacji w niektórych miejscowościach Małopolski Wschodniej:

- ... na *Wszystkich Świętych* byłam w Żurawnie. Dodatkowym dopingiem tego ostatniego wyjazdu była wiadomość o pożarze [pałacu – pisaliśmy o tym w CL]. Istotnie straty są ogromne. Jeśli nie zabezpieczymy dachu przed zimą, to chyba nieodwracalne. Podobno władze się przejęły, obiecały remont, ale tam od słów do czynów daleko, a o pieniądże w końcu roku budżetowego trudno.

- Przy okazji zobaczyłam nowo wmurowaną na ratuszu tablicę Mikołaja Reja [który urodził się w Żurawnie w r. 1505, przyp. red.] (nie jest zbyt okazała, ale odsłanianą ją z wielką pompą; władze miasteczka oraz konsulat podobno przygotowują się do uroczystych obchodów 500. rocznicy jego urodzin) oraz porządnie odnowiony pomniczek żurawieńskiej bitwy Jana Sobieskiego [patrz CL 3/04, przyp. red.] (podobno to na apel wójta gminy Nagłowice pomnik odnowiła Wspólnota Polska, a re-odsłanianie go w obecności przedstawicieli Senatu RP, Konsulatu, Wspólnoty Polskiej, Hołowy Regiona itd.).

- Była też okazja do szybkiego objazdu okolicy. Alabastrownia [w Żurawnie] opustoszała i w ruinie [patrz CL 3/04], fama niesie, że ktoś ją zamierza kupić i uruchomić.

- Kopalnia siarki i jej przetwórnia w Rozdole na szczęście nieczynna – straszy księżycowym krajobrazem, choć jej część już zalana i podobno ma być jakiś ośrodek wodny.

- Pałac w Rozdole pusty [siedziba Lankorońskich. Do niedawna było tam sanatorium – przyp. red.].

- Natomiast niektórymi pałacami zaczęła interesować się Cerkiew – rozpoczęto

remont pałacu w Psarach (Reyów) – dla seminarium duchownego – oraz w Bortnikach (Zamoyskich) na dom dziecka prowadzony przez świecki instytut Miles Jesu. Dobrze, że chociaż będą zadbane i będą służyć ludziom. (B.Cz.)

## IV SEJMIK FEDERACJI ORGANIZACJI POLSKICH w państwie Ukraina

Na marzec br. został zwołany do Kijowa IV Sejmik FOPNu, zamykający III kadencję jej Zarządu. Zjechało się ok. 270 delegatów, reprezentujących kilkadziesiąt organizacji polskich z terenu tamtego państwa. Poprzedni sejmik odbył się w r. 2000 w Łucku.

Sejmik otworzyła prezeska ustępującego Zarządu, p. Emilia Chmielowa. Na wstępie wymieniła organizacje, którym Federacja zawdzięcza realizację złożonych zadań. Były to: Senat RP, polskie i ukraińskie ministerstwa oświaty oraz kultury, polskie placówki dyplomatyczne w państwie Ukraina, Stowarzyszenie „Wspólnota Polska” i jej oddziały w całym kraju, Fundacja „Pomoc Polakom na Wschodzie” i „Semper Polonia”, a także współpracujące z FOPNu pozarządowe organizacje kresowe, Stowarzyszenie „Lekarze Nadziei”, Komitety Pomocy Polakom na Wschodzie, organizacje samorządowe i wiele innych.

W czasie ubiegłej kadencji zorganizowano trzy kolejne Festiwale Kultury Polskiej na Ukrainie: III – w r. 2000 (we Lwowie oraz Kijowie i Żytomierzu, 34 imprezy), IV – w r. 2002 (w miastach jw. oraz Charkowie i Odessie, 29 imprez), V – w r. 2004 w ramach Roku Polskiego na Ukrainie (jw. oraz Chmielnickim-Płoskirowie, Łucku i Doniecku, 40 imprez z udziałem 100 polskich zespołów działających na Ukrainie).

Kontynuowano również Spotkania Polskich Rodzin Muzykujących: II Truskawiec, III Sambor, IV Kijów, V Lwów, VI Żytomierz (listę tych rodzin przedstawiliśmy w CL 3/03).

Zespoły polskie prezentowały się kilkadziesiąt razy w ramach festiwali na terenie państwa Ukraina oraz w RP (Mrągowo, Koszalin, Rzeszów, Węgorzewo, Pułtusk, Lublin, Tomaszów Lubelski itd.). Uczestni-

czyli także polscy poeci, plastycy, rękodzielnicy i kucharze (!), m.in. ze Lwowa, Stanisławowa, Kołomyi, Krzemieńca, Dubna.

Wydano 11 kolejnych książek, informatorów Festiwalu KP oraz 15 numerów (13–27) Biuletynu FOPnU. Przy okazji niektórych promocji wydawnictw urządzano spotkania literacko-muzyczne (Lwów, Kijów).

Zorganizowano 6 sesji popularnonaukowych na tematy: M. Hemara (Lwów 2001), S. Goszczyńskiego (Winnica–Humań 2001), „Piłsudski i Ukraina” (Charków 2002), H. Siemiradzkiego (Lwów 2002), Międzynarodowa Regionalna Konferencja Medyczna (Czerniowce 2003, wraz ze Stow. „Lekarze Nadziei”), J. Iwaszkiewicza (Kijów 2004); współorganizowano 3 imprezy we Lwowie i Krakowie.

Przedstawiciele FOPnU uczestniczyli w dwustronnych i międzynarodowych konferencjach we Lwowie, Kijowie, Warszawie, Krakowie, Lublinie, Przemyślu i w Niemczech na tematy partnerstwa, współpracy transgranicznej i regionalnej, mniejszości narodowych, organizacji pozarządowych, wydawnictw itd.

Bogaty program dotyczył pracy z młodzieżą. Corocznie organizowano eliminacje do kilku konkursów recytatorskich, literackich i plastycznych. W ciągu 5 lat wzięło w nich udział ponad 2000 dzieci i młodzieży. Ponadto urządzano coroczne olimpiady języka i literatury polskiej, „zielone szkoły”. Dla zespołów śpiewających i tanecznych oraz dla dyrygentów również urządzano coroczne kursy.

Dla nauczycieli organizowano seminaria, kursy metodyczne, warsztaty, spotkania z naukowcami-polonistami. Po wypowiedzi E. Chmielowej temat ten szeroko rozwinął Adam Chłopek z Drohobycza, wiceprezes Związku Nauczycielstwa Polskiego w państwie Ukraina.

Federacja OPnU współorganizowała udział Polaków z tamtego terenu w rozmaitych imprezach urządzanych na terenie RP: redaktorzy prasy polskojęzycznej brali corocznie udział w szkoleniach w Tarnowie i Warszawie, osoby piszące kilkakrotnie w spotkaniach literackich i warsztatach poetyckich, zaś artyści w plenerach malarskich. Szeroki był udział sportowców polskich ze Wschodu w imprezach urządzanych w różnych miejscowościach RP (Igrzyska Polo-

nijne letnie i zimowe, Bieg Piastów, igrzyska i zloty „Sokoła” w Krakowie itd.).

E. Chmielowa przedstawiła następnie bardzo szeroki zakres udziału Federacji w pracach Rady Przedstawicieli Mniejszości Narodowych przy Państwowym Komitecie ds. Migracji i Narodowości Ukrainy (w Kijowie) z jednej strony, z drugiej zaś w Radzie Polonii Świata i Europejskiej Unii Wspólnot Polonijnych (głównie w Warszawie i Krakowie, raz w Londynie).

Łączność z polskimi organizacjami terenowymi była realizowana również poprzez współudział w licznych imprezach i uroczystościach na terenie całego państwa (było ich ok. 40, w tym na terenie Małopolski Wschodniej i Wołynia: we Lwowie, Stanisławowie, Drohobyczu, Borysławiu, Truskawcu, Kołomyi, Stryju, Samborze, Sądowej Wiszni, Starym Skalacie, Brodach, Krzemieńcu, Łucku, Równem, Dubnie. Na Ukrainie były np. w Charkowie, Żytomierzu, Donbasie, Berdiańsku (nad Morzem Azowskim), Sewastopolu, Gródku Podolskim i in., a na Bukowinie – w Czerniowcach.

Na koniec Pani Emilia zrelacjonowała Rok Polski na Ukrainie, trwający do marca '04 do marca '05, obfitujący w niezwykle liczne przedsięwzięcia kulturalne, podejmowane przez ponad 200 ośrodków polskich w tym państwie. Podkreśliła też niezwykle pozytywną rolę, jaką odegrały w tym zakresie placówki dyplomatyczne RP. Wszystko, co się działo w ramach Roku Polskiego, świadczy o wzrastającej aktywności polskich społeczności w państwie ukraińskim.

Nowemu Zarządowi, który miał być wybrany w czasie tego Sejmiku, p. Chmielowa życzyła, by nadal wspierał inicjatywy organizacji regionalnych, a zarazem podejmował przedsięwzięcia na skalę całego państwa. Zwróciła też uwagę na potrzebę nagłośnienia działalności organizacji polskich w mediach ukraińskich, w tym polskojęzycznych. Za istotny problem uznała wzajemną informację między organizacjami i redakcjami, a także skoordynowanie działalności organizacji młodzieżowych.

\* \* \*

Niestety marcowe obrady Sejmiku FOPnU nie zakończyły się powołaniem nowego Zarządu. Dalszy ciąg przełożono na czerwiec '05, polecając dotychczasowemu Zarządowi dalsze pełnienie swej funkcji.

\* \* \*

Z naszej strony składamy dotychczasowemu Zarządowi FOPnU gorące podziękowanie za wspaniałą działalność przez ubiegłe pięć lat. Zarząd kierowany przez p. Emilię Chmielową ma ogromne zasługi dla Polaków – naszych Braci za miedzą. Przedsięwzięcia kulturalne przezeń podejmowane, trafiały „pod strzechy” polskie, ale także docierały do współmieszkańców tamtego państwa. Na pewno docenia to większość organizacji polskich, których działacze znajdowali zawsze oparcie w swej aktywności na rzecz utrzymania wśród polskich społeczności ich narodowej tożsamości i świadomości oraz polskiego języka.

W czerwcowych wyborach wybierzcie najlepszych, najbardziej doświadczonych, nieposzlakowanych i bezinteresownych. A także mądrych i innym życzliwych!

## Wydarzenia

◆ Staraniem Konsulatu Generalnego RP, w ramach ubiegłorocznego „Roku Polskiego na Ukrainie”, została we Lwowie zorganizowana wystawa pt. **Polski plakat Art-Deco**, wykorzystująca bogate zbiory pozostałe we Lwowie, a przechowywane obecnie w tamt. Muzeum Etnograficznym (róg ul. Legionów i Jagiellońskiej). Plakaty pochodzą z 20-lecia międzywojennego.



Do naszych rąk dotarł prospekt wystawy z barwnymi reprodukcjami eksponatów. Dwujęzyczny tekst historyczny napisał Władysław Serwatowski z Warszawy. Nie podano, ile dzieł znalazło się na wystawie. Obok reprodukcji mamy cztery plakaty, reklamujące lwowskie Targi Wschodnie z lat 1928, 1930, 1937 i 1938.

◆ Nowym prezesem Uniwersytetu Trzeciego Wieku (UTW) we Lwowie – po śmierci śp. Henryki Harazdy – została p. Zofia Kosyodor. Nowej Pani Prezes składamy gratulacje oraz serdeczne życzenia owocnej pracy i wielu nowych pomysłów w działalności na rzecz środowiska.

# SŁOWNIK GEOGRAFICZNO- HISTORYCZNY

## OLESKO

**Położenie.** Miasteczko w powiecie złoczowskim, wojew. tarnopolskim, położone 23 km na płn. od Złoczowa, nad jednym z ramion Styru, zwanym Liberią, spływającym ze stoku Woroniaków po płd. stronie miasteczka.

**Historia.** Jedna z najstarszych osad i gród książąt halicko-wołyńskich. Przez krótki okres, od 1327 r., we władaniu książąt mazowieckich, następnie od 1340 r. wielkich książąt litewskich. W 1366 r. wcielone do Polski przez Kazimierza Wielkiego. W latach 1382–1432 obiekt walk polsko-litewskich. W 1432 r. zostało Olesko ostatecznie odebrane księciu Świdrygielle przez wojska polskie i nadane przez Władysława Jagiełłę Janowi z Sienna za wojenne zasługi. W początkach XVI w. podzieliły się Oleskiem dwie córki ostatniego z Sienieńskich: Anna, żona Fryderyka Herburta, i Jadwiga, żona Marka Kamienieckiego h. Piława. W 2. połowie XVI w. Kamienieccy sprzedali swoją część Oleska Stanisławowi Żółkiewskiemu. Na początku XVII w. przez małżeństwo jego córki z Janem Daniłowiczem Olesko przeszło na Daniłowiczów, a w następnym pokoleniu podobną drogą – na Sobieskich. W 1629 r. urodził się tu Jan Sobieski, przyszły król. W 1719 r. hetman Stanisław Mateusz Rzewuski nabył od królewicza Jakuba cały klucz oleski. Po I rozbiórce Olesko przejęły władze austriackie, a ostatni właściciel Waclaw Rzewuski przeniósł swą siedzibę do Podhorców.

W XIX w. ludność trudniła się sadownictwem, pasiecznictwem oraz rzemiosłem. Stolarze olescy wyrabiali skrzynie drewniane, które sprzedawane były na okolicznych jarmarkach.

**Zabytki.** Zamek w głównym zrębie pochodzi z w. XVI i początku XVII. Wzniesiony na wzgórzu, po płn. stronie miasta, w miejscu dawnej fortalicji, założony na planie owalu, narzuconym przez warunki terenowe. Budynek zamkowy dwupiętrowy z basztą w jednym z narożników, oraz basztą bramną, prowadzącą na dziedziniec zamkowy. W latach 80. XVII w. gruntownie odnowiony staraniem Jana III. Po I rozbiórce zajęty przez Austriaków i zamieniony na koszary. W 200.



# Tak czy nie?

## Prasa doniosła,

że dwaj wysoko postawieni politycy Francji i Niemiec (w tym prawdopodobny przyszły prezydent Francji, Nicolas Sarkozy, pochodzenia węgierskiego) uważają, iż Unia Europejska „nie wytrzyma” obecności krajów o *odmiennej strukturze* – Turcji, Białorusi i Ukrainy.

Nie wyjaśniono, o jaką *strukturę* chodzi, ale możemy się nad tym zastanowić. Sprawa o tyle dla nas ciekawa, że z krajami tymi wiele nas w historii łączyło – na dobre i na złe. Wyłączmy na razie Białoruś, jako że tej na wiele dziesięcioleci (jeżeli w ogóle) nie grozi przyłączenie do UE. Jeśli zaś mowa o Turcji i Ukrainie, to chodzi zapewne o dwa aspekty.

Pierwszy, ważniejszy (naszym zdaniem) to przynależność obu krajów (narodów)

### do innych kultur

niż europejska w wydaniu zachodnim. Ta – wyrosła ze starożytnego Rzymu, ukształtowana w ciągu wieków przez chrześcijaństwo łacińskie (dotyczy też protestantów), okrzepła w cesarstwie Karola Wielkiego i jego duchowych spadkobierców, ubogacona rozwojem myśli i kultury II tysiąclecia oraz techniki i ekonomii XIX i XX wieku (nie bez udziału północnej Ameryki) – utworzyła określoną mentalność i etos.

Nie musimy wcale czuć wyższości kultury zachodnioeuropejskiej wobec kultur bizantyjskiej i islamskiej, trudno jednak nie dostrzec tej inności. Tamte kultury wytworzyły inne mentalności, inny stosunek człowieka do życia i ludzi, zdobyły inne doświadczenia historyczne. Ostatnie dziesięciolecia wcale tej inności nie złagodziły, przeciwnie – uwydatniły. Można mówić co najwyżej o dość cienkich elitach tamtych krajów, które zbliżyły się do kultury Zachodu.

W przypadku Ukrainy dodajmy brak doświadczenia własnej historycznej państwowości, a co jeszcze ważniejsze – egzystencję kilku pokoleń w ciągu ponad 70 lat w systemie sowieckim, którego okaleczeń mentalności nie sposób usunąć w przeciągu paru generacji.

Drugi aspekt to liczby ludności (Ukraina – ok. 50 milionów, Turcja – ok. 65 mln)\* i dość niski poziom życia ludności w tych państwach. Włączenie do UE każdego z nich to nie tylko potrzeba proporcjonalnej pomocy finansowej, lecz również oczywisty napływ do „starej Europy” setek tysięcy, a nawet milionów ludzi o odmiennej – jak opisano wyżej – mentalności, obyczajowości, standardach. Przy tym podatnej na obce wpływy.

### Biorąc to pod uwagę,

trudno – na zimno – nie zgodzić się z politykami wspomnianymi na początku. Co będzie jednak, jeśli państwa te nie zostaną przyjęte do UE, a nawet nie będzie im dana nadzieja?

Też źle. W dzisiejszym politycznym świecie nie ma samotnych wysp. Ukraina ma na karku Rosję (potężną, choć już nie na skalę świata), Turcja – nieprzyjazny nam (Europejczykom) i nieobliczalny świat islamski. W obu krajach nie małe części społeczeństw i polityków ciągną w tamte strony. A więc?

Odpowiedzi na takie pytanie nie słychać. A czy jest ona nam potrzebna? Nam, Polakom, zwłaszcza tym, którzy pochodzą z ziem wschodnich, ściślej – południowo-wschodnich?

Zwróćmy więc uwagę, że z oboma krajami, o których tu mowa, mieliśmy (a w jednym wypadku nadal mamy) historyczne problemy. Przez wiele wieków przeżywalismy najazdy: ze wschodu – od strony Ukrainy, od południa z Turcji. Te pierwsze – kozackie wespół z Tatarami, ale ci sami Tatarzy najeżdżając Ruś-Ukrainę powodowali napływ na nasze ziemie ludności ruskiej, przed nimi uchodzącej. Najazdy od południa – oczywiście tureckie, nierzadko z udziałem Wołochów i Kozaków. Jedne i drugie pułstoszyły nasze ziemie, trzebiły ludność.

### Dziś najazdy nam nie grożą.

Turcja daleko, w dodatku przyjazna. Gościej z Ukrainą, która po okupacji sowieckiej otrzymała w spadku nasze ziemie południowo-wschodnie, a wraz z nimi niemałą społeczność polskich autochtonów. Polsko-ukraińska przyjaźń – wedle naszych doświadczeń – jest teoretyczna, nieszczera.



Czy pomarańczowa rewolucja to na pewno zmieni?

Zauważmy, że Turcja zrobiła dotąd wiele, by bariery odcinające ją od Europy zniwelować, Kemal Pasza rozpoczął europeizację przed 80 laty, a społeczeństwo nie miało przerwy w gospodarce rynkowej (dawne tradycje drobnohandlowe są tam bardzo silne), agresywność islamskiej religii osłabła (przynajmniej w zachodniej części kraju). Dziś Turcja może być uznana za „tygrysa”, bo rozwój rzuca się w oczy. Wielkim znakiem zapytania jest za to Ukraina. Gospodarka rynkowa w powijakach (a jej zdrowy rozwój hamowany przez system oligarchiczny i rekordową korupcję); z jednej strony króluje mentalność sowiecka, z drugiej absurdalny nacjonalizm.

Pytania bez odpowiedzi: przyjmować do UE czy nie? Jeśli tak, to kogo prędeziej? A jeśli nie...

\* Cała UE liczy dziś ok. 550 mln, a po wstąpieniu kilku państw bałkańskich – ok. 600 mln.

Z ostatniej chwili: z mediów dowiadujemy się o tworzeniu się bloku 5 państw postsowieckich – w tym azjatyckich – które także chciałyby się zbliżyć do Unii Europejskiej. Poza Ukrainą są to: Mołdawia, Gruzja, Azerbejdżan i Uzbekistan (GUUAM). Żyrinowski uważa, że udział Kwaśniewskiego w pracach tej grupy to zemsta za... rozbiory Polski dokonane przez imperium rosyjskie. I jeszcze świeższa wiadomość: Putin oświadczył, że zniesienie ZSRR było największą katastrofą geopolityczną XX wieku. Jaki stąd wniosek?

## W Krakowie i dalej

### DZIEŃ PAMIĘCI NARODOWEJ O LUDOBÓJSTWIE I WYSIEDLENIACH

Ruch Katolicko-Narodowy proponuje by dzień 17 września – rocznicę napaści Armii Czerwonej na Polskę – ustanowić Dniem Pamięci Narodowej o Wysiedleniach z Ziemi Wschodnich oraz o Ludobójstwie na Ludności Kresowej.

**W pełni popieramy tę inicjatywę.**

W lutym minęła 65. rocznica pierwszej z serii wywózek z Ziemi Wschodnich na nieludzką ziemię. Kolejna, największa akcja deportacji miała miejsce w kwietniu – we Lwowie w nocy z 13 na 14 IV 1940, w większości do Kazachstanu.

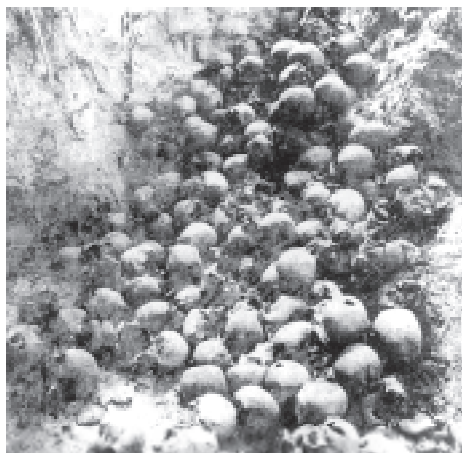
### KRESY WSCHODNIE W KRWI POLSKIEJ TONAĆ

W marcu i kwietniu trwała w krakowskim Pałacu Sztuki wystawa zdjęć i obrazów, poświęcona ludobójstwu ukraińskiemu na Wołyniu (pod tytułem jw.). Ekspozycja skła-

dała się z dwóch części: pierwsza to planse fotograficzne pokazujące Wołyń przed zagładą, potem w czasie i po zagładzie. Druga część to malowane sceny niebywałego okrucieństwa, z jakim zabijano Polaków na wsiach – mężczyzn i kobiety, dzieci i starców – i ta część była niezwykle drastyczna, wzbudzając pewne kontrowersje co do sposobu ukazywania tamtych wydarzeń. Podchwycili to niezwłocznie zwolennicy ukrywania tragicznej prawdy i, oczywiście, działacze Związku Ukraińców w Polsce.

Wśród atakujących prym wiodła naturalnie „Gazeta Wyborcza” z 1 kwietnia. W kolejnym wydaniu przedstawiono dwa głosy historyków: Lucyny Kulińskiej (Kraków) oraz Grzegorza Motyki (Lublin). Pani Kulińska (także autorka artykułu w CL S/03) w sposób przekonujący odparła nieco prowokacyjne pytania prowadzącego obie rozmowy Rafała Romanowskiego. Swoje wypowiedzi podsumowała słusznym stwierdzeniem: *Bronię tej wystawy jako całości. Spełnia ona podstawowy postulat, o jaki walczę: uruchamia dyskusję.* Trudniejszą sytuację miał p. Motyka, który wobec wymowy dokumentów nie mógł w sposób otwarty zganić wystawy (jego nieżyczliwa postawa wobec polskich racji jest nam znana nie od dziś), ale gdy musiał przyznać, że Ukraińcy zamordowali 100 tysięcy Polaków, to zaraz przypomniał, że Ukraińcy też ginęli (jaka proporcja!), że była też akcja „Wisła”

Czaszki ok. 2000 Polaków zamordowanych we wsiach Ostrówki i Wola Ostrowiecka (pow. Luboml na Wołyniu), po ekshumacji ofiar w r. 1992, przed zbiorowym pochówkiem. Patrz także CL 4/04, s. 45, *Do czego doprowadziście*



itd. Na dość dziwne pytanie p. Romanowskiego, czy atakujący polskie wsie *na prawdę mieli czas\** pastwić się nad swoimi ofiarami w tak okrutny sposób (wiadać trapią go wątpliwości!), Motyka odpowiedział: ich gwałtowność wynikała po części z tego, że wśród atakujących było sporo prostych chłopów wyposażonych w siekiery i inne narzędzia, a nie broń palną... No proszę, jak to ich znakomicie usprawiedliwia, prawda? Brawo, panie Motyka! Na marginesie: zauważmy stwierdzenie p. Motyki, iż rizinami byli nie tylko żołnierze UPA – a to się chętnie ukrywa. A przecież dobrze wiadomo, że rizinami mordowały często swoich polskich sąsiadów, a nawet polskie żony i wspólne dzieci.

We wstępie do omówionych rozmów redaktor GW napisał: *Sto obrazów ukazujących zdziczenie i bestialstwo oprawców z UPA wobec ludności polskiej na Wołyniu zgromadzono na wystawie [...]. Ekspozycja wywołała poruszenie...*

Powyższe dobrze koresponduje ze *Słowem od redakcji* w poprzednim numerze CL (1/05). Oddziałom TMLiKPW sugerujemy, by podjęły starania o przeniesienie wystawy także do innych miast.

\* podkreślenie red.

## Notatki

◆ W tym samym Pałacu Sztuki w Krakowie w styczniu i lutym otwarta była wystawa pt. *Powstańczy zryw w Czortkowie w roku 1940*, poświęcona **powstaniu przeciw so-**

**wiekiemu zaborcy** w tym mieście na samym początku pierwszej okupacji. Zryw zdesperowanych Polaków był wynikiem represji wszczętych przez agresora – aresztowań inteligencji, rodzin wojskowych, urzędników, ziemian. Po początkowej dezorientacji sowieci opanowali sytuację i w zemście 24 powstańców rozstrzelali, a 55 zesłali do obozów pracy.

Autorem scenariusza wystawy był Stanisław M. Jankowski, a współorganizatorami IPN, Muzeum w Bochni i Fundacja Kultury Polskiej z Bostonu.

◆ **Stowarzyszenie Upamiętnienia Ofiar Zbrodni Ukraińskich Nacjonalistów** (Wrocław) zorganizowało z końcem stycznia br. konferencję pt. *Ocena obchodów 60. rocznicy ludobójstwa dokonanego przez ukraińskich nacjonalistów OUN-UPA w latach 1939–1947 na Kresach Południowo-Wschodnich*. Wrocławska konferencja zgromadziła ponad 300 uczestników, w większości historyków, badaczy tamtych tragicznych wydarzeń. Główne referaty wygłosili: prezes SUOZUN Szczepan Siekierka (tytuł referatu tożsamy z tytułem konferencji); prof. dr Czesław Partacz: *Stan badań i postulaty badawcze na temat ludobójstwa...*; prokuratorzy Piotr Zając (Lublin) i Tomasz Rojek (Wrocław): *Wyniki prowadzonych śledztw ludobójstwa...* W panelu dyskusyjnym wzięli udział m.in. prof. W. Filar (Warszawa), dr L. Kulińska (Kraków, autorka obszernego artykułu w CL S/03), mgr Ewa Siemaszko (Warszawa, współautorka monumentalnej pracy o ludobójstwie na Wołyniu – patrz omówienie w CL S/01) i inni.

◆ Prezydent RP podpisał ustawę o mniejszościach narodowych i etnicznych, dopuszczającą **używanie języka mniejszości** w kontaktach z urzędami w gminach, gdzie mniejszość stanowi co najmniej 20 proc. mieszkańców.

Interesuje nas, czy Prezydent RP i inne najwyższe władze naszego państwa zadbają o to, by podobne przywileje otrzymali polscy autochtoni, zamieszkujący np. Mościska, Strzelczyńska i kilka innych wsi mościskiego powiatu? I nie tylko tam, również na Ukrainie (tej prawdziwej), gdzie jest wiele wsi niemal w całości polskich. Czy zostaną nawiązane odpowiednie rozmowy z nową ekipą rządzącą w państwie ukraińskim?

◆ Otrzymaliśmy informację o organizowaniu przez Oddział TMLiKPW w Kluczborku 19-dniowej (IV–V '05) **wycieczki na ziemię ukraińską** – aż po Berdiańsk nad morzem Azowskim. Program obejmuje zwiedzanie wielu miast i zabytków, związanych (i nie związanych) z kulturą polską, głównie z epoki przedrozbiorowej, a także spotkania ze środowiskami polskimi.

Wycieczka na pewno interesująca, jednak warto zapytać, czy Polacy, a przede wszystkim ekspatrianci z Małopolski Wschodniej i Wołynia oraz ich dzieci, zobaczyli już wszystko w swojej ziemi rodzinnej (bo na pewno, w większości, nie mogli tego poznać przed wypędzeniem). Czy dobrze znają Wschodnie Karpaty – poza utartymi szlakami, Przełęcz Legionów? Liczne atrakcje zabytkowe i przyrodnicze Pokucia (Czarny i Biały Czeremosz, Beskid Huculski), Podola (np. piękny przełom Zbrucza przez Miodobory koło Satanowa, liczne malownicze ruiny zamków, Wał Trajana), Sokalszczyznę? Czy znają jeziora Szackie na Wołyniu?

◆ W prasie wyczytaliśmy, że w sierpniu br. ma być otwarty **Międzynarodowy Transwojewódzki Szlak Rowerowy Berlin–Lwów**. Dość ciekawe przedsięwzięcie – organizowane z inicjatywy Urzędu Marszałkowskiego Województwa Łódzkiego – ale nie wszystko jeszcze rozumiemy. Trasa ma bieć z Berlina, przez Wielkopolskę, Kalisz, Skarżysko-Kamienną, Sandomierz, Jarosław, Medykę – do Lwowa. Dlaczego właśnie Berlin? Czy mamy zachęcać młodzież niemiecką, żeby więcej jeździła do Lwowa? Jakie motywy o tym zdecydowały?

◆ W lutym w Krakowie **zmarł Heryk Vogler**, pisarz i człowiek teatru, niegdyś redaktor naczelny Wydawnictwa Literackiego i kierownik literacki w krakowskich teatrach. Krakowianin, w czasie II wojny przebywał w różnych miastach i o tych czasach powstała książka pt. *Autoportret z pamięci* (1979). W części II tych wspomnień kilka rozdziałów jest poświęconych jego pobytowi we Lwowie.

◆ W marcu **zmarł w USA Edward J. Moskal**, prezes Kongresu Polonii Amerykańskiej (od 1988 r.). Urodzony w Chicago

rocznicę Wiktorii Wiedeńskiej wykupiony z rąk austriackich, a utworzony wówczas Społeczny Komitet Opieki nad Zamkiem w Olesku zajął się jego konserwacją aż do wybuchu I wojny światowej. Silnie uszkodzony w czasie działań wojennych, odnowiony po odzyskaniu niepodległości (w latach 30. przez architektów W. Minkiewicza i A. Majewskiego), ponownie uległ zniszczeniu podczas II wojny i za czasów władzy sowieckiej. Jego stan obecny jest wynikiem odbudowy z lat 1961–65. Od 1975 r. stanowi filię Lwowskiej Galerii Sztuki.

Kościół parafialny pw. św. Trójcy, konsekrowany w 1597 r., zastąpił pierwotny, zapewne drewniany kościół z 1. połowy XV w. Murowany z cegły, częściowo tynkowany. Prezbiterium zamknięte trójbocznie, a jednonawowy szeroki, prawie kwadratowy korpus został przerobiony w 1. poł. XIX w. na trójnawową halę. Po bokach dwie ośmioboczne kaplice, ufundowane w latach 1625–27 przez Jana Daniłowicza: od płn. NP Marii, od pld. św. Jana Ewangelisty, stanowiąca dolną kondygnację obronnej dzwonnicy. Od frontu wysoka przybudówka, w przyziemiu której kruchta. Jednolity wystrój wnętrza składał się z ołtarza głównego i 4 ołtarzy bocznych, drewnianych, malowanych na kremowo, ze złożonym ornamentem rokokowym (3 ćwierć XVIII w.). W 1927 r. kościół poddany konserwacji przeprowadzonej przez architekta B. Wiktorę. Po II wojnie zamieniony na magazyn, uległ znacznemu zawilgoceniu. We wnętrzu zachowały się dwa późnorenesansowe portale, chrzcielnica z XVII w., ołtarz główny (uszkodzony) oraz płyta nagrobna Jana Daniłowicza. Pozostałe części wyposażenia przechowywane w składnicy Lwowskiej Galerii Sztuki. W 1992 r. kościół został odzyskany przez miejscowy komitet parafialny i ponownie poświęcony, zaś w 1993 r. oddany Cerkwi prawosławnej.

Kościół pw. św. Józefa i klasztor oo. kapucynów, ufundowane w 1739 r. przez Józefa Seweryna Rzewuskiego i jego żonę Antoninę z Potockich, zbudowany u stóp wzgórza zamkowego przez kapucyńskiego architekta o. Andrzeja z Szydłowic (Marcina Dobrawskiego). Kościół ceglany, złożony z szerokiej nawy z dwiema parami niskich kaplic i nieco węższego prezbiterium. Od frontu kruchta. Prosta, trójosiowa fasada, zwieńczona trójkątnym przyczółkiem. Budynek klasztorny, przylegający od płn. do kościoła, ceglany, tynkowany, czworoboczny, z wyróżnieniem pośrodku. Po I rozbiórce Austriacy zamienili kościół na magazyn zboża, a klasztor na lazaret wojskowy. W 1788 r. decyzją cesarza Józefa II kapucyni odzyskali kościół i część klasztoru

w 1924 r., był wielkim polskim patriotą, a uznanie zdobyły mu liczne inicjatywy na rzecz Polski i obrony dobrego imienia Polaków w Stanach Zjednoczonych. Wśród 9-milionowej Polonii amerykańskiej cieszył się autorytetem, jakiego nie zdołały nadwerżyć konflikty z niektórymi działaczami na tle podejmowanej przezeń obrony godności i interesu Polaków wobec sił, które trudną sytuację Polski wykorzystują.

Edward Moskal otrzymał tytuł Honorowego Obywatela Miasta Krakowa w uznaniu zasług w działalności dla Rzeczypospolitej Polski i Narodu Polskiego oraz Polaków zamieszkałych w Stanach Zjednoczonych.

◆ Wśród Sług Bożych, których miał w dniu 24 kwietnia beatyfikować Jan Paweł II, znalazło się dwóch Polaków, a w tym **ks. Władysław Findysz** (1907–1964), rodem z Krościenka k. Sanoka (dziś przy samej jałtańskiej granicy). Po studiach teologiczno-filo-

zoficznych w Przemyśle uzyskał święcenia w 1932 r. Pracował kolejno w Borysławiu i Drohobyczu, później w Strzyżowie i Jaśle, a po wojnie w Żmigrodzie. Za przeciwstawianie się propagandzie ateistycznej był inwigilowany, prześladowany i parokrotnie więziony. Ciężko chory, po zwolnieniu z więzienia w 1964 r. wkrótce zmarł. Pochowany w Nowym Żmigrodzie (diecezja przemyska, w dawnej metropolii lwowskiej).

◆ **Stowarzyszenie Lekarzy Nadziei**, któremu w Krakowie szefuje prof. dr med. Zbigniew Chłap, otrzymało wyróżnienie specjalne w konkursie stowarzyszeń działających na rzecz ochrony zdrowia *Pro Publico Bono*. Krakowski oddział wielką część swej aktywności poświęca Polakom we Lwowie i Małopolsce Wschodniej. Wyróżnienie zostało przyznane głównie za zorganizowanie sesji Lekarzy Polonijnych w Czerniowcach w ubiegłym roku.

## POLACY z POLAKAMI

### DO ZABŁOTOWA Z POLSKIEJ INICJATYWY

Relacja, którą tu podajemy, nie odnosi się *sensu stricto* – jak zwykle w tej rubryce – do pomocy od Polaków z RP dla Polaków za wschodnim kordonem, dotyczy natomiast akcji na rzecz potrzebujących w naszej wschodniomałopolskiej, smutnej dziś okolicy południowego Pokucia. Przekazujemy w skrócie sprawozdanie z akcji charytatywnej i lekarskiej z Sandomierza i Krakowa („Biuletyn Lekarski” 3/04, Kraków) dla pensjonariuszy domu dla dzieci i młodzieży najciężiej upośledzonych fizycznie i psychicznie (3–23 lat) we wsi Załucze koło Zabłotowa. Przypomnijmy: Zabłotów leży nad Prutem, między Kołomyją a Śniatynem.

W 2003 r. dotarła wiadomość o tragicznej sytuacji w wymienionym domu dla ok. 140 pensjonariuszy – jednym z dwóch (!) dla tej kategorii na terenie państwa Ukraina: brak bieżącej wody, szmaty zamiast ubrań, drewniane prycze itd. Akcją opieki wszczęli Caritas diecezji sandomierskiej oraz kilku lekarzy ze szpitala wojewódzkiego w Rzeszowie. Na apel o pomoc nadesłano do Sandomierza środki finansowe, artykuły sanitarne, leki, ubranka, zabawki. Do Zabłotowa wyjechały ochotniczo dwie lekarzki-dentystki: dr Zofia Kołodziejska-Włodek oraz dr Bogna Łukiewicz-Wenczyńska (obie emerytowane). Na miejscu stwierdzono, że większość pacjentów nie ma w ogóle kontaktu z otoczeniem zewnętrznym, a wrażenie jest wstrząsające: często pozbawieni rąk i nóg, pełzający po ziemi, wynędzniali. W niektórych wypadkach nawet zwykłe badanie stanu uzębienia wymagało uśpienia.

Dom, mocno zrujnowany, to dawny dwór Jaruzelskich (skąd matka Zbyszka Cybulskiego, urodzonego w 1927 r. w pobliskich Książach). Obsługę stanowią gospodynie wiejskie, opiekę lekarską sprawuje jeden lekarz-neurolog. Dom cuchnie kałem, pampersów oczywiście nie ma. Dzieci niedożywione – dostają jeden posiłek dziennie.



Lekarki stwierdziły, że stan uzębienia pacjentów, karmionych głównie papkami, jest dramatyczny. Niektóre nastolatki nie rozstają się ze smoczkami. Większość cierpi na wady zgryzu, zapalenia dziąseł, próchnicę powierzchniową i głęboką. Liczne ubytki – niektórzy bezzębni. Przyjazdy stomatologów do Załucza powinny następować co pół roku.

Duchami opiekuńczymi Załucza są proboszcz parafii w Zabłotowie, ks. Jan Radoń, inicjator akcji charytatywnej, oraz trzy zakonnice. Ksiądz prowadzi równocześnie odbudowę kościoła zabłotowskiego, który za sowietów był magazynem soli. Władze ukraińskie nie pomagają w niczym, a księdzu utrudniają życie: co trzy miesiące musi się starać o nową wizę w Przemyślu.

## Do zapamiętania

➔ W trakcie tegorocznego, styczniowego, spotkania opłatkowego we Wspólnocie Polskiej w Krakowie powrócono do idei rozszerzenia zakresu akcji charytatywnej pn. *Opuszczeni Polacy we Lwowie i na Kresach*, prowadzonej od paru lat przez WP przy udziale grupy członków krakowskiego oddziału TMLiKPW. Omawiano mianowicie propozycję (też nie nową, lecz dotąd nie zrealizowaną) **utworzenia we Lwowie Domu Spokojnej Starości** dla najbardziej pokrzywdzonych przez los starych Polaków. Odczytano list pań B. Olasińskiej i T. Kondolewicz-Wilkowej (obie członkinie TMLiKPW) oraz M. Stęпки, skierowany do prezesa oddziału krakowskiego WP, w którym czytamy m.in.:

*Ubóstwo w niektórych przypadkach jest trudne do opisania bez emocji. Starzy ludzie wegetują w swych norach, które tylko z nazwy przypominają mieszkania. Są przypadki, gdy starsi ludzie pozbawieni są dostępu do bieżącej wody, ubikacji. Często mieszkają na poddaszach, co jest dla nich dodatkowym utrudnieniem. Niektórym żywność kupują sąsiedzi, odwiedzający ich co kilka dni. W zimie głód i chłód zagląda w oczy czarnej części odwiedzanych Polaków. Ludzie żyją w stertach szmat, papierów, wśród robactwa i własnych ekskrementów. Inni mieszkają w ogołoconych z mebli mieszkaniach lub w zimnych altankach, suterrenach, piwnicach, na poddaszach. W ślad za nędzą idzie degradacja duchowa – ludzie*

(całość dopiero w 1827 r.). W latach 1941–43 w klasztorze był obóz dla Żydów. Po II wojnie kościół i klasztor zostały przejęte na szkołę rolniczą, dla potrzeb której przebudowano wnętrze kościoła, dzieląc je na dwie kondygnacje, oraz dobudowano kilka pomieszczeń zniekształcających jego bryłę. Do ogrodu przeniesiono oranżerię z lwowskiego Parku Stryjskiego. W 1980 r. budynki pokapucyńskie przejęła Lwowska Galeria Sztuki. W kościele urządzona została sala konferencyjna, a klasztor zaadaptowano na magazyn dzieł sztuki. Do wyposażenia kościoła należało pierwotnie 8 płócien pędzla Szymona Czechowicza z lat 1762–67, przedstawiających franciszkańskich świętych. Do dziś zachowały się tylko dwa, jeden w klasztorze kapucynów w Krakowie, drugi w Sędziszowie.

Synagoga z XVIII w., bardzo zniszczona.

### SĄSIADOWICE

**Położenie.** Wieś w pow. samborskim, wojew. lwowskim, położona 15 km na płn. zach. od Sambora. Leży nad potokiem Głębokim, dopływem Strwiąża. Najwyższy punkt 369 m npm. na wznoszącym się po stronie płn.-zach. wzgórzu Guty. Parafia rzym.-kat. w miejscu.

**Historia.** W 1347 r. nadane Herburtom przez Władysława Opolczyka. Parafia rzym.-kat. erygowana w XV w. z drewnianym kościołem parafialnym pw. św. Mikołaja. W 1600 r. na miejscu pierwszego kościoła zbudowano drugi, również drewniany, ufundowany z zapisu Stanisława Herburta przez jego syna, Erazma. Kościół spalony przez Tatarów w r. 1624, odbudowany i konsekrowany w 1671 r. Około 1585 r. w Sąsiadowicach rozwinął się kult św. Anny, której płaskorzeźba przedstawiająca św. Annę Samotrzec (tj. św. Annę z Matką Boską i Dzieciątkiem) została wg legendy wyorana na wzgórzu nazwanym Górą Łaskawą, położonym na wsch. od wsi. Erazm Herbut ufundował kościół murowany pw. św. Anny, konsekrowany w 1591 r. W 1603 r. Herburtowie ufundowali przy kościele drewniany klasztor dla karmelitów trzewickowych i w 1609 r. formalnie przekazali im kościół. W 1613 r. całe założenie otoczono murem ceglany z czterema basztami oraz fosą, a w 1626 r. obwarowanie umocniono jeszcze wałem ziemnym. W r. 1631, na skutek zadłużenia, Herburtowie stracili swe dobra, w tym także Sąsiadowice. W 2. poł. XIX w. właścicielami byli Jan Dunin i oo. karmelici.

**Zabytki.** Kościół parafialny oo. karmelitów trzewickowych pw. św. Anny, wybudowany w 1587 r., murowany z cegły i kamienia. Prezbiterium jednoprzęsłowe, zamknięte trójbocznie



patrzyli na nas niewidzącymi oczyma, z apatycznym wyrazem twarzy...

Dom Spokojnej Starości mógłby powstać na wolnej parceli koło kościoła św. Antoniego – ojcowie Franciszkanie byliby skłonni oddać go na taki cel. Siostry Józefitki zadeklarowały opiekę nad przyszłymi pensjonariuszami.

➔ Od kilku lat odbywają się **w podkrakowskich Dobczycach** Dni Kultury Kresowej, które organizuje dr Rafał Stobiecki, syn lwowian osiadłych nad Rabą. W Dobczycach gościli już zespoły z Wileńszczyzny i wschodniego Podlasia (państwo Białoruś) oraz z Łotwy, zespół mandolinistów „Leśne Kwiaty” z Drohobycza, Huculi z Kołomyi, a także „Paka Rycha” z Bytomia.

Dr Stobiecki zamierza powołać stowarzyszenie, które zajmie się na przyszłość organizacją kolejnych Dni Kultury Kresowej, uważa bowiem, że młodzież polska zza wschodniej granicy jest złąkioną kontaktu z Macierzą.

KULTURA  
NAUKA

## 75 lat LWOWSKIEGO RADIA

Polskie Towarzystwo Radiowe „Radio Lwów” zorganizowało w lutym uroczysty obchód **75. rocznicy założenia Polskiego Radia Lwów** (1930). Niestety z miłego zaproszenia nie mogliśmy skorzystać, wysłaliśmy jednak do Lwowa taki oto list:

*Kochani nasi Lwowscy Radiowcy!*

*Wielką przyjemność sprawiliście nam zapraszając na obchód 75-lecia Polskiego Radia Lwów, a jeszcze większą, że pamiętaliście o tej historycznej dacie, ważnej dla całej Polski. Bo lwowskie Radio było szczególnie: mnóstwo znakomitych nazwisk, które wiele znaczyły w kulturze Polski przedwojennej. Na niektóre wspaniałe audycje czekano wszak w całym kraju, bo nie miały sobie równych.*

*Niektórych ludzi lwowskiego Radia spotykaliśmy w latach powojennych tu w Krakowie, Wrocławiu, Warszawie. Niestety w ówczesnych warunkach ich dawna działalność nie mogła być kontynuowana. Szkoda, że w większości już odeszli, dlatego tak wspaniale się stało, że Wy, w miejscu najważniejszym, bo w samym Lwowie – podjęliście tę niezwykłą tradycję. Tylko Wy macie prawo, by dzieło Polskiego Radia Lwów kontynuować, nikt inny. Wam należy się pomoc, bo Wasz trud jest czysty. Jest spontaniczny i autentyczny. Stanowicie godną kartę naszej historii i kultury, bo ani biznes, ani koniunktura nie powodowały Wami, gdy Wasze Radio zakładaliście.*

*Więc życzymy Wam wszystkiego, co najlepsze i zawsze będziemy Was popierać i bronić. [...]*

*Serdecznie Was pozdrawiamy oraz życzymy spełnienia Waszych marzeń – tych radiowych i tych osobistych. Życzymy dalszych sukcesów oraz zawsze takiego samego uznania u słuchaczy i przyjaciół. [...]*

Dowiedzieliśmy się, że list ten został odczytany w Polskim Radiu we Lwowie. Dziękujemy!

W marcu dwukrotnie zobaczyliśmy w TV „Polonia” reportaż z omawianej uroczystości. Mamy nadzieję, że otrzymamy ze Lwowa relację z obchodów, by podzielić się nią z Czytelnikami. Bardzo prosimy!

## Stulecie lwowskiej „POGONI” na krakowskim stadionie

3 października '04 na stadionie piłkarskim TS „Wisła” w Krakowie – przed derbami piłkarskimi Wisła–Cracovia – odbyła się miła uroczystość upamiętniająca setną rocznicę powstania Lwowskiego Klubu Sportowego „Pogoń”. Na 15 minut przed rozpoczęciem meczu poproszono na płytę boiska przed główną trybuną Lwowiaków – sympatyków „Pogoni”, wnuków i prawnuków słynnego piłkarza „Kasztanów” Michała Matyasa – Myszkę i Kazimierza Trampisza, b. piłkarza „Polonii” Bytom – spadkobierczyni lwowskiego klubu. Zostali obdarowani koszulkami i szalikami z emblematami „Pogoni” oraz



kwiatami. Po wręczeniu upominków spiker zaintonował: *Niech inni sy jadą, gdzie mogą, gdzie chcą* i cała trybuna podchwyciła piosenkę, akcentując bardzo wyraźnie, że *nima jak Lwów!* Dla nas, lwowiaków uczestniczących w tej uroczystości, był to najbardziej wzruszający moment, bo dowiedział, że nasz Lwów żyje w sercach krakowian. Pomysłodawcą zorganizowania uroczystości był p. Wojciech Pietras, a starania o jej realizację podjęli skutecznie pp. Robert Madej i Marian Piech z Klubu Kibica TS „Wisła”. Oczywiście ostatnie słowo należało do pp. Bogusława Cupiała i Tadeusza Czerwińskiego z Klubu Piłkarskiego TS „Wisła” SA oraz p. Ludwika Mięty-Mikołajewicza, prezesa „Wisły”, za co należą się słowa serdecznego podziękowania.

Andrzej Pawłowski

## MRĄGOWO JAK CO ROKU

Dzięki TV „Polonia” w ostatnim dniu października ub. roku mogliśmy oglądać X Festiwal Kultury Kresowej w Mrągowie.

Przed sceną nad malowniczym jeziorem zgromadziła się bardzo liczna publiczność. Prowadząca program Agata Młynarska powitała sędziwego pana Adama Orlińskiego, urodzonego w Baranowiczach, którego wojenne losy przez Warszawę i Berlin rzuciły na obcą ziemię, a do Polski wrócił w 2000 roku. Pan Adam zaśpiewał pięknym, mocnym głosem piosenkę *Na Podolu biały kamień, Podolanka siedzi na nim*. W 2000 roku na Festiwalu Kultury Kresowej śpiewał *Cichą wodę* – wówczas dedykował piosenkę Zbigniewowi Kurtyczowi. I oto na scenie ukazał się bard lwowskiej piosenki – Zbigniew Kurtycz z gitarą. Obaj panowie ra-

i zwrócone na wschód; korpus złożony z dwuprzęsłowej nawy oraz dwóch kaplic jednakowej z nią długości po bokach. Sklepienie kolebkowe, fasada trójosiowa, dwukondygnacyjna, ze zwieńczeniem. We wnętrzu freski z 2. połowy XVIII w., przemalowane w 1863 r. (?) przez Michała Łozińskiego (apoteoza św. Anny i alegorie cnót). Pierwotnie we wnętrzu było 7 ołtarzy i ambona drewniana, polichromowane i złożone, z ornamentem rokokowym (do dziś zachowane 3 ołtarze, w tym główny, obecnie przebudowany i uzupełniony). Plaskorzeźba św. Anny Samotrzec w ołtarzu głównym, słynęła laskami na całą okolicę i sprowadzała do Sąsadowic liczne pielgrzymki.

Klasztor na rzuście asymetrycznej podkowy, z przylegającym od wsch. kościołem. Murowany jednopiętrowy budynek klasztorny, wzniesiony ok. 1742 r. dzięki fundacji Franciszka Borzęckiego, starosty żydaczowskiego. W 1828 r. zniszczony przez pożar, w ciągu kilku lat odbudowany. W październiku 1940 r. zajęty przez wojska sowieckie na szkołę podoficerską, odzyskany przez zakonników po wkroczeniu Niemców. W 1946 r. opuszczony przez nich w ramach ekspatriacji ludności wsi. Do 1958 r. służył jako magazyn kolchozowy, następnie stał pusty, podobnie jak kościół, ulegając ruinie.

**Czasy obecne.** W 1989 r. kościół i ocalała część klasztoru zostały odzyskane przez miejscowych wiernych i w latach 1989–95 poddane remontowi.

### WOJUTYCZE

**Położenie.** Wieś w pow. samborskim, wojew. lwowskim, położona 8 km na płn. zach. od Sambora. Leży nad Strwiążem, na wys. 349 m npm. Parafie obu obrządków na miejscu.

**Historia.** Wieś istniała już w 1. ćwierci XV w. Data erygowania parafii rzym.-kat. nieznaną. Pierwsze wiadomości o parafii pochodzą z lat 1472–81. W XV w. była to własność Drohojowskich h. Korczak. W 1583 r. Jan Tomasz Drohojowski, referendarz koronny i starosta przemyski, gościł w Wojutyczach Gryzeldę Batorównę, zdążającą do Krakowa na zaślubiny z kanclerzem Janem Zamoyskim. W 1593 r. Drohojowski odnowił fundację parafii i wybudował w miejscu pierwotnego nowy drewniany kościół parafialny, konsekrowany w 1626 r. Po jego śmierci (1605) w posiadanie zadłużonych dóbr wszedł Stanisław Stadnicki h. Szreniawa. W rękach Stadnickich Wojutycze pozostały przez cały XVII w. Z początkiem XVIII w. spadkobiercy Jana Franciszka Stadnickiego, wojewody wołyńskiego, wybudowali z jego zapisu murowany kościół parafialny pw.

zem zaśpiewali *Cichą wodę*. Niespodzianką było pojawienie się na scenie arcyłowianina – Kazimierza Górskiego. Kurtycz i Górski są kolegami z lwowskiego gimnazjum, grali w piłkę w jednej drużynie. Podobno Kurtycz był nawet lepszy, ale zostawił piłkę dla muzyki. Pan Zbigniew przeżył swój szlak wojenny nie z karabinem, ale z gitarą. Szedł z Armią Andersa i śpiewał dla żołnierzy. Gdy dla mraǳowskiej publiczności zaśpiewał *Mam gitarę kupioną we Lwowie* – cała widownia śpiewała z nim ... *przyjacielu, co chcesz to mów, nima, nima jak miasto Lwów*, i *Bo gdybym się jeszcze urodzić miał znów, to tylko we Lwowie*. Była też piosenka wykonana w duecie z Barbarą Dunin: *Jeden kocha Warszawę, drugi piądz i sławę, a ja tak bardzo kocham Lwów*.

Tak więc festiwal był zdominowany przez piosenki lwowskie. Jak zwykle była w Mraǳowie obecna Pani Emilia Chmielowa, prezes Federacji Organizacji Polskich nU. To ona przywołała zespoły kresowe na Festiwal. Mówiła, że Lwów żyje Polską. *Jesteśmy tam, bo jakbyśmy wyjechali, to powiedzieliby, że nas tam nigdy nie było*.

Wystąpił jeszcze zespół rodzinny „Żarna” z Sambora, działający już od dziesięciu lat, i zespół „Sybirak” z Lidy, założony przez sybiraczkę, panią Danutę Ciechanowicz.

Tak więc Lwów i Ziemie Kresowe żyją w sercach nie tylko tych, którzy się tam urodzili.

Marta Walczewska

## Kronika

◆ 5 lutego '05 minęła **500. rocznica urodzin Mikołaja Reja**. Ojciec poezji polskiej urodził się w 1505 r. w Żurawnie (nad Dniestrem, blisko Stryja) z ojca Stanisława i matki Barbary z Herburtów – wielkiego rodu na Dobromilu. Pisał się z *Nagłowic*, choć z tym gniazdem Rejów niewiele miał wspólnego (ale tam założono jego muzeum). Miał dobra w ziemi halickiej, krakowskiej oraz chełmskiej, gdzie mieszkał i założył miasto Rejowiec. W końcu po bezdzietnych krewnych odziedziczył Nagłowice. Zmarł w 1569 r.

Bieżący rok ogłoszono *Rokiem Mikołaja Reja*. Jego inauguracją była konferencja w lutym w Nagłowicach, poświęcona życiu i twórczości Poety.

W CL 3/05 zamieścimy obszerniejszą Sylwetkę Poety.

◆ **Dobromil to miasteczko, którego nie doceniamy!** Wiemy co prawda (a niektórzy nawet widzieli), że jest tam piękny renesansowy kościół, jakby odkryty na nowo przed paroma laty przez krakowskich historyków sztuki (patrz CL 1/96, *Słownik*), i ruiny zamku Herburtów (stamtąd wywodziła się matka Mikołaja Reja – patrz poprzednia notka). Okazuje się, że to nie wszystko.

Oto w Arsenale Muzeum Czarotoryskich w Krakowie odbyło się z początkiem marca wykonanie niecodziennego spektaklu literacko-muzycznego: *Pielgrzym z Dobromila czyli nauki wiejskie*. Libretto oparte jest na dziełku ks. Izabelli Czarotoryskiej (zaadaptowanym przez Adama Kłodzińskiego), muzykę skomponował Wincenty Lessel, nadworny kapelmistrz Czarotoryskich. Premiera odbyła się w 1819 r.

*Pielgrzym z Dobromila* księżnej Izabelli była to książeczka przeznaczona dla młodych włościan (tych ambitniejszych, dodajmy) i miała im pomagać w pielęgnowaniu języka ojczystego, wartości narodowych, dumy z przeszlności (jak pisze autor notatki w „Dzienniku Polskim” 52/05). Niestety *Pielgrzym* został całkiem zapomniany, a partytura Lessela nie zachowała się. Obecnie powstała rekonstrukcja tego dzieła – dokonała tej sztuki dr Anna Szałyga w Instytucie Muzyki Uniwersytetu Rzeszowskiego, opierając się na innych, zachowanych utworach owego muzyka.

Przy okazji dowiadujemy się, że nie gdzie indziej, a właśnie w Dobromilu wyszło na świat pierwsze wydanie drukiem *Kroniki* Kadłubka i pierwszych ksiąg *Kroniki* Długosza. Dokonał tego na przełomie XVI–XVII w. Jan Szczęsny Herburt w drukarni, którą w swym mieście założył.

Należy więc Dobromil do niezwykle ważnych miejsc na mapie historii polskiej kultury. A kto o tym wie? Czy wiele jest takich miasteczek w Polsce?

Dobromil oczywiście nie doczekał się dotąd historycznej monografii.

◆ W bieżącym roku przypada **90. rocznica tzw. rzezi Ormian** – ludobójstwa, dokonanego przez Turków na ormiańskich autochtonach, zamieszkałych w północno-wschodniej części Turcji, należącej niegdyś do tzw. Wielkiej Armenii. Zbrodnia w 1915 r. była pierwszym przypadkiem holokaustu XX wieku.

W połowie stycznia, w ramach Dni Ormiańskich, otwarto w krakowskiej Wojewódzkiej Bibliotece Publicznej wystawę fotografii z tamtego regionu pt. *Niszczące dziedzictwo. Ormianie we wschodniej Turcji*. Wyświetlano również filmy.

◆ W Warszawie działa biuro turystyczne „Artur”, które oferuje całą serię wyjazdów **do miejsc kultury i pamięci narodowej**. Przykładem: *Mazowsze – moja Mała Ojczyzna, Szlakiem Orlich Gniazd, Staropolskie Zagłębie Przemysłowe, Niedziela Palmowa na Kurpiach, Szlak Rodu Radziwiłłów* i wiele podobnych. Jest między nimi także: *Lwów* (wraz z Żółkwią) oraz *Kaziuki w Wilnie*. Podoba nam się to.

◆ Przy różnych okazjach pisujemy o dwóch znakomitych – a zarazem szczególnie przez nas szanowanych i lubianych – krakowskich zespołach muzycznych. Ostatnio, w CL 1/05 relacjonowaliśmy 35-lecie Chóru Akademickiego „Organum”, a dziś powiadamy o **ju-bileuszu 35-lecia Capellae Cracoviensis**.

Capella jest zespołem kameralnym, który stał się ważnym punktem w krajobrazie muzycznym naszego kraju. Stworzył go w 1970 r. Stanisław Gałoński i od tego czasu CC objechała niemal cały świat, a zarazem gościła u siebie licznych znakomitych dyrygentów, instrumentalistów, wokalistów. Wielu kompozytorów ofiarowało Capelli swoje utwory.

Twórca i wspaniały dyrygent Capellae Cracoviensis Stanisław Gałoński pochodzi z naszych stron: urodził się koło Trembowli. Tam też przed trzema laty wybrał się z całym zespołem, by spełnić swoje marzenie: zagrać w rodzinnym mieście. Pamiętną tę podróż i koncert relacjonowaliśmy w CL 3/02 Przypomnijmy też, że w 1994 r. Stanisław Gałoński przygotował dla nas stronę muzyczną i organizacyjną koncertu „Homa-

św. Katarzyny. Do budowy przyczynił się powinowaty Stadnickich, Józef Mniszech, marszałek wielki koronny, dostarczając budulca pochodzącego z ruin zamku w Rakowej. W 2. poł. XIX w. Wojutyce należały do Tchórznickich.

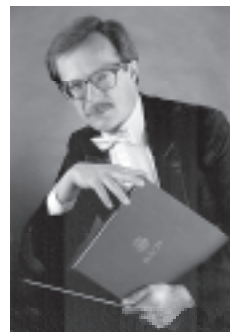
**Zabytki.** Kościół parafialny pw. św. Katarzyny Aleksandryjskiej, budowa rozpoczęta w roku 1714, konsekrowany w 1743 r. Murowany z cegły, tynkowany, złożony z prostokątnej nawy i węższego od niej prezbiterium. Nawę poprzedza prostokątna kruchta. W 1896 r. Tchórznicy wybudowali przy prezbiterium neoromańską kaplicę grobową. Kościół był poddany remontowi w latach 1922–35.

**Czasy obecne.** Kościół zamknięty w 1947 r., odzyskany przez miejscowych parafian w 1989 r. i oddany do kultu po częściowym remoncie.

Teksty opracowała dr Maria Taszycka

gium Leopoli”, który odbył się na zamknięcie Roku Lwowskiego w Filharmonii Krakowskiej (patrz CL 1/95), a potem został powtórzony w Katedrze Lwowskiej.

Najbliższym współpracownikiem S. Gałońskiego jest równie znakomity dyrygent Stanisław Krawczyński. Tu znowu lwowskie odniesienie: jest synem p. Wiesława Krawczyńskiego, lwowianina, który jako AK-owiec został w 1945 r. pojmany przez sowietów i skazany na wieloletnią katorgę na Syberii. Tam, w łagrze, z matki Litwinki, urodził się Stanisław. Szczęściem wszyscy wrócili do Polski, osiedli w Krakowie. Warto przypomnieć, że teksty i wiersze Pana Wiesława kilkakrotnie publikowaliśmy w naszym kwartalniku.



Stanisław Krawczyński



Stanisław Gałoński i Capella Cracoviensis u Ojca Świętego



# Książki czasopisma

## DWA GŁOSY O ENCYKLOPEDII KRESÓW

Wielką zasługą Wydawnictwa Kluszczyński w Krakowie jest wydanie monumentalnej *Encyklopedii Kresów (2004)*. Jest to ogromna księga z 3600 hasłami na prawie 560 stronach, uzupełnionych 1100 ilustracjami: zdjęciami starymi i nowymi, reprodukcjami obrazów i grafik – portretów, budowli i krajobrazów, mapkami. Za stronę merytoryczną odpowiada zapewne redaktor prowadzący – Aleksandra Górską.

Znaczenie tej książki, a także nadzieja, że w drugim wydaniu stanie się jeszcze lepsza, skłania nas do osobnego jej potraktowania – poza serią omówień innych nowo wydanych książek.

### GŁOS LWOWSKO-KRAKOWSKI

Przy tak tragicznym braku wiedzy w nowym społeczeństwie polskim o zabranych ziemiach – z których bliższe były integralną częścią naszego terytorium, utraconą po II wojnie, te dalsze zaś, wschodnie i północne, kilkuwiekowym (niestety niewykorzystanym na trwałe) fundamentem potęgi Rzeczypospolitej, upadłej z końcem XVIII wieku – pojawienie się tego dzieła nie może być przecenione. Z przekonaniem tym nie współgra ostatnie zdanie tekstu na tylnej okładce, dezawuuujące wartość tej książki, sprowadzając jej lekturę do... podróży sentymentalnej. Czyżby – na wszelki wypadek – tzw. *poprawność polityczna*?

*Encyklopedia Kresów* może stać się teraz znakomitym podręcznikiem wiedzy o tamtej połowie naszej historii i kulturze, zarówno dla tych, którzy jej dziejowej wagi są świadomi, jak i dla tych, których ignoracja żadną świadomością nie jest skalana. Każdy znajdzie tam – mimo pewnych braków i nieścisłości (nie używamy słowa: błędów) – znakomity zasób informacji o poję-

ciach i zagadnieniach, o geografii i miejscowościach, o zabytkach i sztuce, o instytucjach oraz postaciach wszelkiej ludzkiej aktywności i zasług. Także o paru innych jeszcze dziedzinach, a wszystkie razem pokazują – nie wszędzie w jednakowym stopniu oczywiście – związek tamtych ziem z zachodnią kulturą i polską historią\*.

W *Encyklopedii* doliczyliśmy się ok. 250 opisów miejscowości z terenu Małopolski Wschodniej, z czego ponad 122 figuruje już w naszym *Słowniku geograficzno-historycznym* (który w sumie – do końca 2004 r. – obejmuje prawie 320 haseł dot. miejscowości, regionów, pasm górskich i rzek).

*Encyklopedia*, jak zauważyliśmy, idzie jak woda. Nie wątpimy więc, że już niebawem okaże się potrzebny drugi nakład. A skoro jesteśmy tego pewni, to czujemy się w obowiązku zwrócić uwagę na wspomniane wyżej braki i nieścisłości – z nadzieją, że uda się je poprawić. Ograniczamy się do obszaru Małopolski Wschodniej, najlepiej nam znanej. Swoje uwagi podadzą też na pewno Wilnianie, Wołynianie i wszyscy inni zainteresowani.

Skoro padła nazwa Małopolski Wschodniej – od tego zacznijmy. Wiemy, że pp. historycy zamiast tej nazwy wolą *województwo ruskie* (jakże inaczej podchodzą u siebie w analogicznych przypadkach Francuzi, Anglicy, Niemcy, Włosi...), niemniej nazwa przyjęta w XVI wieku, stosowana w Polsce Odrodzonej, a także teraz (niekoniecznie tylko wśród ekspatriantów)\*\*, nie powinna być pominięta w obiektywnym opracowaniu.

Wśród nazw geograficznych brakuje nam Roztocza, Gołogór, Woroniaków, Miódoborów, Huculszczyzny (opisanej wprawdzie pod hasłem *Huculi*, brak jednak sprecyzowania geograficznego, nie pada w tym kontekście nazwa Czarnohory – z odesłaniem do tego hasła). Czarnohora to oczywiście Prut i Czeremosz, a Biała i Czarna Cisa zbędne. Góry Krzemienieckie – a przede wszystkim Ikwa – zasługują na coś więcej niż wspomnienie przy Krzemieńcu. Najwyższy szczyt nie tylko Karpat Wschodnich, lecz całego obszaru objętego *Encyklopedią* – Howerla – prosi się o osobne hasło, zamiast Popa Iwana (wymienionego dzięki obserwatorium, i to aż dwa razy). Ewidentnym błędem jest utożsamienie Krystynopola z Czerwonogrodem, a to całkiem różne



i odległe od siebie miejscowości. Ten pierwszy został przez Sowietów przemianowany na *Czerwonograd*. Natomiast pominięcie prawdziwego Czerwonogrodu jest poważnym niedopatrzaniem.

W haśle *Uzdrowiska* należałoby wymienić takie, które w części mają swoje osobne hasła, lecz to ogólne staje się niepełne. Przykładem: Morszyn, Lubień Wielki, Niemirów, Kosów, Konopkówka (czyli Mikulińce – jako źródło wymienione w XVI w. przez Wojciecha Oczkę). W haśle *Truskawiec* pominięto najważniejszą wodę mineralną, Naftusię. W haśle *Żurawno* nie napomknięto o alabastrze, a to przecież obok Reja – druga chwała tego miasteczka. Bubniszcze – czy naprawdę chodzi o władzę carskie?

W paru miejscach pomyłono podobne do siebie nazwiska. Żaglówka to Mniszkowie, a nie Mniszchowie (to różne rodziny), a Kołędziany – Horodyscy, a nie Hordyńscy czy Horodyńscy. Niewłaściwa odmiana dla Jaremcza lub Bubniszcza – ma być liczba pojedyncza, a nie mnoga.

Warto by omówić dwa historyczne herby związane z tamtymi ziemiami: *Korczak* i *Sas*.

Ilustracje: szkoda, że dla Stanisławowa znaleziono tylko fotografię „Sokoła” (zresztą ładnego), ale bardziej by pasowała kolegiata albo kościół ormiański (*sakralny salon Stanisławowa*). Zdjęcie, które ilustruje hasło *Prawo magdeburskie*, niczego nie wyjaśnia (podobne jest na okładce). Czy nie należało zamieścić fotografii Starego Miasta lokowanego na tym planie, z lotu ptaka? Można takie piękne zdjęcie znaleźć w albumie O. Czernera *Lwów na dawnej rycinie i planie* (nr 266).

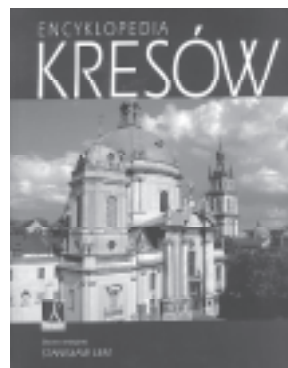
Na koniec zostawiamy hasło *Lwowiacy*. Tu trzeba by coś ująć i coś dodać. Sądzymy, że nazwiska Kuronia i Schaffa są mało reprezentatywne dla tego miasta. A równocześnie pominięto Wojciecha Dzieduszyckiego i Jerzego Janickiego – na Boga, kto to zestawiał?

Sembrich-Kochańska urodziła się wprawdzie pod Tarnopolem, lecz we Lwowie występowała dwa razy w życiu, a zmarła przed II wojną.

Tymon Terlecki po wojnie żył w Ameryce, nie w Polsce. Ale skoro by przyjąć również *emigrantów*, to wiele wybitnych nazwisk wypadałoby wymienić (np. S. Ostrowski, prezydent Lwowa i RP na obczyźnie; Hemar,

Szczepko i Tońko!). Wymieniono Gniatkowskiego, a dlaczego raczej nie Michotka? Z lekarzy – poza Krwawiczem – pominięto Grucę, Garlickiego, Groëra... Wśród architektów spokojnie można pominąć Juchnowicza, ponieważ jest postacią powojenną, choć urodzony przed wojną w Małopolsce Wschodniej, za to podać

Minkiewicza i Majewskiego, który tyle zamków odbudował przed i po wojnie; Czernera, twórcę Muzeum Architektury we Wrocławiu; Zipsera... A Tadeusz Mańkowski, który napisał po wojnie monumentalne dzieło *Dawny Lwów, jego sztuka i kultura artystyczna*, a ponadto był pierwszym powojennym dyrektorem Wawelu... Nikogo z inżynierów? A Huber, Szewalski, Kopyciński... Wśród ludzi teatru – gdzie Horzyca? O Steinhausie napisano osobno, ale w haśle *Lwowiacy* też powinien być wymieniony. Gdzie wielki prawnik Ehrlich? Parandowski to przede wszystkim pisarz, a pisał też o antyku. Językoznawcy Jodłowski i Taszycki, autorzy ciągle aktualnego *Słownika ortograficznego*? Całkiem zapomniano o paru wybitnych duchownych. W konkluzji: dla tego hasła zabrakło i rozeznania, i koncepcji, a także koordynacji, bo całkiem inaczej potraktowano hasło *Wilniacy*, gdzie uwzględniono postaci z wcześniejszych stuleci, czego dla Lwowa nie uczyniono. Na marginesie: czy nie lepiej: *Lwowanie*, *Wilnianie*, niż *-acy*?



Podobnych uwag będzie zapewne jeszcze sporo, ale nie należy tego rozumieć jako „czepianie się”, bo książka – jak powiedzieliśmy na początku – nas satysfakcjonuje. A skoro może być jeszcze lepiej i prawdziwiej, to dlaczego nie? O jedno więc prosimy Wydawcę: by poprawiając i uzupełniając Encyklopedię – nie ograniczył się do najprostszych poprawek ewidentnych błędów, lecz również wskazane braki – po konsultacjach z fachowcami oczywiście – uwzględnił. Bo te drugie są ważniejsze.

Dodajmy na koniec, że słowo wstępne napisał w formie wspomnieniowej gawędy Stanisław Lem. I jeszcze to, że książka

została bardzo starannie wydana, wręcz luksusowo – a to także sprawia, że jej cena do najniższych nie należy. Co trzeba niestety zrozumieć.

Andrzej Chlipalski

\* Podobne myśli zawarł w swej recenzji o *Encyklopedii Kresów* Włodzimierz Odojewski, „Rzeczpospolita”, 290/04.

\*\* Przykład całkiem świeży: patrz artykuł Bohdana Cywińskiego w „Rzeczypospolitej” 290/04 – *Z sąsiadem na Majdanie*. Przypomnijmy też rozsądne zaniechanie – po ostatniej reformie administracyjnej III RP – nazwania Rzeszowszczyzny Małopolską Wschodnią. A propozycje takie były.

### GŁOS LWOWSKO-WROCŁAWSKI

Jarosław M. Rymkiewicz, nasz znakomity poeta, powiedział po prostu: *Tamte tereny należały kiedyś do Polski, były ucywilizowane... Z tej racji pozostają nadal, czy tego chcemy czy nie, czy o tym wiemy, czy nie, domeną ducha polskiego, miejscem jego przebywania, właśnie dlatego, że – w sensie duchowym – były niegdyś rdzennie polskie; dlatego, że powstały tam wielkie, nawet największe dzieła polskiego ducha\**. Ten duch żył w ludziach, świątyniach, kolegiach i uniwersytetach, pałacach i dworach, ubogich zaściankach i na staromiejskich rynkach, w szkołach i kamienicach. Żył i wpłatał się przez wieki w barwną polifonię etnicznie polską, ruską, ormiańską, żydowską, tworząc jedyny w swoim wyrazie metafizyczny i materialny krajobraz Kresów.

Trudna to rzecz ten krajobraz opisać epicko i poetycko, bo nie ma drugiego Mickiewicza i Słowackiego.

Trudno również zmieścić całe bogactwo Kresów w encyklopediach. A jednak mamy już pierwszą *Encyklopedię Kresów*, z pięknym – ale z podtekstem łagodnego smutku i pogodzenia się z rzeczywistością – *lwowskim* wstępem Stanisława Lema. Należy wyrazić uznanie za tę, jak na razie jedyną tego typu pozycję kresową, zarówno zespołowi redakcyjnemu, autorom oraz Wydawnictwu Kluszczyński w Krakowie. I mieć nadzieję, że będzie drugie wydanie tej książki, bo są przesłanki ku temu.

Encyklopedia ma piękną szatę graficzną, bogatą dokumentację fotograficzną, mapy i 3600 haseł na 558 stronach. Redak-

cja stanęła przed trudnym zadaniem. Trzeba było wybrać to, co najważniejsze, i wyboru tego dokonać wśród tysięcy osób, tyłuż zabytków sakralnych i świeckich, wśród miejscowości, wydarzeń historycznych, obyczajów, a nawet sięgnąć do zróżnicowanego świata kresowych ubiorów. Czy to się udało? W zasadzie tak, i ta pierwsza na polskim rynku *Encyklopedia Kresów* z uwagi na zasób merytoryczny zniknie z półek księgarskich.

Jednak przy uważnej lekturze nasuwają się pewne uwagi dotyczące *wyważania* pewnych haseł i braku innych w całej ich zbiorowości. Oto kilka przykładów: Czy szczupłość miejsca była powodem, że wśród wielu haseł osobowych zabrakło takich postaci, jak Ignacy J. Paderewski? Ten wielki Polak, artysta, mąż stanu, urodził się w 1860 r. w szlacheckim dworze w Kuryłówce nad Bohem, na Podolu. Jego matka, z domu Nowicka, była córką Zygmunta, filomaty i przyjaciela Mickiewicza. Paderewski w swoich pamiętnikach napisał, że Kuryłówka była jednym z najcudowniejszych miejsc na świecie. Brak Paderewskiego jest o tyle niezrozumiałym, że hasło osobowe ma np. Stefan Jaworski, pisarz ukraińsko-rosyjski pochodzenia polskiego, mnich i wykładowca w Ławrze Pieczerskiej.

W hasle zbiorczym *Lwowiaci* wymienieni zostali – wśród innych – Zbigniew Herbert, Wojciech Kilar, Henryk Wereszycki, a każdy z nich zasługuje chyba na własne hasło osobowe, skoro znalazło się miejsce dla Heleny Mniszkówny, autorki *Trędowatej*, czy na drobniagowe opisy elementów stroju huculskiego, np. *czapraha*. I inne.

Hasło *Lwowiaci* jest w ogóle dość nieszczęśliwie skompletowane. Wymieniono osoby z obszaru działalności estradowo-piosenkarskiej, a brakuje wielu, którzy stanowili elitę akademickiego Lwowa, zaś po II wojnie stali się filarami licznych uczelni kraju w nowych granicach, a także za granicą. To samo można odnieść do hasła *Wilniacy*. Błędem było umieszczenie wśród ekspatriantów nazwiska Marceliny Sembrich-Kochańskiej, która zmarła w 1935 r.

Pewien niedosyt przedstawia obszar kresowych kapłanów. Brak haseł osobowych arcybiskupów B. Twardowskiego, E. Bazianka, J. Teodorowicza (tę wybitną postać wspo-

mniano jedynie w haśle *Ormianie*). Nie ma również biskupa Adolfa Szelażka z Łucka oraz wielu znanych kapłanów: ks. L. Rutyny z Buczacza, znakomitego muzykologa ks. H. Feichta czy kronikarzy eksterminacji Polaków przez UPA: księży W. Szetelnickiego i J. Anczarskiego.

Jest hasło *Rzezie na Wołyniu*, ale brak – poza pojedynczymi miejscowościami (Podkamień) analogicznego hasła *Rzezie na Podolu*, które miały miejsce w województwach tarnopolskim, stanisławowskim i lwowskim, gdzie zbrodnicze działania – nie mniej krwawe i nie mniej liczne – prowadziła też dywizja SS Galizien.

Dziwi ocena postaci B. Chmielnickiego jako najwybitniejszego polityka europejskiego (!) tego czasu. Jak to się ma choćby do współczesnego mu Gabora Bethlena, z którym wiąże się złoty wiek Siedmiogrodu, mającego dzięki niemu status niepodległego państwa i partnera w walkach z Habsburgami? Niepotrzebny był ten polityczny komplement dla Chmielnickiego, bo mija się z prawdą i sensem.

Powyższe uwagi nie obniżają w zasadzie wartości tej pionierskiej i potrzebnej publikacji, poszerzającej publiczną wiedzę o Kresach, bez których nie jest możliwe pełne, komplementarne ujęcie i zrozumienie polskiej kultury.

Danuta Nespiak

\* Wywiad „Rzeczpospolita” – 2 I '05

## Nowe książki

📖 Ta sama oficyna – Wydawnictwo Kluszczyński – zaprezentowała coraz liczniejszym zapewne zainteresowanym Ziemiami Wschodnimi – dwa piękne albumy: ***Polska – Kresy Wschodnie*** oraz ***Kresy – Lwów*** (Kraków 2002). Autorami obu są **Roman Marcinek** (teksty) oraz **Siergiej W. Tarasow** (zdjęcia, ale w obu albumach wymieniono jeszcze paru innych fotografów). Albumy są bardzo starannie wydane, na dobrym papierze, w twardych okładkach. Liczą 112 i 64 strony, na każdej stronie mieści się 2–3 ilustracje. Obok nowych, dobrych zdjęć, znalazły się też dawne fotografie i reprodukcje starych obrazów. Oglądamy miasta, zamki i pałace, świątynie, krajobrazy,

a także dzieła sztuki i rzemiosła artystycznego. Z satysfakcją czytamy teksty w obu albumach, bo jest w nich prawda, o którą coraz trudniej, nawet w tekstach polskich *znawców*, często zasugerowanych nieobiektywną *pisaniną* niepolskich autorów.

Pierwszy z wymienionych albumów obejmuje głównie ziemie nam najbliższe (geograficznie i uczuciowo), odcięte od RP jałtańskim kordonem; jest też nieco zdjęć z ziem ukraińskich, białoruskich i litewskich. Najwięcej, bo niemal 1/3 stron zajmuje Małopolska Wschodnia.

Album lwowski przedstawia oczywiście główne zabytki miasta, znajdujemy tu jednak sporo mniej znanych ujęć. Są to przede wszystkim wcale lub rzadko oglądane wnętrza (np. sale w pałacu Potockich, Izbie Przemysłu wo-Handlowej, Kasynie Końskim itp.), nie zauważane (w pośpiechu) detale (kopuły od środka, kraty, balustrady).

Same więc pochwały. Ale też parę uwag.

Pierwsza: już czas by w podobnych tekstach pojawiała się – we wstępnym opisie historycznym – nazwa zachodniosłowiańskich Lędzian, najdawniejszych gospodarzy tej ziemi\*, potem utopionych w napływającym żywiole ruskim, uchodzącym na zachód przed Tatarami. Tak idealne miejsce do założenia ludzkiej siedziby, jak to w kotlinie Pełtwi, osłoniętej od północy wzgórzami końcówki Roztocza – tuż przy skrzyżowaniu szlaków zachód–wschód i północ–południe – nie mogło nie być przez nich już w czasach prehistorycznych zasiedlone. Osiedle ruskie Daniela na pewno nie powstało w dzikiej puszczy...


Inna uwaga: cerkiew Przemienienia – dawny kościół zakonu Trynitarzy – nie została z końcem XIX w. zbudowana, lecz odnowiona (o ciągłości budowlanej świadczy jej architektura; zdewastowana, przez kilkadziesiąt lat była użytkowana przez kupców jako magazyn różnych towarów), a potem częściowo udekorowana na nowo, na potrzeby cerkiewne. Nie wyszło jej to na dobre pod względem estetycznym ani zewnątrz, ani wewnątrz...

A dalej: czy tekst o Poczajowie nie lepiej było zilustrować pięknym wnętrzem cerkwi Wniebowzięcia, a nie tej drugiej, wystawionej przez carat w tym samym celu co warszawski *pałac kultury* przez sowietów?

I znowu nazwy: nie *Delatyń*, *Husiatyń* czy *Rohatyń*, lecz *Delatyn*, *Husiatyn*, *Rohatyn* (więc w *Rohatynie*). I nie w *Jaremczach*, lecz w *Jaremczu*. Skąd się biorą te przedziwne zniekształcenia?

Mimo tych uwag – oba albumy przyjmujemy z uznaniem.

\* Siedzieli – to już historycy przyjęli za pewne – na obszarze między źródłami Bugu, Dniestru i Sanu. Okazuje się jednak, że pierwotna nazwa Zbaraża brzmiała *Zboręż*, potem zrutenizowana na *Zbariaż* i znowu spolonizowana na *Zbaraż*. O najdawniejszych mieszkańcach rejonu Czarnohory napomyka lingwista prof. Jan Janów...

 Rozrost przestrzenny i ludnościowy Lwowa, kiedy ten stał się stolicą porozbiorowej Galicji w ramach austriackiej, a potem austroęgierskiej monarchii, spowodował potrzebę budowy nowych kościołów. W dodatku jego pozycja stołeczna – szczególnie po nadaniu Galicji autonomii – wywołała wyraźne powiększenie się liczby zakonów (głównie nowo powstałych), które tu zaczęły napływać, wznosząc nowe klasztory i przyklasztorne zakłady edukacyjne i opiekuńcze.


Historię tamtego czasu – nie tylko zresztą w kwestii rozwoju budownictwa kościelnego – ilustruje doskonale świeżo wydany 12. tom *Materiałów do dziejów sztuki sakralnej – Kościoły i klasztory Lwowa z wieków XIX i XX*, pod redakcją naukową prof. **Jana K. Ostrowskiego** (wyd. Międzynarodowe Centrum Kultury, Kraków 2004). Tom nie obejmuje wszystkich świątyń, jakie powstały w dwóch minionych wiekach (ściślej w ciągu półtora wieku – do II wojny światowej), ponieważ niektóre były już omawiane we wcześniejszych tomach. Tu znalazły się 23 obiekty: kościoły, kaplice, klasztory, zakłady itd.

Wśród nich najważniejsze: z XIX w. Zakład ss. Sacre Coeur przy pl. św. Jura, kościoły i klasztory ss. Franciszkanek przy ul. Kurkowej (z zachowanym szczęśliwie grobem SB m. Marii Morawskiej – patrz CL 2/04) oraz ss. Karmelitanek Bosych przy Potockiego; z przełomu wieków najwspanialszy kościół św. Elżbiety, a z lat międzywojennych kościół MB Ostrobramskiej na Łyczakowie. W tomie znalazło się kilka kościołów na peryferiach Lwowa: na Kleparowie, Lewandówce, Zniesieniu, Persenkówce, w Krzywczycach. Pokazano kilka projektów kościołów niezbudowanych lub niewykończonych, a także całkowicie zniekształconych za czasów sowieckich.

Istotnym dodatkiem przy omawianiu obiektów z Ziemi Wschodnich są we wszystkich tomach informacje o przedmiotach

wyposażenia oraz archiwach, które zostały przez duchowieństwo uratowane w swoim czasie i obecnie znajdują się w różnych kościołach i klasztorach III RP. Straszliwie rozproszone, ale są!

W sumie materiał niezwykle bogaty i ciekawy.

 Zawsze oczekiwany „**Rocznik Lwowski**” przeżywa mały jubileusz, a nawet dwa: ukazał się **dziesiąty** tom, a równocześnie jest to **piętnasty** rok jego edycji. Były (zapewne z konieczności finansowej – dobrze to rozumiemy) cztery numery podwójne i dzięki temu szczęśliwie opóźnienia zostały nadrobione. W CL 4/04 omawialiśmy rocznik 2003, a teraz już mamy następny – za rok 2004. Za to chwała sponsorom (a ile się trzeba nabiegać i naprosić, to naczelny Redaktor **Janusz Wasylkowski** dobrze wie).

Tom ma jak zwykle 350 stron. Otwiera go dokument: *Kronika Katedry Lwowskiej* – część I, z lat 1925–27 (prawie 50 stron!). W następnym numerze ma być dalszy ciąg z lat 1932–37, będzie więc pięcioletnia luka. Nie można się dziwić, bo rękopis został uratowany przed zniszczeniem przez bolszewików z USSR w 1950 r. Ktoś go szczęśliwie przechował.

Potem całkiem inny temat: *O kabaretach i rewiach przedwojennego Lwowa*. Napisała Mariola Szydłowska, teatrolog, której książki o lwowskich teatrach swego czasu omawialiśmy. Wielkie uznanie, bo przecież nie tylko Kraków przed I wojną, a Warszawa w latach międzywojennych miały swoje „Zielone Baloniki”, „Momusy” czy „Quipro-quo”. Podobnie Lwów miał swoje dość liczne lokale i imprezy kabaretowe. A także świetnych artystów.

I jeszcze jeden niezwykle ważny temat: o konspiracyjnym wydziale prawa UJK w czasie II wojny. Wykłady odbywały się w prywatnych domach profesorów, w ich kancelariach adwokackich, w Ossolineum. A jakie nazwiska! Chłamtacz, Czekanowski, Czerny, Halban, Hartleb, Kuryłowicz, Makarewicz, Nanke, Przybyłowski i jeszcze kilkanaście innych – tak samo lub prawie tak samo sławnych.

W dziale poezji zwróciliśmy uwagę na wyjątkowo piękne wiersze dwóch autorów: Marcina Hałasia i Lesława Nowary. Nie znaleźliśmy tych nazwisk. Szkoda, że „RL” nie podaje notek biograficznych (za naszym przykładem!). Nie możemy się oprzeć, by jednego z wierszy nie zacytować – *Dom pod Samborem* L. Nowary (spodziewamy się, że ani Autor, ani Redakcja nie będą mieli nam tego za złe).



dom pod Samborem  
obok las  
malwy pod szyję w śniegu


w tym domu mama  
ma siedem lat  
wstążkę we włosach  
szkolne zeszyty

za oknem noc  
słysząc gdzieś psy  
śnieg pod butami gdzieś skrzyty

a mama w lampie  
podkręca knot  
i czyta andersena

już późno  
pora baśnie położyć spać  
księżyc za oknem zgasić

tej nocy przyjdzie  
podpalić dom  
dziewczynka z zapalkami

 W CL 4/04 zwracaliśmy uwagę (pisząc o książce o Mostach Wielkich) na ogromną lukę w naszej – nie tylko „szerokich mas”, ale i historyków – wiedzy o dziejach miast, miasteczek, a także co ważniejszych wsi w Małopolsce Wschodniej. I zapewne nie tylko na ziemiach wschodniomałopolskich – lecz w ogóle – na naszych ziemiach wschodnich II RP. Posiadanie pełnego zestawu poważnych opracowań o tych miejscowościach (a także regionach) staje się c o r a z w a ż n i e j s z e, ponieważ za wschodnią granicą mnożą się „odkrycia” tamtejszych *uczonych*, a stwierdzenia i interpretacje tam zawarte mogą (i na pewno będą) przesączać się do prac polskich *nowych* naukowców, całkiem już nie rozróżniających, co jest prawdą, a co jej nadinterpretacją.

Z radością przeto witamy monografię niewielkiego podolskiego miasteczka: **Łopatyn, dzieje i zabytki** (wyd. „Wspólnota Polska”, Warszawa 2004), napisaną przez **Tadeusza Kukiza**.


Łopatyn leży w powiecie radziechowskim, w północnej części wojew. tarnopolskiego. W publicznej pamięci wiąże się ze znajdującym się tam grobem z pięknym pomnikiem bohatera Powstania Listopadowego gen. Józefa Dwernickiego (1779–1857).

A przecież ma Łopatyn swoją historię – od czasów Kazimierza Wielkiego, ma też

jakąś prehistorię – może lędziańską (pole do badań). Także zabytki: piękny, XVIII-wieczny kościół z polichromią S. Stroińskiego (twórcy polichromii w kościele Bernardynów we Lwowie); był pałac, zniszczony w czasie I wojny. Na cmentarzu jest kwatery polskich żołnierzy poległych w 1920 r. Znany i czczony był też obraz MB Łopatynskiej (dziś w Wójcicach k. Nysy).

Książka dra T. Kukiza wzbogaca naszą wiedzę nie tylko o samym Łopatynie, ale w ogóle o ziemi wschodniomałopolskiej, tak ważnej dla dziejów i kultury całej Polski. W swojej doskonałej przedmowie prof. Ryszard Brykowski weryfikuje i podkreśla walory pracy autora, który nie będąc wszak profesjonalnym historykiem (lecz lekarzem!), stworzył opracowanie w pełni wartościowe pod względem dokumentacyjnym, i co więcej – jako dawny łopatynianin (czy tak się mówi, Panie Tadeuszu?) – poszerzył swoją książkę o relacje o dawnym życiu miasteczka, o jego mieszkańcach i wygnaniu.

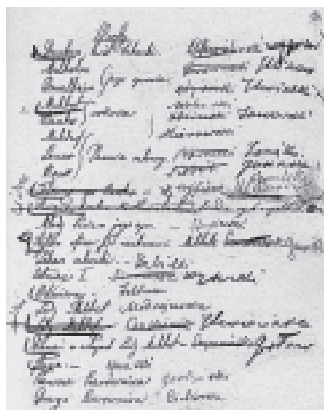
Po serii ważnych i ciekawych książek o *Madonnach Kresowych* – dr Kukiz rozpoczął nową serię. Czekamy na Radziechów!

 Ta przesyłka nadeszła właśnie wtedy, gdy przygotowywaliśmy do natępnego numeru artykuł P.M. Stańskiego o teatrach lwowskim i krakowskim. W paczce od Autorki znaleźliśmy dwa tomy najnowszej książki **Barbary Maresz** (dobrze znanej naszym Czytelnikom z omówień Jej wcześniejszych prac teatrologicznych): **Biblioteka Teatru Lwowskiego** (wyd. Biblioteka Śląska, Katowice 2004). Los tak chciał, więc to omówienie zamieszczamy również w niniejszym numerze, aby dać tym lepsze pojęcie Czytelnikom, czym był lwowski teatr, lwowskie zbiory – lwowska kultura w ogóle.

Wydawałoby się, że *Inwentarz kolekcji teatralnych (...)*, przechowywanych obecnie w Katowicach – bo tym jest w istocie wspomniana książka – nie może być dla zwykłego śmiertelnika lekturą do czytania, bo przecież przeznaczona jest dla potrzeb innych bibliotek, uczelni, instytucji czy zainteresowanych teatrologów.

A jednak nie całkiem! Z komentarza autorskiego można się dowiedzieć rzeczy, które poszerzają naszą ogólną wiedzę, a nawet wzbijają w dumę. Warto więc zacytować kilka fragmentów *Wstępu*.





Biblioteka Teatru Lwowskiego to największy zachowany w Polsce historyczny zbiór egzemplarzy teatralnych. Dokumentuje dzieje i repertuar sceny polskiej we Lwowie od końca XVIII wieku aż do sierpnia 1945 roku, czyli do momentu przyjazdu ze-

spółu lwowskiego do Katowic. [...]

W przypisie czytamy: *Zachowało się ponad 6000 lwowskich egzemplarzy teatralnych, z czego w Bibliotece Śląskiej 5403 jednostki (w tym 3827 rękopisów i 1576 druków), ponad 600 w Bibliotece Zakładu Narodowego im. Ossolińskich we Wrocławiu [...], pojedyncze w Archiwum Historycznym we Lwowie, w Archiwum Artystycznym i Bibliotece Teatru J. Słowackiego w Krakowie oraz w Bibliotece Narodowej w Warszawie.*

[...] *Biblioteka Teatru Lwowskiego to także największy zachowany w Polsce historyczny zespół tekstów dramatycznych, muzyczno-dramatycznych oraz librett operowych i operetkowych. Wiele tekstów nigdy nie doczekało się druku, niektóre (zwłaszcza te z I połowy XIX wieku) zachowały się tylko w postaci lwowskich egzemplarzy teatralnych i są czasami jedynym świadectwem ówczesnej literatury dramatycznej, zarówno tej oryginalnej, jak i przerabianej, „lokalizowanej i przystosowywanej”, czy po prostu tłumaczonej z innych języków.*


Ze względu na swój zabytkowy charakter oraz potrzebę fachowego opracowania, zabezpieczenia, a przede wszystkim udostępniania Biblioteka Teatru Lwowskiego w 1978 r. została przekazana przez Teatr Śląski im. S. Wyspiańskiego do największej naukowej księżnicy regionu – Biblioteki Śląskiej w Katowicach. Obecnie lwowskie egzemplarze teatralne przechowywane i udostępniane są w zbiorach specjalnych Biblioteki Śląskiej, gdzie należą do najcenniejszych materiałów.

*Znaczenie i wartość Biblioteki Teatru Lwowskiego, zwłaszcza wobec zniszczeń wojennych innych zbiorów teatralnych, trudno dziś przecenić. Zbiór jest systematycznie opracowywany i badany (poświęcono mu*

*kilka artykułów i prac magisterskich [...]). Mimo to zdarza się, że historycy literatury, a nawet historycy teatru zapominają o istnieniu tego największego zespołu tekstów dramatycznych, a nawet formułują fałszywe twierdzenia o rzekomej zagładzie lwowskiej biblioteki teatralnej. [...]*

Dalej poznajemy historię lwowskich teatrów bibliotecznych na tle dziejów teatru we Lwowie od lat 80. XVIII wieku. Padają największe polskie nazwiska: Truskolaskich, Bogusławskiego, Kamińskiego, Pawlikowskiego, Hellera... Szczegółowo opisano koleje losów zbioru – szczęśliwie zachowanego w czasie II wojny – od momentu przyjazdu lwowskiego zespołu teatralnego na dworzec w Katowicach 26 sierpnia 1945 – do dnia dzisiejszego.

Wypada podziękować Pani Barbarze za tę książkę, za wcześniejsze i za dalsze tomy, które dopiero powstają. Wielka dla nas otucha, że ta część *leopolitanów* przetrwała i trafiła w dobre ręce!

 **Nazwisko o. Hieronima Warachima**, lwowskiego franciszkanina-kapucyna, znamy nie od dziś, pisaliśmy o nim nieraz, omawialiśmy jego dawniejszą książkę o Słudze Bożym Serafinie Kaszubie (CL 2/03). Teraz nadeszła najnowsza jego książka pt. **Kapucyńska odysėja przez Podole i Wołyń** (Wydawnictwo Ośrodek „Wołanie z Wołynia”, Biały Dunajec–Ostróg 2004), która łączyła do coraz bogatszej biblioteki WzW (jest to tom 33), stworzonej przez ks. W.J. Kowalowa, działającego w Ostrogu na Wołyniu. Książka jest bogato ilustrowana zdjęciami.

O. Hieronim (Karol), rodem z podlwojskiego Hołoska Małego, ma dziś lat 87 i wywodzi się – jak pisze – z rodziny polskich Ormian. Jego dziadek miał konie, które pracowały *na obrok* ciągnąc ulicą Gródecką tramwaj przed jego elektryfikacją (a więc przed 1894 rokiem). Autor jest w ogóle chodzącą kroniką dawnego Lwowa, pamiętanego dziś przez najstarszych, a nam – znanego z opowiadań i literatury.

Sędziwy o. Warachim, osiadły dziś w klasztorze w Sędziszowie Małopolskim, wybrał się z dwoma młodymi braćmi zakonnymi w podróż samochodem po ścieżkach młodości, odwiedzając miejsca ważne dla kapucyńskiej wspólnoty. Jego opowieść ma


szczególne walory – poza tym, że jest niezwykle serdecznie i *po polsku* z ducha napisana – przynosi nam ogromny zasób wiadomości mało nam znanych: o ludziach, miejscach, wydarzeniach. Ważne są refleksje związane z własnymi wspomnieniami, ale także ogólniejsze, przywołujące historię czasów przedrozbiorowych, okresu zaborów, lat międzywojennych i, co ważne, czasu II wojny. Autor wcale nie ukrywa tragicznego losu Polaków w tamtych latach, choć jako duchowny patrzy na to z dystansem, jednak nie posuwa się za daleko w kwestiach „pojednania za każdą cenę”. Obce mu jest nieznośne podejście do spraw polsko-ukraińskich, jakie reprezentował dzisiejszy dostojnik też z kapucyńskim rodowodem, który po paru latach działania we Lwowie odszedł daleko z pożytkiem dla siebie i rzymskokatolickiej społeczności Polaków.

Książka o. H. Warachima składa się z czterech *Pieśni*. Pierwsza to Lwów – własny, kapucyński, polski. Dużo miejsca poświęca klasztorowi i kościołowi Kapucynów na Zamarstynowie, o którym niedawno pisał w CL (4/03) J. Tysson. Wnuk twórcy opowiadał o stronie zewnętrznej, architektonicznej, a o Hieronima interesuje strona wewnętrzna, duchowa. To dobre zestawienie.

Dalej w *Pieśni I* oraz *II* pisze autor o ważnych miejscowościach na północnym Podolu i Wołyniu. Interesują go głównie pamiątki kapucyńskie, ale ileż tam kapitalnych spostrzeżeń ogólnych i refleksji!

*Pieśni III* i *IV* dotyczą dzisiejszych czasów i powrotu Kościoła rzymskokatolickiego – w tym kapucynów – na ziemię wschodnie, bliższe i dalsze. Tu znowu mnóstwo informacji, których z innych źródeł nie nabywamy.

Z całym przekonaniem można powiedzieć, że książka o. Warachima jest wyjątkowo interesującą i doskonale skomponowaną opowieścią o czasach dawniejszych i dzisiejszych. Dziękujemy, Ojczcie Hieronimie!

 Dobrze znany naszym Czytelnikom p. **Mariusz Olbromski** z Przemysła wydał kolejny zbiór swoich pięknych wierszy o Lwowie: ***Poemat jednej nocy*** (wyd. Regionalny Ośrodek Kultury, Edukacji i Nauki w Przemysłu, 2004). Tomik jest szczególnie starannie wydany, jego okładka i ilustracje są

dziełem Krystyny Grzegockiej, też doskonale nam znanej lwowskiej artystki malarki, która obecnie kontynuuje swoje podyplomowe studia na krakowskiej ASP. Od niej też książeczkę otrzymaliśmy, za co bardzo dziękujemy.

Tomik zawiera 28 wierszy (w tym siedem składa się na *Poemat jednej nocy*, dając zarazem tytuł całemu zbiorowi). Wszystkie wiersze zebrane w tomiku to rozmyślania i refleksje budzące się pod wpływem postrzeganych obrazów i nasłuchiwanego dźwięków, a jednych i drugich dosłownie i w przenośni. Autor przywołuje widziane naprawdę lub oczyma duszy budowle, wnętrze, detale, postacie, światła, wiąże je z historią, Ewangelią czy mitami. A wszystko to jest uświadomianym przezeń Lwowem, który przeżywa niemal religijnie.

Warto to polecić tym Czytelnikom, dla których wyobraźnia i poczucie piękna mają znaczenie. Będzie to dla nich prawdziwa uczta duchowa.


\* \* \*

Jeden z wierszy Olbromskiego nosi tytuł *Homagium Leopoli*, a z koncertem o tym tytule wiąże się jako owoc doznanych przeżyć muzycznych i duchowych. Autor wyjaśnia w przypisie, że koncert taki odbył się we Lwowie 15 września 1996, a składał się z utworów 15 kompozytorów zadedykowanych przez nich rodzinnemu miastu. Tu musimy dać sprostowanie i wyjaśniające uzupełnienie.

Koncert *Homagium Leopoli* stanowił zakończenie Roku Lwowskiego 1994 w Krakowie\*, zorganizowanego w setną rocznicę lwowskiej Wystawy Krajowej w 1894 r. Odbył się w sali Filharmonii Krakowskiej ponad 10 lat temu – 24 listopada 1994, a złożyły się nań utwory siedmiu (a nie 15) żyjących kompozytorów polskich, urodzonych we Lwowie. Inicjatorem i autorem tytułu był Andrzej Chlipalski, strona muzyczna leżała w rękach Stanisława Gałońskiego i jego Capellae Cracoviensis.

Koncert został powtórzony w Katedrze Lwowskiej w 1996 r., ale nie w całości (nie pamiętam, co i dlaczego pominięto).

\* Patrz relacja z Roku Lwowskiego 1994 w CL 1/95 oraz przypomnienie w 10. rocznicę w CL 4/04.

 Doskonałą robotę wykonał pan **Stanisław M. Żyromski** rodem z Monasterzysk, dziś zamieszkały w Warszawie. Robota w dodatku graniczy z bohaterским samozaparciem, ponieważ książka, którą opracował, zawiera 435 biogramów z okresu prawie 400 lat (jednak w większości 150 lat), nałożonych na historię Polski, regionu i rodzinnego miasteczka, rozproszonych dziś po dziesiątkach miejscowości dzisiejszej Polski, a także innych krajów i kontynentów świata. Dodajmy, że wykonując ową pracę, autor nie mógł mieć w perspektywie zysków – odwrotnie – niekończące się wydatki, na czele z wydaniem własnym sumptem. Książka, o której mowa, to **Historia jednej krewsowej rodziny**, z wyjaśniającym podtytułem: *Rodowód Żyromskich przydomek Chwalibóg na tle dziejów miasta Monasterzyska* (Warszawa, Wrocław 2004).

Jak pisze autor, nazwisko Żyromski pojawia się w Polsce w XVII wieku – na Litwie i Wołyniu. Rozważa dwie odmiany – *Żeromski* i *Żyromski*, oddając prymat tej pierwszej i łącząc ją z miejscowością Żeromin w Pułtuskiem\*. Ale bezpośredni przodek podolskich Żyromskich – idąc jakoby z Sobieskim na odsiecz Trembowli, pozostał w tamtych stronach i tam założył rodzinę. Od tego czasu Żyromscy aż do połowy XX wieku żyli w Monasterzyskach. Autor zamieścił plan miasta, na którym zlokalizował 23 domy obywateli o tym nazwisku.

Po II wojnie Żyromscy rozproszyli się, w rodzinnym miasteczku nie pozostał nikt. Osiedli po całej nowej Polsce i po świecie. I do tego mamy ilustrację: mapkę RP z podaniem liczby Żyromskich w poszczególnych województwach: we wrocławskim jest ich 53, gdańskim 25, gorzowskim 18, krakowskim 15 itd., razem 166 osób (a Żeromskich 516!). Ponadto: w USA, Kanadzie, Francji...


Dalej mnóstwo innych informacji o rodzinie i jej członkach, a na końcu zamieścił autor 10 tablic genealogicznych współczesnych członków rodziny – czy raczej rodzin o tym nazwisku, a także z rodzin spokrewnionych (mężowie, żony).

I jak tu nie pochwalić autora i jego współpracowników? Rodzina zyskała piękny informator o swoich przodkach, krewnych i powinowatych – dla siebie i potomnych, polska historiografia jeszcze jedno źródło,

a my – wzbogacenie naszego Archiwum Wschodnich Małopolan. Biermy przykład z Żyromskich!

---

\* Tu można by zapytać, czy te nazwiska nie mają jakiegos związku z francuskim imieniem Jérôme (czyt. *żerom* – po polsku Hieronim)?

 Z wielkim uznaniem trzeba się odnieść do działalności Klubu „Podole” (przy TMLIKPW) w Warszawie, który obok edycji kolejnych numerów swojego czasopisma „Głosy Podolan” wydaje *Zeszyty specjalne*. Dwa z nich, poświęcone Skalutowi, omawialiśmy w CL 2/01 i 3/03, a obecnie przyszła kolej na **Terroryzm na Podolu**, napisany przez **Władysława Kubow**a, wydany w 2003 r. pod redakcją pani Ireny Kotowicz, prezeski Klubu „Podole” i głównej animatorki wszystkich jego przedsięwzięć. Przedmowę do książeczki napisał o. Mieczysław Albert Krapiec, em. profesor i b. rektor KUL.


Książka W. Kubow a omawia zbrodnie ludobójstwa w Tarnopolskiem, przechodząc kolejno wszystkie 17 powiatów, a w nich miejscowości, w których miały miejsce rzezie na ludności polskiej, dokonywane przez OUN-UPA. Autor podaje nazwiska mordowanych osób i całych rodzin. Przytacza przykłady niezwykłego okrucierstwa fizycznego i szczególnej patologii moralnej Ukraińców na wsiach podolskich, która doprowadzała do zabijania własnych żon Polek, rodziców i dzieci o mieszananej krwi. Są to sprawy już znane, jednak każdą kolejną publikację dokumentującą bezmiar ukraińskich zbrodni trzeba uznać za zjawisko pożyteczne i ważne.

Opis zbrodni w powiatach poprzedzają rozdziały wprowadzające wielostronnie w problematykę stosunków polsko-ukraińskich w tamtych stronach. Po omówieniu tła historyczno-geograficznego autor wyjaśnia sytuację etniczną\*, charakteryzuje obie społeczności, a dalej tryb narastania ukraińskiego terroryzmu, przedstawia czołowych przywódców.

---

\* Na s.12 autor podaje udział procentowy obu głównych narodowości w wojew. tarnopolskim w r. 1900: Rusinów 58,7%, Polaków 23,3% (wedle jakiego kryterium?) Tymczasem wedle języka uznanego za ojczysty, w r. 1931 udział przedstawiał się zgoła inaczej: polski 49,3%, ukraiński/ruski 45,6%, żydowski, niemiecki


i in. 5,1% (patrz Mały Rocznik Statystyczny 1939 r., przedruk w CL 1/04).

 **Moje miasteczko Brzozdowce** to tytuł książeczki opracowanej przez **ks. Rafała Brzuchańskiego**, obecnego proboszcza w Żydaczowie (rodem z Bielska-Białej) – który pełni zarazem swoją duszpasterską posługę w kościele brzozdowieckim i w kaplicy w Żurawnie – a opartej na historii tamtejszej parafii, spisanej w latach powojennych przez ekspatrianta z Brzozdowiec, **Jana Burlikowskiego** w Brzesku (Wydawnictwo „Czuwajmy”, Kraków 2003).

Małe miasteczko Brzozdowce leży niedaleko Lwowa: między Mikołajowem (gdzie przekraczamy Dniestr, jadąc szosą w kierunku Stryja i Drohobycza) a Chodorowem i Żydaczowem. Hasło *Brzozdowce* zamieścimy niebawem w naszym *Słowniku*.

W książeczce zawarte są dzieje miejscowości i tamtejszej parafii. Szeroko omówiono życie religijne w czasach przedwojennych, wyjazd ekspatriowanych mieszkańców w 1945 r., a także odnowę po czasach sowieckich parafii i zdewastowanego kościoła. Ważną częścią opracowania jest zestawienie nazwisk polskich rodzin w Brzozdowcach (gdzie Polacy stanowili większość) oraz pobliskiej wsi Hranki-Kuty.

W książeczce jest sporo ilustracji – fotografie dawne i nowe, a także rysunki Sławomira Wygody, przedstawiające ważne wydarzenia starych i nowych dziejów miasteczka. Jeden z nich reprodukowujemy.

 I jeszcze o Podolu. Pan **Tadeusz Hussak** – zamieszkały w Warszawie, ale urodzony w Zadnieszówce pod samymi Podwołoczyskami, granicznym miasteczku nad Zbruczem – przysłał nam swoją nowo wydaną książkę **Podole. Młodość i nostalgia** (Warszawa 2004).

Autor jest synem pracownika Policji Państwowej, który w 1925 r. został skierowany do służby w Bogdanówce, też niedaleko


Podwołoczysk. Zwróćmy uwagę, że ostatnio w naszym kwartalniku pojawiła się tematyka Policji: omawialiśmy książkę Z. Nowaka o Mostach Wielkich ze znaną Szkołą Policyjną, był też artykuł K. Balickiej o zagładzie polskiej Policji na samym wstępie II wojny światowej (oba w CL 4/04).

Hussak opisuje swoją rodzinę i dom, miejscowość i jej okolice, szkołę i stację kolejową – to była przecież ważna stacja na granicy z Rosją, potem z ZSRR. Pisze o Tarnopolu, gdzie ukończył gimnazjum. Także o stosunkach narodowościowych i religijnych.

Potem krótko o wydarzeniach wojennych, ekspatriacji. Druga część książki to serdeczna refleksja nad utraconą małą ojczyzną, jej historią i pięknem. Autor jest członkiem Klubu Podole (w ramach TMLiKPW) w Warszawie. Pisze o takich, jak on, podolskich patriotach, o książkach i czasopismach przez nich wydawanych i o podróżach w ojczyste strony.

Tadeusz Hussak jest znakomicie czytany i zorientowany w problematyce naszych utraconych Ziemi Wschodnich, toteż pisze o nich z pełną świadomością, a jego refleksje dają wiele do myślenia, także czytelnikowi nie w pełni wprowadzonemu w owe nieproste sprawy. Podaje ogromną ilość informacji, a nawet ciekawostek, które czyta się z największym zainteresowaniem. Polecamy więc jego wspomnienia nie tylko Podolanom.

Kontakt telefoniczny z autorem w sprawie ewent. zakupu książki: (0-22) 840-09-77.

 Warszawski autor przewodników turystycznych i pilot wycieczek zagranicznych (zarazem doktor inżynier) **Tadeusz Jędrysiak**, ulegając reklamom (jak pisze), wybrał się na rozpoznanie do całkiem sobie nieznanego kurortu w *Ukrainie Zachodniej* – czyli do Truskawca, a potem napisał informator pt. **Truskawiec, perła zdrojowisk Ukrainy** – sic! (wydawnictwo nieznanne, Warszawa 2003). Wszystko, co podaje o samym Truskawcu, jest ciekawe, ale...

Autor pisze, że – wedle jego zawodowego doświadczenia – *turysta i kuracjusz polski również jest zainteresowany poznaniem odwiedzanego kraju i wymaga dobrych, rzetelnych i fachowych wiadomości*. Autor informuje więc – poza wiadomościami



Brzozdowce 1944. Polacy chronią się w kościele z obawy przed pogromami UPA




mi o uzdrowisku, o jego wodach mineralnych i ich walorach leczniczych, o klimacie i okolicach uzdrowiska – także o Lwowie i innych miastach, o Karpatach Wschodnich (które nazywa niesłusznie ukraińskimi), o wybitnych Polakach z tamtych stron się wywodzących.

... ale wszystko to pograża w ukraińskości, a przecież ani sama miejscowość i jej historia, ani źródł i jego dzieje niewiele mają wspólnego z Ukrainą. Narzucanie przeto Bogu ducha winnemu przybyszowi związków Truskawca z Kijowem, Charkowem, Donieckiem czy Dnieprodzierżyńskiem jest nieporozumieniem i nadużyciem. Kompetentny przewodnik powinien wyczuwać, że tu potrzebny jest inny typ informacji, niż gdy wyjeżdża się do Francji, Grecji czy Norwegii.

A z rzeczy drobnych: autorowi wytłumaczono, że nazwa Truskawca wywodzi się z ruskiego imienia... Trofim. Dość to skomplikowany wywód, ale autorowi, jako warszawiakowi, należałoby przypomnieć, iż całkiem blisko Warszawy leży Truskaw. Czy ten też ma ruskie korzenie? Radzilibyśmy ostrożność w korzystaniu z tamtejszych *naukowych źródeł*.

Jerzy Kotermał z Drohobycza był Polakiem, nie dziwota więc, że dobrze znał polski język. Za to podobno wcale nie znał ruskiego. Ale szczytem wszystkiego jest informacja, że dwie rzeki wschodniomałopolskie, Stryj i Tyśmienica, należą do dorzecza... Dniepru. Szczęściem Sambor stał się nad Dniestrem.

Nie jesteśmy pewni, czy naszym turystom i kuracjom takie przewodniki są potrzebne.

 We współpracy dwóch muzeów etnograficznych – w Toruniu i we Lwowie, ukazała się książeczka pt. **Zapomniane skarby. Stroje ludowe Polski i Ukrainy w rysunkach J. Głogowskiego i K.W. Kielisińskiego** (Lwów, Toruń 2002). Jest to w istocie informator wystawy, która miała miejsce zapewne w 2002 r. w Toruniu. Autorami tekstów w książeczce są **Aleksander Błachowski** z Torunia (zarazem inicjator przedsięwzięcia) oraz **Ludmiła Bułhakowa** (Ukrainka). W książeczce znalazło się ponad 100 obrazków (ile ich było na wystawie – nie wiemy), pochodzących z naszych zbiorów po-



zostałych we Lwowie, a także z różnych muzeów w RP.

Na obrazkach widzimy trzy zespoły strojów ludowych. Pierwszy, to stroje polskie z różnych regionów środkowej i zachodniej części kraju (Małopolska zachodnia i środkowa, Wielkopolska, Śląsk, Mazowsze i Warszawa), w tym z Ziemi Przemyskiej, przedzielonej sztucznie przed 60 laty jałtańską




granicą. Drugi zespół, to kostiumy ruskie z Tarnopolszczyzny i wschodniego Podkarpacia. Wreszcie trzeci, dla nas najciekawszy, to polskie stroje z Małopolski Wschodniej, poczynając od folkloru lwowskich przedmieść, poprzez okolice Lwowa (Jaworów, Żółkiew, Janów, Kulików, Żółkiew), po Tarnopolskie.




1. Mieszczanka lwowska 2. Mieszczanin lwowski w sukmanie 3. Dziewczyna z Janowa 4. Krukiarka lwowska 5. Wieśniak z Żółkiewskiego 6. Wieśniak z okolic Jazłowa



 Niezwykle ciekawe i ważne przedsięwzięcie podjął Zarząd Solidarności Polskich Kombatantów w Gdańsku, wydając broszurkę pt. **Oni walczyli o Polskę, Ukrainę... i Europę** (Gdańsk 2001), opracowaną przez **Władysława Dobrowolskiego**.

Książeczka – poświęcona żołnierzom WP, harcerzom ZHP i ZHR, działaczom społecznym oraz nauczycielom, wychowawcom i działaczom polonijnym – przedstawia chwalebne przykłady *morale* polskich żołnierzy w pierwszej wojnie światowej – II Karpackiej Brygady Legionów – oraz postawy żołnierzy polskich w walkach z bolszewikami w 1920 r. Czytelnik może się więc dowiedzieć również o Legionie Wschodnim z 1914 r., o Sokolich Drużynach Polowych, o bitwach pod Mołotkowem, Rafajłową, Zieloną... A dalej o granicy na Zbruczu, o bitwach z armią Budionnego, a wreszcie o Zadwórzcu – polskich Termopilach.

Tylko – czy książeczka ta dotarła do wielu adresatów?

 Coraz trudniej nam zakupywać książki, bo rozdźwięk między rosnącymi cenami a możliwościami kieszeni staje się coraz dotkliwszy. Powstaje błędne koło: książki są drogie, więc nabywców mało – w konsekwencji nakłady maleją, więc ceny tym bardziej rosną. Dokąd to prowadzi?

Nie wiemy, więc pozostaje nam zwiędzanie księgarni i korzystanie z informacji w gazetach i czasopismach. Właśnie otrzymaliśmy z Rady Ochrony Pamięci WiM nowy – jak zwykle ciekawy – numer ich Biuletynu „Przeszłość i Pamięć” (nr 30–31, 2004 r.) i stamtąd zaczerpnęliśmy wiadomości o wydawnictwach dotyczących Małopolski Wschodniej (wszystkie wyszły dzięki pomocy finansowej ROPWiM).

● **Tomasz Balbus, O Polskę Wolną i Niezawisłą 1945–1948** (wyd. Instytut Pamięci Narodowej i WTN „Societas Vistulana”, Kraków–Wrocław 2004). Omówiono m.in. strukturę oraz działalność AK Okręgów Lwowskiego i Tarnopolskiego.

● **Aneta Chmielewska-Szymańska, General brygady Stanisław Sosabowski 1892–1967. Życie i działalność** (Wydawnictwo Instytutu im. gen. Stefana Grotta-Roweckiego, Leszno 2004). Przypomnijmy, że S. Sosabowski pochodził ze Stanisławowa.

● **Henryk Komański i Szczepan Siekierka, Ludobójstwo dokonane przez nacjonalistów ukraińskich na Polakach w województwie tarnopolskim 1939–1946** (Wydawnictwo „Nortom”, Wrocław 2004). Praca liczy 1182 strony. To już drugi tak obszerny dokument po dziele W. i E. Siemaszków na analogiczny temat – z obszaru Wołynia.

● **Przemysław Waingertner, Żelazna Karpacka. II Brygada Legionów Polskich w fotografii** (wyd. „Ibidem”, Łódź 2003). Zbiór wybranych 244 fotografii pochodzi z prywatnego archiwum legionisty. Z notki w Biuletynie dowiadujemy się przy okazji, że monografia II Brygady autorstwa Stanisława Czerepa ukazała się w 1991 r. Bliższych danych o niej nie znamy.

## Z górnej półki

### „ZESZYTY LWOWSKIE” Z LONDYNU

Dopiero niedawno wpadł nam w ręce numer 3. londyńskich „Zeszytów Lwowskich” z 1972 r. Szkoda, że tylko ten jeden; w dodatku nie wiemy, ile ich wyszło łącznie. Ten, który mamy, zawiera trzy pozycje autorstwa Stefana Legeżyńskiego (zmarłego w roku 1976): *Pióra lwowskie 1918–1968*; *Lwów – ognisko kultury* oraz *Między Lwowem a Londynem* (22 wiersze).

Szczególnie wartościowym opracowaniem jest pierwsza z zamieszczonych pozycji. Oprócz nazwisk i krótkich notek biograficznych twórców ogólnie znanych – znalazło się tu sporo takich, które nieobce są tylko zainteresowanym leopolitanami, niemają też całkiem nam nieznanymi, bo ujawnionymi na emigracji (co nie znaczy, że nieznanymi Polakom londyńskim).

Opracowanie obejmuje w zasadzie literatów, ale także piszących ludzi nauki i publicystów – których wydane prace liczą się historycznie i literacko. Wszystkich ich łączy tematyka lwowska w różnych formach publikowana: w druku, na scenie teatralnej, w radiu i telewizji itd.

W Zeszycie znalazło się około 120 nazwisk znanych autorów. Zeszyt ten jednak

trafił zapewne przed 30 laty w ręce dra Tadeusza Krzyżewskiego (to On ofiarował nam tę wartościową pozycję), który między hałsłami i na marginesach dopisał co najmniej drugie tyle nazwisk!

Rzecz prosi się oczywiście o ponowne, rozszerzone i pogłębione opracowanie. Czy nie jest to ważny temat dla Instytutu Polskiego Dziedzictwa Historii i Kultury Kresów Wschodnich, o którego powstanie zabiegamy? Dodajmy wszak dziesiątki nazwisk twórców wileńskich, wołyńskich, z Grodzieńszczyzny i reszty ziem wschodnich, a także tych, którym przyszło żyć na ziemiach ukraińskich, w Rosji czy jeszcze dalej. I dodajmy do tego autorów, których twórczość literacka, publicystyczna, naukowa, ujawniła się przez następną jedną trzecią wieku (bo Legeżyński doprowadził swoje opracowanie do roku 1968). Zabrakło tam wszak – co zrozumiałe – Herberta i Zagajewskiego, Mańkowskiego, Kurzowej, Wasylkowskiego, Kołtuna, Miłosza, Prusa... (wyliczamy na chybił-trafił, bez wartościowania).

## **ŻYCIE LITERACKIE W OKUPOWANYM LWOWIE**

Z omawianym wyżej opracowaniem koresponduje książka (też z górnej półki) dotycząca jedynie pewnego wrywka tematu, problematyki i czasu, ale zapewne nie do pogardzenia przez przyszłego autora słownika twórców słowa pisanego, związanych z tematyką Ziemi Wschodnich. Oto w roku 1988 ukazała się w krakowskim Wydawnictwie Literackim 2-tomowa praca (łącznie ponad 600 stron) Stanisława Sierotwińskiego pt. *Kronika życia literackiego w Polsce pod okupacją hitlerowską w latach 1939–1945*. Omówiono tam miesiąc po miesiącu różnego rodzaju wydarzenia: wydawnictwa książek i czasopism (oficjalnych i konspiracyjnych), informacje o literatach, spotkania, aresztowania, śmierci itd.

Jednak wydawcy – uznając, iż praca Sierotwińskiego, krakowskiego polonisty i historyka literatury, po wojnie profesora WSP, stanowi cenną dokumentację tego najtrudniejszego okresu dla polskiej kultury XX w. – zarzucili autorowi, że [...] według opinii recenzentów, zasób informacji dotyczących

wydarzeń spoza terenu o *okupacji hitlerowskiej w Polsce okazał się niepełny, dość przypadkowy i niekonsekwentnie opracowany. Kronika nie spełniała należycie swego głównego zadania, jakim było przedstawienie życia literackiego w Polsce pod okupacją hitlerowską w latach 1939–1945. [...] Szczególnie niepełne są informacje z terenów wschodnich II Rzeczypospolitej.*

O Lwowie i Małopolsce Wschodniej rzeczywiście w książce nie za wiele, ale i to, co się tam znalazło, zasługuje na uwagę, bo mało o tym wiemy. W omówieniu września '39 czytamy m.in.:

*Kapitulacja Lwowa po dziewięciu dniach rozpaczliwej obrony. Moment ten opisał nieujawniony poeta w wierszu „Kapitulacja”, umieszczonym w antologii „Śpiew wojny”:*

*Do Lwowa wkroczyła Armia Radziecka. Tamtejsze środowisko powiększyło się przez przybycie wielu pisarzy z Warszawy i innych miast polskich w czasie wojennej wędrówki. [...] Ale ani słowem nie wspomniał autor o ich działalności i nie wymienił nazwisk przybyłych literatów-kolaborantów, typu S.J. Leca. Niektórzy z nich później się zrehabilitowali (A. Wat).*

Czerwiec '41:

*Zajęcie Lwowa przez Niemców. Oznaczało to nowe zmiany w układzie polskich środowisk literackich. Dotychczas pisarze, którzy znaleźli się w r. 1939 we Lwowie, grupowali się wokół czasopisma literacko-społecznego „Nowe Widnokregi”, redagowanego przez T. Boya-Żeleńskiego, J. Przybosią i W. Wasilewską [!]. Wydawano tam też „Almanach Literacki”, a do komitetu redakcyjnego należeli Elżbieta Szemplińska-Sobolewska, Jan Brzoza, Aleksander Desniak, Stanisław Jerzy Lec i Jerzy Putrament. Z przebywających w środowisku lwowskim po kampanii wrześniowej można ponadto wymienić: W. Broniewskiego, H. Górską, M. Jastrunę, J. Kotta, L. Pasternaka, T. Peipera, A. Polewkę, A. Rudnickiego, A. Sterna, J. Strykowskiego, L. Szenwaldę, H. Voglerę, S. Wasylewskiego, A. Wata, A. Ważyka, B. Winawera i wielu innych, zwłaszcza mniej znanych. Teraz ich drogi będą się rozchodzić. Jedni dostali się do Związku Radzieckiego, inni znalazłszy się pod okupacją niemiecką opuścili Lwów i zasilili środowiska krajowe [co to znaczy krajowe? – przyp. red.], jeśli ocaleli w pierwszym okresie hitle-*

rowskich represji (np. T. Hollender, J. Kott, A. Polewka, J. Przyboś). We Lwowie w podziemnym życiu literackim rozpoczną działalność poloniści, byli wykładowcy i studenci uniwersytetu, pisarze dawniejsi, poeci rekrutujący się z młodzieży akademickiej, debiutanci. Będą ukazywały się tajne wydawnictwa, odbywały się konspiracyjne przedstawienia teatralne, wykłady, prelekcje, rozmaite imprezy, spotkania literackie w domach prywatnych, nawiążą się również kontakty z innymi ośrodkami pod okupacją, głównie z warszawskim.

W czerwcu po wkroczeniu Niemców do Lwowa samobójstwo popełnił poeta, historyk i krytyk literacki Henryk Balk, w czasie ewakuacji Lwowa zginął prof. Stefan Rudniański, filozof, popularyzator nauki i techniki pracy umysłowej. [...]

Podobnych notatek jest w sumie sporo. Ale jest też kuriozalna krótka informacja z lipca '44: *Wieczorem oddziały polskie przekroczyły Bug i znalazły się na ziemi ojczystej* [!]. Cóż, autor nie żyje, więc trudno mu wypomnieć tak niemądry i nietaktowny zapis.

## Wertując wydawnictwa

➔ W książce poświęconej życiu i duchowości **bl. Franciszki Siedliskiej**, założycielce Zgromadzenia Sióstr Nazaretanek, napisanej przez s. Noelę Wojtatowicz CFSN pt. *Fortepian Pana Boga* znalazło się kilka odniesień lwowskich.

W kościele w Żdziarach, rodzinnej miejscowości Siedliskiej, znajduje się obraz Madonny z Dzieciątkiem, malowany we Lwowie w czasie, gdy król Jan Kazimierz składał swoje Śluby w Katedrze Lwowskiej. Stał się on obozowym obrazem orszaku królewskiego, a Król, idąc z Kujaw aż pod Nowe Miasto, zatrzymał się podobno z wojskiem w Żdziarach. W świątyni na Górze św. Jana pozostawił obraz „Królowej Pokoju” oraz wieczną lampkę inkrustowaną królewskimi inicjałami. Te pamiątki zostały w r. 1850 przeniesione z ruin starego kościoła do nowej świątyni.

Matka Franciszka Siedliska pisała, że ... *mają swój dom we Lwowie przy ul. Unii Lubelskiej, a liceum z internatem pełne po brzegi, nie mówiąc o freblówce* [przedszkolu].

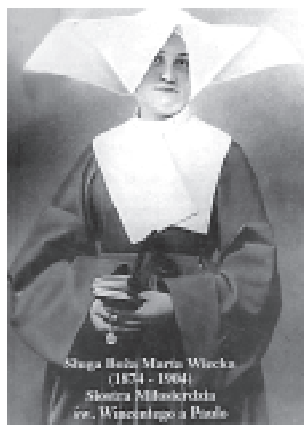
W książce umieszczono zdjęcie pochodzące z 1892 roku, przedstawiające lwowski dom Sióstr przy ul. Lubelskiej, wykonane od strony ogrodu, oraz fotografię z wycieczki uczennic gimnazjum lwowskiego na lotnisku. (MW)

➔ Ile jeszcze tajemnic kryją cmentarze naszych wschodnich miasteczek? Jedną

z nich jest grób z 1904 r. w Śniatynie – siostry **szarytki Marty Marii Wiackiej**. Jej kult trwa już sto lat. Choć przetoczyły się przez tę ziemię wojny, zmienił się skład ludności i granice państw, wciąż na grób Siostry – opiekunki chorych – przychodzą ludzie ze świeczkami i kwiatami. Książkę na jej temat napisała s. Anna Brzęk: *Oddać życie. Marta Maria Wiacka. Siostra Miłosierdzia* (wyd. Zgromadzenie Sióstr Miłosierdzia, Kraków 2000).

Marta Maria urodziła się w 1874 r. w polskiej rodzinie szlacheckiej w Prusach Wschodnich, niedaleko Pelplina. W 1892 r. została przyjęta do Zgromadzenia ss. Miłosierdzia w Krakowie przy ul. Warszawskiej. Pracowała jako pielęgniarka w szpitalach we Lwowie, Podhajcach, Bochni i Śniatynie. Miała wyjątkowy dar nawracania grzeszników, potrafiła wskazywać im drogę do Boga. Umarła zarażona od chorego tyfusem plamistym. Jej śmierć była heroicznym aktem miłości bliźniego. Oddała życie za ojca rodziny. Jej pogrzeb był manifestacją wdzięczności społeczności Śniatyna. Modlono się za nią nawet w bożnicy.

Siostry Szarytki przez kilka dziesiątków lat nie miały kontaktu ze Śniatynem, odciętym od macierzy powojenną granicą. Dopiero w 1990 r. przyjechały tam dwie siostry Szarytki i dwóch księży



Siostra Maria Wiacka (1874 - 1904)  
Siostra Miłosierdzia  
c/o. Wnieśliśmy ją do Państwa

Misjonarzy. Stwierdzili oni, że przy grobie Siostry modlą się zarówno katolicy, jak i prawosławni. Prywatny kult s. Marty jest niezwykle żywy.

30 maja 1997 r. ks. kardynał Marian Jaworski otworzył proces beatyfikacyjny Siostry Marty Marii Wiackiej. 9 IV 1999 Kongregacja ds. Świętych w Rzymie wydała dekret dotyczący ważności dochodzenia diecezjalnego. (MW)

➔ Od Bratanicy **ojca Michała Czartoryskiego** otrzymaliśmy dwie książeczki biograficzne, napisane przez dominikańskich współpracowników Błogosławionego:

● o. Maurycy Lucjan Niedziela, *Błogosławiony Ojciec Michał Czartoryski, dominikanin męczennik* (Warszawa 2004) oraz

● o. Zygmunt Mazur, *O. Michał Czartoryski, męczennik i bohater* (Kraków 1994).

Na ich podstawie możliwe było opracowanie *Sylwetki* Ojca Michała, zamieszczonej w poprzednim numerze (CL 1/05). Bardzo za to dziękujemy.

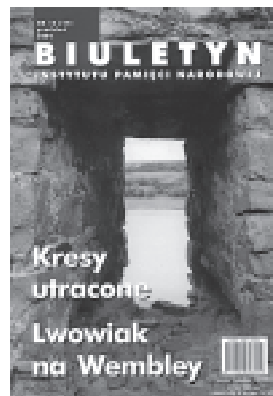
➔ W krakowskim „Dzienniku Polskim” 9/05 znalazła się notatka o perspektywach formalnego **otwarcia Cmentarza Orłąt** pod optymistycznym tytułem: *Lepsza atmosfera*. Na odpowiedź nie trzeba było długo czekać – w numerze 11/05 te same gazety przeczytaliśmy artykuł pod mniej serdecznym tytułem: *Juszczenko nie zmusi Lwowa*. Wypowiada się oczywiście dyrektor cmentarza-muzeum Igor Hawryszkiewicz, który na nowo wytacza kwestie napisów na pylonach (nazwy miejscowości, gdzie były bitwy w 1918 i 1920 r., a to *obraża honor i godność* Ukraińców). Natomiast jakiś przewodniczący komisji, Wasyl Biłous, zauważa, że poruszenie od nowa sprawy Orłąt przez stronę polską wcale nie wiąże się z demokratycznymi zmianami na Ukrainie, lecz... ze zbliżającymi się wyborami w Polsce. I liczenie na Juszczenkę nie ma sensu, bo decydujący głos ma Rada Miejska.

A teraz całkiem inna informacja. Z okazji kwietniowej wizyty w Polsce prezydent Ukrainy W. Juszczenko rozmawiał z A. Kwaśniewskim m.in. o otwarciu Cmentarza Orłąt, które jakoby ma być zdecydowane do końca czerwca – co oznacza, że musi przedstawić radnym Lwowa jakieś nieodparte argumenty. Miejmy nadzieję, że strona

poliska zachowa z tej okazji godność i nie pójdzie na koniunkturalne ustępstwa.

Z ostatniej chwili: wedle wiadomości z dni 10–13 czerwca otwarcie cmentarza Obrońców Lwowa ma się odbyć 24 czerwca.

➔ Numer 12/04 (47) „**Biuletynu Instytutu Pamięci Narodowej**” (grudzień '04) przynosi materiały bardzo nas interesujące. Numer otwiera niezwykle satysfakcjonująca rozmowa z A. Hlebowiczem, T. Łabuszewskim i P. Niwińskim pt. *Kresy utracone* (B. Polak) – o historii, współczesności i ludziach, którzy stoją tam na straży resztek polskości. Bardzo ważny artykuł to *Lwowskie losy abp. Eugeniusza Baziaka* (J. Żurek), który rzeczowo przedstawia lwowski i PRL-owski dramat tego hierarchy. Kolejne ciekawe artykuły to *Osadnicy wojskowi na Kresach* (J.J. Milewski) oraz *Sowieci i Żytmierski a lwowska AK 1944* (T. Balbus). Są też materiały o pisarzach wileńskich, o AK na Grodzieńszczyźnie, wspomnienia nauczycielki z Brześcia n. Bugiem. Numer kończy wspomnienie Kazimierza Górskiego: *Polak na Wembley* (oczywiście o piłce nożnej).



➔ W numerze 1–2/04 „**Biuletynu Federacji Organizacji Polskich nU**” (wydawane go we Lwowie i omawianego przez nas już parę razy), obok bardzo ważnych i ciekawych materiałów dotyczących życia organizacji polskich i Polaków, znalazły się mile dla nas słowa:

Kraków [...]

*Wydawnictwa książkowe, które ukazały się dotychczas, są cennym zapisem historii. Kwartalnik „Cracovia–Leopolis” jest najbardziej poczytnym i cenionym przez nas czasopiśmie o tematyce kresowej, Jest otwarty na wypowiedzi Polaków, mieszkających poza Polską\*. Dzięki temu jest „pełnokrwisty”, bowiem pulsuje w nim odzwierciedlenie życia dnia dzisiejszego [...]*

Biuletyn FOPnU staje się coraz obszerniejszy i – choć zawsze ciekawy – jest coraz ciekawszy, ponieważ wiadomości *biuletynowe* rozrastają się w artykuły, pełne nie



tylko informacji, ale i szerokich omówień, recenzji, komentarzy.

Ostatnio dotarło do nas *Wydanie specjalne 2004* – numer 5/04 (Biuletyn jest w zasadzie kwartalnikiem), przygotowane z okazji V Festiwalu Kultury Polskiej na Ukrainie. W numerze zamieszczono informacje o imprezach festiwalu w wielu miastach tamtego państwa, ale i o samych miastach (które wszak w większości należały kiedyś do I Rzeczypospolitej). Dowiadujemy się ponadto o książkach, zupełnie u nas nieznanych, ale które bardzo by nas interesowały. Przykładem: *Polacy na Podolu* (tom VII wznowionego „Pamiętnika Kijowskiego”); *Ucrainica Polonica o Żytomierszczyźnie*; oraz ks. prof. Romana Dzwonkowskiego: *Mniejszości narodowe a ewangelizacja* (Lublin 2004).

Z innych tematów: ciekawy, lecz smutny artykuł *Zabytek bezpowrotnie stracony. Mariówka – piękna rzeczywistość czy twór pięknej fantazji*. Rzecz dotyczy sanatorium „Maryówka”, które leżało w końcuce pasma Rostocza, między Lwowem a Winnikami (za Czartowską Skalą). Przed parunastu laty wyszło o niej wspomnienie. A dziś nie ma po tym śladu...

---

\* Tu nasza poprawka: nie poza Polską, lecz poza III RP.

➔ Bardzo polecamy **artykuł Tadeusza Tomkiewicza** *Co dalej z Ukrainą*, opublikowany w „Semper Fidelis” 1/05. Przegląd dziejów ziem nazywanych dziś zbiorczo Ukrainą oraz ludów je zamieszkujących, nazywanych różnie – Rusinami lub Ukraińcami, z odniesieniami do współczesności i przyszłości – to problematyka, która ciągle domaga się określenia naszego polskiego widzenia, a także ustosunkowania się do płynących z tamtej strony, czasem groźnych, nonsensów. Autor punktuje je w sposób prawidłowy.

➔ Niedawno – w CL 3/04 (*Naszym zdaniem*) – informowaliśmy Czytelników o produkcji publicystycznej w zakresie *giedroyciologii* niejakiej Izabelli Chruślińskiej, która kontynuuje proukraińską mitologię na łamach „Gazety Wyborczej”. Tym razem, świadoma niedosytu w publicznym odbiorze, przeprowadziła rozmowę z *profesorem*

Jerzym Pomianowskim\*, redaktorem naczelnym miesięcznika „Nową Polską”. Przede wszystkim jest jednak wielbicielem i kontynuatorem **ideologii Jerzego Giedroycia**. A skoro Giedroyc był księciem, to Pomianowski jest jego duchowym *księżycem* (tak kiedyś w Polsce określano księżęcego syna. Można powiedzieć – *księżycem w ostatniej kwadrze*).

W rozmowie z Chruślińską Pomianowski mówi m.in., że: *Na szczęście nikt już w Polsce nie mówi o powrotach, rewanzu i żądaniach terytorialnych wobec Ukrainy. Stanowi to jedyny triumf Jerzego Giedroycia – większość rodaków dała się przekonać, iż należy wyrzec się Wilna, Grodna i Lwowa. Uznano na ogół powszechnie, że w Ukraińcach lepiej mieć sojusznika niż wroga z kompleksem krzywdy, który rzeziąmi odpowiedział na pacyfikację i palenie cerkwi w II Rzeczypospolitej.*

I tu miesza się parę rzeczy. Pierwsza to ta, że takimi słowami usprawiedliwia ów profesor bezprzykładne ludobójstwo na Wołyniu i Małopolsce Wschodniej, bo winę przypisuje Polakom za mityczne pacyfikacje i palenie cerkwi. Czy Chruślińska (nie mówiąc o Pomianowskim) wie, ile tego było? Polecamy poczytanie relacji w literaturze naukowej, a nie propagandowej. Wygodniej – jeśli się stoi na antypolskim stanowisku – przywoływać naprawdę kilka (stosunkowo dość delikatnych) incydentów, zamiast poczytać dzieła różnych Doncowów, którym łatwiej było uderzać w okupowaną Polskę, gdzie żyła ilościowa mniejszość Rusinów-Ukraińców, niż w potężną Rosję, która skutecznie przez 300 lat zrusyfikowała tamtejszą większość. Polska tego nie zrobiła, przeciwnie, zawsze szanowała odrębność kulturową swoich mniejszości (czy warto było? Gdy się czyta te *pomianowsko-chruślińskie* bzdury – różne myśli człowieka nachodzą). A po drugiej wojnie i po drugiej stronie kraju Polacy nie odgrywali się na ekspatriowanych Niemcach, choć mieliby za co – za dokonane przez ich ziomków rzezie i zniszczenia. Była to jednak Europa, a nie dzika Azja.

Druga uwaga to ta, że akceptowanie gwałtu na Polsce przez sowietów w imię interesu powstałego o wiele lat później innego państwa, to co najmniej lekkomyślność (nie mówiąc o braku godności). Dlaczego



ciągle wraca *profesor* Pomianowski do naszych odniesień wobec Lwowa, Wilna czy Grodna\*\*, a nie piętnuje nieustannych wypominków ukraińskich na temat tzw. zakie-rzonii (co za bzdura geograficzno-historycz-na!), Chełmszczyzny, Łemkowszczyzny itd.? Nikt nie zwraca uwagi na te brednie, ale dla higieny psychicznej należałoby jednak o tym nie zapominać.

Czy nie lepiej zakończyć ten *giedroy-ciwosko-pomianowski* bełkot?

\* Nie wiemy gdzie *profesoruje* J. Pomianowski.

\*\* U nas nikt nie nawołuje, by ostrzyć kosy i ru-szać na Kijów.

➔ Dość charakterystyczne **antypolskie wydarzenie** w trójkącie Ukraina–Polska–Norwegia (!) miało miejsce z końcem grud-nia '04. Oto korespondent norweskiej TV na Ukrainie Hans-Wilhelm Steinfeld (czy na-pewno Norweg?) – podczas czatu z inter-nautami wspomniął o *polskich nazistach z regionu Lwowa*. Ktoś z internautów zwró-cił mu uwagę, że to przecież Polacy walczy-li z ukraińskimi nazistami. Otrzymał jednak odpowiedź, że *wśród polskich ekstremistów ze Lwowa w latach 90. [!] wyrosła najbar-dziej radykalna kultura prorasisowska*.

Na protest polskiej ambasady w Oslo norweska telewizja publiczna NRK wyraziła przypuszczenie, że korespondent nawiązał do książki Simona Wiesenthala *Mordercy są wśród nas*, gdzie jest m.in mowa o *ak-cjach przeciw Żydom we Lwowie, prowa-dzonych w latach 30. ubiegłego wieku*. No dobrze, ale po pierwsze studenckie rozróbki antyżydowskie w latach trzydziestych miały miejsce nie tylko we Lwowie, także w innych miastach, np. w Krakowie, ale co mają do tego lata dziewięćdziesiąte? Skąd ten pomysł?

Cóż, może to nie przypadek, że chodzi o korespondenta jeżdżącego na Ukrainę. Może tam się dowiedział o owej *radykalnej kulturze prorasisowskiej*? Czy to nowe flu-idy *pomarańczowej rewolucji*? O pewnych wątpliwościach z nią związanych relacjono-waliśmy już w poprzednim numerze CL. A teraz obserwujemy.

➔ W piśmie „Wspólnota Polska” (Warsza-wa, nr 6/04) znalazł się obszerny artykuł, przedrukowany z krakowskiego Biuletynu

Informacyjnego OOŻ AK OL im. Orłąt Lwow-skich 7/04, pióra B. Tomaszewskiego i J. Węgierskiego pt. **Operacja zbrojna Armii Krajowej – „Burza” we Lwowie**. To ważne, bo pismo WP rozchodzi się wśród Polonii całego świata.

➔ **Po paroletniej przerwie** nadeszły ostat-nio dwa numery „Czasopisma Zakładu Na-rodowego imienia Ossolińskich” – 14 i 15 (Wrocław, 2003 i 2004).

Niestety materiałów związanych z Zie-miami Płd.-Wschodnimi właściwie nie ma – jak dawniej, jeśli nie liczyć biografii i kore-spondencji. W pierwszym znajdujemy wspo-mnienie o Mieczysławie Romanowskim, poecie i powstańcu styczniowym, rodem z Pokucia. W drugim korespondencja dwóch lwowskich poetów współczesnych (lecz nie-żyjących): Tomasza Gluźńskiego i Zbignie-wa Herberta. I to wszystko.

Rozumiemy, że w tych czasach Ossolineum rozszerzyło, a częściowo zmieniło pole swoich zainteresowań, ale aż tak? Przecież do powojen-ego Ossolineum wpływa od lat 60. mnóstwo np. materiałów wspomnieniowych i dokumentów od ludzi ze Wschodu, o czasach przedwojennych, wojennych, ekspatriacji... Czy to nie ważniejsze niż kolejne omawianie np. Romanowskiego, o któ-rym już tyle napisano?

Czasopismo ossolińskie nie było u nas dotąd omawiane. W tym roku musimy to naprawić.

➔ Z „Semper Fidelis” 6/04 dowiedzieliśmy się (*Kronika Kresowa*), że w Stanisławowie powstała kolejna polska organizacja (trzecia? o jakiej orientacji?) pn. *Iwanofrankowskie Obwodowe Polskie Kulturoznawcze Stowa-rzyszenie Stanisławów* oraz że rozpoczęło ono wydawanie dwutygodnika (!) pod tytu-łem nawiązującym do przedwojennej gazety – „**Kurier Stanisławowski**”. Prezesem stowa-rzyszenia i zarazem redaktorem pisma jest niejaki pan Orest Bezzubiak. Dowiedzieliśmy się też o tytułach artykułów, z których rozpo-znaliśmy nasz numer *stanisławowski* – CL 1/ /2000. A kiedy niedawno egzemplarz pisma wreszcie do nas dotarł, okazało się, że rzeczy-wicie, ale ani słowa o źródle, skąd tamte artykuły (wraz z ilustracjami) zaczerpnięto.

Rzecz poważna, bo nie chodzi wszak o mały rysunek – za który my musieliśmy przeproszać krakowskie wydawnictwo (patrz CL 1/05) – lecz

o całą serię artykułów, które zajmują połowę objętości pisma. Reszta to różne wiadomości lokalne.

Przyszłość pokaże, czym będzie to nowe pismo, którego częstotliwość ukazywania się ma być o wiele większa (?) niż innych, okrzepłych już czasopism polskich, wychodzących w tamtym państwie.

➔ W 1. numerze nowego miesięcznika społeczno-kulturalnego „Kraków” (pod redakcją Jana Pieszczachowicza, wychodzi od listopada '04) znalazła się m.in. rozmowa z dr Karoliną Grodziską, historyczką (nb. córką znakomitego profesora UJ, Stanisława Grodzkiego\*), której prace odnoszą się głównie do Krakowa, a w tym – jego nekropolii (w tym zakresie wzbogaca serię, zapoczątkowaną przez prof. S.S. Nicieję o lwowskich cmentarzach).

K. Grodziska wydała ostatnio *Księgę cytatów o Krakowie* (2003), a w planie ma – cytujemy fragment wypowiedzi: *Jeśli chodzi o cytaty, niewątpliwie korcącym tematem jest opracowanie księgi dotyczącej innego polskiego miasta – Lwowa. To miasto utraczone, które budzi niezwykle żywe emocje. Dla cytatów o Lwowie założyłam nową teczkę, która jest już bardzo pękata i zawiera wyjątkowo piękny materiał.* Rozmowa nosi tytuł: **Karolina Grodziska. Czas na Lwów w cytatach.**

Czekamy niecierpliwie, Pani Doktor!

\* Prof. S. Grodziski napisał specjalnie dla nas artykuł *Z lwem w herbie*, zamieszczony w CL 3/96.

➔ Wydawnictwo „Proksenia” (Kraków 2004), specjalizujące się w tematyce turystycznej, wydało m.in. pracę Małgorzaty Lewan pt. **Zarys dziejów turystyki w Polsce.** Pobieżne przejrzenie książeczki skłoniło nas do jej zakupienia i wyeksponowania tego wszystkiego, co wiąże się z Małopolską Wschodnią (albo czego zabrakło). Autorka podzieliła swoje opracowanie na 6 rozdziałów, z czego nas interesują w zasadzie drugi i trzeci. Następne dotyczą tragicznych wydarzeń – także w tej dziedzinie – czasu II wojny światowej, a dalej turystyki w PRL i III Rzeczypospolitej.

Na samym wstępie, w rozdziale I – *Tradycje turystyki* brakuje nam dość istotnego elementu:

wyjazdów „do wód”, co w ubiegłych wiekach wiązało się z niebyle jakimi podróżami. Warto przypomnieć, że jeszcze z końcem XVI w. Wojciech Oczko wymienił w swoich dziełach\* sześć polskich zdrojowisk, cieszących się już wtedy wielką frekwencją: Drużbaki\*\*, Szkoło, Lubień, Iwonicz, Mikulińce i Swoszowice. Zwróćmy uwagę: połowa spośród wymienionych leży w Małopolsce Wschodniej – Szkoło (k. Jaworowa), Lubień (blisko Lwowa), Mikulińce (w Tarnopolskiem). Źródło w Mikulińcach był znany od XIX w. jako Konopkówka\*\*\*. Podróże całymi rodzinami „do wód” – zwłaszcza przed powstaniem kolei, obfitowały w przeżycia turystyczne. Poznawano kraj po drodze, a urozmaicając pobyt w uzdrowisku poznawano okoliczne miasteczka, dziwy przyrody, ruiny zamków. Na to zwracamy uwagę pani autorce.

Rozdział II to *Początki turystyki w Polsce.* Trzeba zauważyć, że autorka wyraźnie preferuje to, co wiąże się z Krakowem i Tatrami, zaniedbując – choć nie pomija – inne miasta i regiony górskie i nie górskie. Tak więc pisząc o Stanisławie Staszycu i jego dziele pt. *O ziemiopółdztwie Karpatów i innych gór i równin Polski* (1815) przywołuje wyłącznie Tatry. A przecież to nie cała prawda, bo to on właśnie jeden z pierwszych odkrywał wschodnie Karpaty, a przed nim jeszcze profesor uniwersytetu lwowskiego Baltazar Hacquet, zaś po nich cała plejada badaczy i literatów przełomu XVIII/XIX wieku, którzy pisali o urodzie tamtejszych gór i huculskim folklorze – z Franciszkiem Karpińskim i Wincentym Polem na czele.

Autorka zapewne o tym nie wie, podobnie – gdy relacjonuje XX-wieczne zainteresowanie górami i folklorem – nic nie pisze np. o „trójce huculskiej”: J. Fałacie, F. Pautschu i W. Jarockim\*\*\*\*, gdy w tatrzańskich kontekstach ich wymienia.

Szczęśliwie wspomina autorka (ale tylko pięć linijek) o Lwowie, pisząc o Akademickim Klubie Turystycznym (1906), a zarazem o Mieczysławie Orłowiczu, Kazimierzu Meyerze oraz Romanie Kordysie. Dalej – prawie wyłącznie o Towarzystwie Tatrzańskim, a dochodząc dopiero do Sekcji Narciarskiej TT, powstałym w latach 1907–11, zauważa, że wcześniej powołano Karpackie Towarzystwo Narciarzy (1906, autorka pisze nieprawidłowo – *Narciarskie*) z siedzibą we Lwowie. O jego licznych oddziałach w Małopolsce Wschodniej ani słowa.

Gdzieś znaleźliśmy zagubione w tekście słowa: *Ruch turystyczny ożywił się w 1894 r.*

przy okazji zwiedzania wystawy rolniczej we Lwowie... Proszę Pani, to była Powszechna Wystawa Krajowa, największa z polskich wystaw przed 1929 rokiem, gdy kolejną PWK zorganizowano w Poznaniu, już w warunkach niepodległości.

Rozdział III to *Turystyka w XX-leciu międzywojennym*. Zwróćmy na samym początku uwagę, że Polska Odrodzona powstała w części po 123 latach zaborów, a w części po 146 latach – bo cała Małopolska, poza samym Krakowem – uległa zniewoleniu w 1772 r.

W książce wspomina się (bez omawiania) o Podolskim Towarzystwie Turystyczno-Krajoznawczym (1925, nie podając, że w Tarnopolu) oraz o Wołyńskim Towarzystwie Krajoznawczym i Opieki nad Zabytkami (1927, nie podając, że w Łucku). Napisało natomiast, że zadaniem obu tych towarzystw była *asymilacja ludności ukraińskiej przez pracę organizacyjną*. To chwalebne, ale na pewno nie tylko po to.

W podrozdziale *Biura Podróży* jako pierwsze (stusznie) wymieniono „Orbis”. Mało o tym wiemy, więc przepisujemy:

*Najstarszym, największym i najbardziej dochodowym biurem podróży działającym na polskim rynku turystycznym w okresie międzywojennym był „Orbis”. Polskie Biuro Podróży „Orbis” powstało we Lwowie w 1920 roku. Do urzędowego rejestru zostało wpisane w 1923 roku, a jego założycielami byli dyrektorzy banku Ernest Adam, Maksymilian Liptay, Józef Radoszewski oraz posłowie: dr Władysław Kesłowicz i hrabia Aleksander Skarbek, a także prawnik Ozjasz Wasser. Ich celem było stworzenie biura podróży o międzynarodowym standardzie obsługi, które byłoby oknem na świat dla odrodzonego państwa polskiego.*

*Do zakresu działań Biura należała sprzedaż biletów, ekspediowanie bagaży, ubezpieczenie bagaży, ubezpieczenia podróży, formalności paszportowe oraz organizowanie turystyki krajowej i zagranicznej. „Orbis” przygotował także różne imprezy oraz popierał turystykę w Polsce i do Polski.*

*W 1933 r. akcje Biura zostały kupione przez bank państwowy PKO, a siedziba przeniesiona do Warszawy. [...]*

*Dopiero w 1937 roku powstała [...] „Gromada” [...] Nawiązywała ona do wcześniejszych działań Sekcji Wycieczek Ludowych*

*przy Krajowym Związku Turystycznym w Krakowie [...].*

A o uzdrowiskach tylko tyle:

*Działający we Lwowie od 1906 roku Związek Uzdrawisk Polskich po zakończeniu I wojny światowej kontynuował działalność, grupując wszystkie uzdrowiska w Polsce. Ich liczba wystarczała, aby mogły stać się „potężną gałęzią przemysłu w gospodarstwie narodowym Polski” [...].*

Dodajmy, że ZUP został w 1925 r. przeniesiony do Warszawy\*\*\*\*\*.

\* *Cieplice* (Kraków 1578) i *Przymiot albo dworska niemoc* (1581).

\*\* Na polskim wówczas Spiszu; od końca XVIII w. w obrębie Węgier, dziś na Słowacji.

\*\*\* Patrz CL 4/02.

\*\*\*\* Patrz CL 3/97.

\*\*\*\*\* Patrz „Semper Fidelis 4/91, A. Chlipalski, *Truskawiec i inne...*

➔ We wstępie do książki J. Skowrońskiego *Dawno temu w Tatrach* (wyd. „Galaktyka”, Łódź 2002) znaleźliśmy ciekawy pasus, który nam nasuwa pewne skojarzenia, niekoniecznie pozytywne.

[...] *Podhale jako region kresowy miało szczególne walory. Z jednej strony – tak jak Kresy Wschodnie – poddane było silnym wpływom obcym. Kulturowo rzecz biorąc, górale podhalańscy niewiele mieli wspólnego z niziną Polską, przynależąc do kręgu wołosko-madziarskiej kultury karpackiej. [...] Jednakże ta inność górali była dla Polaków z nizin sympatyczna – bo węgierska, a więc tradycyjnie przyjazna, nie obciążona, jak w przypadku Kresów Wschodnich, dziedzictwem krwawych i wciąż żywych konfliktów. Co innego zachwycać się zbójnikiem rabującym gdzieś na Węgrzech, a co innego hajdamakiem mordującym „polskich panów”. Górale nie „rżnęli panów” także podczas rabacji 1846 roku – wręcz przeciwnie, zapisali się wówczas udziałem w niewiele znaczącym, ale szlachetnie patriotycznym powstaniu chochołowskim. [...]*

*W sumie więc górale podhalańscy stanowili dla polskiej inteligencji 2. połowy XIX wieku idealny obiekt zycziwego zainteresowania – zarówno ich inność, jak i swojskość były sympatyczne, pozbawione tych przykrych cech, jakie miały zarówno „kozacka”*

*inność kresowa, jak i dość nieprzyjemna wówczas, trochę przyciężka swojskość chłopów z nizin. [...]*

Parę tu nieporozumień, przede wszystkim to, że *inność* górali podhalańskich nie była wcale węgierska – raczej słowacka, choć Słowacja „od początku”, przez wiele wieków, aż do I wojny światowej wchodziła w skład Węgier i ich kulturą była przesycona. Ponadto ta *madziarskość* na Podhalu była mało odczuwalna, pręcej na polskim Spiszu i polskiej Orawie (nawet do dziś!). Jakże łatwo zauważyć np. różnice w architekturze góralskich chałup i kościółków między Podhalem a Spiszem i Orawą!

A co do *hajdamactwa*: od południa mieliśmy europejskich sąsiadów i jeszcze mur Tatr i całych Karpat, a od wschodu... I tak jest też do dziś.

➔ W „Gazecie Polskiej” 3/05 pojawił się artykuł autorstwa K. Hejke – *Sowieckie zaplecze zielonego pośła*, poświęcony postaci i działalności **posta Tadeusza Samborskiego**, do niedawna prezesa Fundacji „Pomoc Polakom na Wschodzie”, powołanej w r. 1992. Samborski – *szara eminencja polskiej polityki wschodniej* – jak pisze o nim autorka artykułu, piastował prezesurę po raz drugi, z przerwą na jedną kadencję, i był już raz dyscyplinarnie zwalniany.

➔ **Pan Józef Wyspiański**, redaktor bardzo przez nas cenionego regionalnego pisma historycznego „Spotkania Świrzan”, nadesłał nam w prezencie ciekawą, napisaną przez siebie książeczkę pt. *Kokardy z powojennych tasiemek*. Tytuł jest dwujęzyczny – ten drugi, pisany cyrylicą, okazał się... macedoński!

Skąd się to wzięło? Oto w późnych latach czterdziestych XX w., wkrótce po II wojnie, pojawili się w Polsce – głównie na tzw. ziemiach odzyskanych – emigranci z Grecji, opuszczając swoje domostwa i małe ojczyzny w trakcie niezwykle skomplikowanych polityczno-wojennych wydarzeń (z pewnością starsi dobrze to pamiętają). Byli między nimi też słowiańscy autochtoni z Macedonii Egejskiej, wchodzącej w skład terytorium Grecji (jej stolicą są Saloniki, drugie po Atenach miasto tego państwa). Większe i mniejsze grupy Macedończyków przybyły

w 1949 r. na Dolny Śląsk. Jedna z nich, kilkudziesięciosobowa, trafiła w rejon Bielawy (na pld. od Wrocławia).

Nieco wcześniej w te same strony przybyli ekspatrianci z Małopolski Wschodniej, w tym także ze Świrza w przemysłańskim powiecie. Zetknięcie się obu grup osiedleńców doprowadziło – tu i w innych okolicach – do wytworzenia się całkiem nowych społeczności lokalnych, utrwalających się także poprzez małżeństwa. Jedną z licznych polsko-macedońskich par są właśnie pp. Józef i Risa z Pandowskich\* Wyspiańscy, dziś już dziadkowie wnukom.

Ogromnie ciekawa jest ta dwunarodowa i już kilkupokoleniowa saga rodzin Wyspiańskich, Żółtańskich i paru innych – ze strony polskiego Świrza, oraz Pandowskich, Gmewskich, Paschu i dalszych – ze strony Breszczeni w Macedonii Egejskiej.

Państwo Wyspiańscy mieszkają dziś w Lubinie, pan Józef uczy fizyki w tamtejszym liceum, a w 1992 r. podjął wydawanie swego pisma, które zawsze z zaciekawieniem czytamy. Panu Józefowi serdecznie dziękujemy.

\* W Macedonii są też stosowane nazwiska z końcówką *-ski*.

➔ W „Tygodniku Powszechnym” **cotygodniowy felieton pisze Stanisław Lem**. W nrze 6/05 (*Wizyta*) opisał swoje spotkanie z Żydem, redaktorem pisma rosyjskojęzycznego w Izraelu, ale pochodzącym ze Lwowa. Rozmowa ciekawa, a wreszcie zeszło na wspomnienia lwowskie. Lem pisze:

*Na koniec rozmowy obaj wyraziliśmy ubolewanie z powodu tego, że Lwów nam zabrano. Mój gość był niedawno w swoim – naszym – rodzinnym mieście i zdumiewał się, jak zupełnie polski duch je opuścił i jak przybysze z Ukrainy nie wiedzą nic o tym, że Polacy tu przez całe wieki pracowali. Oglądając pomnik Mickiewicza pytają, kto to jest. Sic transit gloria mundi.*

*Słyszac to, straciłem zupełnie humor. Najlepiej byłoby nie pamiętać, ale ja o Lwowie zapomnieć nie mogę. Dlatego z mieszczanymi uczuciami czytałem nagłówki prasowe w rodzaju „Lwów wolny”. Juszczenko wydaje mi się bardzo dobrym politykiem, będzie próbował jakoś zabić tę ranę w organizmie Rosji, jaką jest utrata Ukrainy.*



*Czy mu się uda – nie wiem, życzę mu jednak dobrze. Ale od więzów, które mnie ze Lwowem łączą, wyzwolić się nie potrafię. Nigdy już nie zdołam strząsnąć z siebie tej lwowskości ani odżałować miasta, w którym spędziłem dzieciństwo i młodość.*

## Ucrainica

Z kronikarskiego tylko obowiązku notujemy, że w „Polityce” 49/04 (dawno, ale były sympatyczniejsze tematy) znalazły się aż dwa pomarańczowe artykuły Adama Szostkiewicza (dawniej był w „Tygodniku Powszechnym”, widać jednak, że albo p. S. się odmienił, albo oba pisma poddały się *konwergencji*. A chyba jedno i drugie).

Oba teksty – pierwszy o współczesnej historii Ukrainy, drugi o dawniejszych dziejach narodu ukraińskiego (czy raczej narodo?) – są wielkim nieporozumieniem – gdy patrzeć z naszej perspektywy, bo z jakiej mamy patrzeć? Przecież o żadnym *obiektywizmie* nie może być mowy. Autor dość bogato szafuje cytatami, podpira się nawet Janem Widackim (!). Od siebie zauważa, że *zachodni sprzymierzeńcy obozu Juszczenki, w tym Polska, zaciągnęli bar-*

*dzo poważne zobowiązania wobec państwa i narodu ukraińskiego. Ejże, czy może nie odwrotnie?*

Potem jeszcze stwierdza, że rozpad Ukrainy na dwie części *to zaproszenie do trwałej destabilizacji całego naszego regionu, na czym na dłuższą metę nikt nie zyska, za to wszyscy mogą stracić*. Skąd ta pewność, panie autorze? Wypada nieśmiało zwrócić uwagę na rozpad Związku Radzieckiego. Czy m y na tym straciliśmy? A Ukraina nawet zyskała. I niech nikt nie opowiada, że mają tam jeden naród – może doliczylibyśmy się nawet czterech-pięciu, choć używają tylko dwóch języków. A jeszcze przypomnijmy sobie Niemcy i Austrię – jeden język, dwa państwa i chyba dwa narody (oni tak uważają). Jaki jest więc cel i prawo narzucania nam obcych interpretacji?

Drugiego artykułu należałoby jeszcze bardziej *pogratulować* naszemu znawcy, ponieważ ów stawia autora w rządzie znakomitych nazwisk, które gęsto i z aprobatą cytuje: Jarosław Hrycak, Piotr Tyma, Miron Kertyczak, Stepan Rudnycki i jeszcze paru innych. Aż dziwi, że nie pisze *kiryłycią*.

Malwina Piskozub, Marta Walczewska (MW)

## Listy do redakcji



*Pan Jan Wysoki w liście z Londynu nawiązuje do rozważań p. Adama Trojanowskiego w CL 4/04 na temat Góry św. Jacka oraz podaje ciekawe informacje:*

Jako przedwojenny mieszkaniec ul. Oficerskiej 8 podaję, że nasz tylny ogród wychodził na tyły ul. Tarnowskiego i sąsiedował (poniżej poziomu ulicy) z ulicą św. Jacka, która była podstawą Góry św. Jacka. Schodami przy gimnazjum ss. Urszulanek można było skrótem dojść na górną Tarnowskiego i dalej na ulicę Krasińskiego, czyli płaski szczyt góry. Po przeciwnej stronie były cegielnie, graniczące przez pola z ulicą Snopkowską. Później na tyłach ogrodów ss. Urszulanek przebili ul. Hauke-Bosaka, gdzie przedtem była ścieżka, dając skróty do Parku Stryjskiego.

Młodzież z Kolonii Oficerskiej chodziła głównie do III i X budy, gdzie zdałem maturę w 1937 r. Ostatnio umarł pod Londynem inż. J. Stefanicki, jeden z naszej młodzieży. W Londynie zostało nas dwóch i Feliks Godowski (rocznik 1924).

Ciekawostka: ta kolonia była domem 4 generałów, ok. 40 pułkowników i tyluż majorów – wszyscy w stanie spoczynku po maju 1926, prawie wszyscy nagle zostali aresztowani w marcu 1940, a ich rodziny wywiezione na Sybir.

*Dziękujemy! Do innego dramatu czasu wojny na naszych Ziemiach Wschodnich nawiązuje list ze wspomnieniem o zmarłym ostatnio Witoldzie Banasiu, prezesie Ogólnopolskiego Stowarzyszenia „Rodzina Policyjna 1939 r.” w Katowicach. Wspomnienie nadesłane przez p. Grażynę Tęczar, przewodniczącą krakowskiego oddziału Stowarzyszenia, drukujemy w tym numerze.*

*Bardzo miły list nadszedł z Opola od p. Jana Kędzińskiego, którego usatysfak-*



cjonowało hasło *Laszki Murowane* w naszym Słowniku w CL 3/04, ponieważ pochodzi z tej miejscowości i jest jej wielkim patriotą. Zwrócił nam też uwagę na mały błąd: tamtejszy kościół został zamknięty przez sowietów w kwietniu 1946, a nie w 1944 r., jak napisaliśmy – co dla ścisłości historycznej prostujemy. Dziękujemy!

Pan Jan przysłał nam kopie kilku tekstów przez siebie napisanych o Laszkach Murowanych, opublikowanych w *Biuletynie Sambockim* (roczniku) z 1990, 1998 i 2003 r., a ponadto w „Gościu Niedzielnym” 32/99. Czytelnicy pochodzący z mniejszych, mniej opisywanych miejscowości powinni brać przykład z p. Jana Kędzińskiego! Zapisujcie, co pamiętacie.

List z Warszawy, od p. Czesława Krzyszewskiego:

Podczas okupacji sowiecko-niemieckiej byłem członkiem AK, harcmistrzem. Po wkroczeniu do Lwowa w 1944 r. sowietów zostałem aresztowany, osadzony na Łąckiego w więzieniu, zasądzony na 7 lat i wywieziony do łagru w miejscowości Niżnaja Pojma. Miejscowość ta leży koło miasta Kańsk, przy transsyberyjskiej linii kolejowej, w Krasnojarskim Kraju.

Miasto Kańsk, leżące nad rzeką Kan, było jednym z centralnych punktów rozdzielczych więźniów. Formowano tam oddzielne transporty, które kierowano do różnych obozów pracy.

Pierwsze moje wrażenie to ocean lasów, wokół tajga i małe osiedla – osady, w których życie było głównie związane z ochroną i materialnym zabezpieczeniem obozu pracy. Żyli tam ludzie osiedli po odbyciu kary w łagrach, skazani na stałe osiedlenie, bez prawa przemieszczania się.

Nasz łagier stanowił czworobok, na rogach wieże strażnicze. Łagier składał się z 8 drewnianych baraków, kuchni i „bani” – łaźni. W jednym baraku, na spiętrzonych pryzkach, mieściło się 50–60 osób.

W obozie zastaliśmy więźniów Litwinów i Łotyszów. Twierdzili oni, że ten łagier został zbudowany przez polskich oficerów przywiezionych tam w 1939 i 1940 r. Oповідаł mi o tym litewski policjant z Kowna, kaleka o jednej nodze. Nazywaliśmy go „Strelczunas”. W obozie był on kierownikiem łaźni i nie bał się o tym mówić.

Jeżeli ta informacja jest prawdziwa, to być może polscy oficerowie po wybudowaniu tych baraków zostali przetransportowani do innych obozów albo rozstrzelani. Może ta informacja pomoże w badaniu zbrodni stalinowskich.

Bardzo dziękujemy za tę informację. Gdyby wyraził Pan zgodę – wystalibyśmy Pański list do IPN w Warszawie lub Krakowie.

Pisze do nas p. A.C. z Łobzowa:

Byłem niedawno w Kalwarii Zebrzydowskiej i tam na zewnętrznej ścianie sanktuarium oo. Bernardynów ujrzałem tablicę pamiątkową z nazwiskami zakonników zamordowanych w czasie II wojny światowej. Jej zdjęcie załączam. Po prawej stronie tablicy figurują 4 nazwiska zabitych we Fradze i Sokalu.

Wyjaśniam, że wieś Fraga leży między Bóbrką a Rohatynem. 19 lutego 1944 UPA dokonała tam rzezi Polaków. Zginęli mieszkańcy i zakonnicy.

Bardzo dziękujemy. Hasło *Fraga* znajduje się w naszym Słowniku w jednym z najbliższych numerów CL.



## Archiwum

# Lwowscy plastycy przed wojną

*W książce o Marii Jaremie – omawianej w CL 3/03 (w dziale „Wertując wydawnictwa”) – znalazły się m.in. informacje o Lwowskim Zawodowym Związku Artystów Plastyków z lat międzywojennych oraz lista jego członków. Uznaliśmy, że warto pogłębić naszą wiedzę i na ten temat.*

LZZAP ukonstytuował się w dniu 18 XII 1932 roku. W skład Związku weszły cztery istniejące w tym czasie we Lwowie grupy plastyków, a mianowicie: „Artes”, „Anum”, grupa lwowska „Nowa Generacja” i „Związek Dziewięciu Plastyków”.

Pierwszym prezesem był Andrzej Pronaszko, następnie funkcję tę pełnili Ludwik Lille i Władysław Krzyżanowski. Związek od pierwszych chwil swego istnienia czynił energiczne kroki mające na celu pozyskanie własnego lokalu wystawowego. W roku 1933 teatry miejskie użyczyły Związkowi jako lokalu wystawowego kuluarów Teatru Rozmaitości, z których Związek korzystał do ostatnich czasów.

Zarząd prowadził dalej akcję w kierunku uzyskania lokalu, co udało się wreszcie zrealizować dzięki poparciu prezydenta miasta Trojanowskiego. Nowy lokal został uroczystie otwarty 6 X 1935 w gmachu Muzeum Przemysłu Artystycznego od strony ul. Dzie duszyckich. Trzy sale umożliwiały pomieszczenie około 50 obrazów i kilkudziesięciu grafik. Związek w ciągu dwóch lat istnienia zorganizował kilkanaście wystaw.

Dla wyjaśnienia: Teatr Rozmaitości mieścił się przy ul. Rutowskiego (nr ?). Krótka uliczka Dzie duszyckich łączy ulicę Hetmańską i Rutowskiego z prawego boku Muzeum Przemysłowego.

LZZAP trwał do II wojny światowej. W czerwcu zorganizowano I Salon Wiosenny (o działalności LZZAP można też przeczytać w książce P. Łukasiewicza: *Zrzeszenie Artystów Plastyków Artes 1929–1935*).

## CZŁONKOWIE LZZAP

**Axer Otto**, ul. Zielona 57  
Axerowa Bronisława, Zielona 57  
Bieńkowska-Klimkowska Stanisława,  
Lenartowicza 5  
Bogucka Janina, Łąckiego 2  
Breiter Wacław, Zyblikiewicza 38  
Buch Mieczysław, Batorego 12  
**Chwistek Leon**, Tarnowskiego 82  
Epstein Ernest (arch.)  
Frenklówna Elżbieta, Nabelaka 14  
**Hahn Otto**, Sobieskiego 15  
Hordyński Światosław, Listopada 14  
Hawryluk, Nabelaka 39  
**Janisch Jerzy**, Jabłonowskich 34  
Klar Artur, Sapiehy 45  
Kleinman Fryc, Akademicka 7  
**Kocimski Karol** (arch.), Pełczyńska 21  
Kowżun J., Wronowskich 20  
Kramarczyk Stanisław, Grochowska 25  
**Krzywobłocki Aleksander**, Zielona 50  
Krzyżanowski Henryk, Kochanowskiego 25  
**Krzyżanowski Władysław**, Wojciecha 66  
Langerman Henryk, Tarnowskiego 27  
**Lille Ludwik**, Gródecka 47  
Łoboz Antoni (arch.), Gródecka 127  
Łasowski Włodzimierz, Rynek 10  
Malerman, Jagiellońska 11  
Mars Witold, Pełczyńska 37  
Mikula Stanisław, Teatyńska 7  
Muzykowa Jarosława, Czarnieckiego 26  
Osińczuk, Czarnieckiego 26  
Pisiewicz Tadeusz (arch.), pl. Bilczewskiego 6  
**Pronaszko Andrzej**, Sykstuska 35  
Pronaszkowa Irena, Sykstuska 35  
**Sielska Margit**, Nad Jarem 3  
**Sielski Roman**, Nad Jarem 3  
Selzer, Kochanowskiego 11  
**Streng Henryk (Marek Włodarski)**,  
Balonowa 5  
**Radnicki Zygmunt**, Grunwaldzka 6  
Richterówna B., Akademicka 28  
Riemer Aleksander, Paryż  
**Teisseyre Stanisław**, Krasuczyńska 3  
**Tyrowicz Ludwik**, Piekarska 95  
Wasilkowski Eustachy, Ostróg  
Weinberg Eugeniusz, Sykstuska 12  
**Wojciechowski Tadeusz**, Pełczyńska 21  
Wojciechowski Stefan, Pełczyńska 21  
**Wodzicka Maria**, Ziemiałkowskiego 8  
**Wnuk Marian** (rzeźb.), 22 Stycznia 5

Równocześnie do Związku Zawodowego Polskich Artystów Plastyków w Krakowie należeli m.in.:

Boraczok Seweryn, Trembowla  
Lewicki Leopold, Czortków-Wygnanka  
Dolna  
Menkes Zygmunt, Lwów

Niemczewski Marian, Kołomyja,  
Sobieskiego 92  
Strassberg Norbert, Lwów, Brajerowska 6  
Tracz Stanisław (rzeźb.), Kołomyja,  
Sobieskiego 53

Tłustym drukiem wyróżniliśmy nazwiska bardziej znane, w tym takie, które były omawiane w CL.

## NASZE MIASTA



### Zaleszczyki

Pierwotnie osada handlowa (splaw zboża i drewna Dniestrem z Podola nad Morze Czarne), a do takiej funkcji predestynowało ją szczególnie dogodnie położenie na półwyspie – wzmiankowana w XIV w. Miastem stała się dopiero w XVIII w. jako własność króla Stanisława Augusta Poniatowskiego – otrzymując plan regulacyjny zgodny z polską tradycją, stosowaną od średniowiecza: szachownica ulic, prostokątny rynek z ratuszem pośrodku. Również kościół parafialny usytuowano w układzie tradycyjnym – prowadzi do niego ulica z narożnika rynku, jednak rozwiązana w myśl barokowej kompozycji osiowej.

Najciekawsza jest otoczka tego całego dramatu ludzi wysiedlonych. Oto zerwał się w III RP chór „obrońców” narodu przed zakusami „zabużan” (co za idiotyczna, ignorancka nazwa, ukuta przez mędrców z „centrałki”. A my, wschodni Małopolanie, jesteście akurat z tej, nie z tamtej strony Bugu). Publicyści i pożałuj-Boże politycy rozdzierają szaty nad podłością tych właśnie „zabużan”, którzy nie zważając na ciężki stan gospodarki narodowej, „mają czelność” występowania o swoje interesy! „Obrońcy narodu” powołują się na jakieś kruczki prawne typu (bliżej nieokreślonych) powojennych umów republikańskich z Ukrainą, Białorusią czy Rosją, które jakoby nie przyniosły Polsce spodziewanych rekompensat. A co to obchodzi wysiedleńców? Niezałatwione sprawy na szczęblu rządów nie mogą być argumentem przeciw zwykłym, pokrzywdzonym ludziom. I oddawać jest z czego, jak widać.

Przykładem takiego stosunku do sprawy jest wypowiedź jednego z najbardziej obrzydliwych indywiduów III RP, byłego ambasadora na Litwie, Jana Widackiego\*. Postać ta, jak pamiętamy, zasłużyła się jako depolonizator Wilna\*\*, który idąc za wskazaniem rządu w Warszawie kokietował bez miary władze litewskie, pomagając im w spychaniu na margines społeczności polskiej Wilna. Dlaczego więc miałby sprzyjać ekspatriantom?

We wzmiankowanej rozmowie Widacki co prawda teoretycznie nie odmówił „zabużanom” prawa do rekompensaty, ale m.in. wyraził się tak:

*... to nie państwo polskie zabrało im majątki. Ponadto, naprawdę obywatelom nie przystoi cieszyć się [?] z przegranej własnego państwa. Państwo to nie jacyś anonimowi „oni”, ale my wszyscy. Czy naprawdę my wszyscy mamy płacić komuś [!] za to, że ich przodkowie stracili mienie, bo Churchill, Stalin i Roosevelt zmienili granice? Tego rodzaju myślenie i postępowanie też kłóci się z poczuciem sprawiedliwości...*

Trzeba być przewrotnym, zimnym...\*\*\*, by tak stawiać sprawę, bo jest akurat odwrotnie. On dobrze wie, że Polska jako państwo straciła terytorialnie niewiele, a pod względem infrastruktury poniemieckie ziemie zachodnie stały wyżej niż nasze wschodnie (nawet biorąc pod uwagę wojenne zniszczenia). Dobrze wie, ale tego nie podnosi, bo mu nie pasuje. I stosuje chwyt poniżej pasa. To jest po prostu *widactwo*.

A co mu się nie kłóci z poczuciem sprawiedliwości? Na przykład: właściciele kamienic w centrum Krakowa odzyskują teraz swoje kamienice i już usuwają lokatorów, którzy nie są w stanie płacić dużo wyższych czynszów. Ci wyrzucani mieszkańcy to w jakiejś części ekspatrianci, także tacy, którzy swoje zostawili we Lwowie, Tarnopolu czy Stanisławowie, a dziś żyją w blokowych mieszkankach, albo są właśnie wypędzani z kamienic krakowskich posiadaczy. Oczywiście: nie wszyscy ekspatrianci mieli swoje domy, pałace czy gospodarstwa. Tak samo nie mieli ich wszyscy mieszkańcy Krakowa, Poznania, Lublina czy Radomia. Skoro jednak mówimy o własności, to traktujmy ją n a r ó w n i. Nie ma żadnych podstaw rzeczowych ani moralnych, by ją odróżniać.

Warto przypomnieć, że dziś ten sam Widacki jest obrońcą J. Kulczyka w sprawie Orlenu, napomyka się też (w mediach) o innych wyczynach, mamy więc pełny obraz morale działacza – nie jedyne zresztą – stojącego na straży interesów państwa (czy raczej oligarchów?) przeciw najbardziej pokrzywdzonej części narodu. Za to za Kulczykiem. *Pecunia non olet*.

Ktoś powie – no dobrze, ale rzeczywiście kwoty, jakie należałoby wypłacić ekspatriantom za utracone mienie, są w sumie wysokie, zaś to, co zyskał w 1945 roku na bogatych ziemiach zachodnich – zmarnowała komuna. To prawda, ale po komunie jeszcze bardziej zmarnowała nieuczciwa prywatyzacja, na której zbiły fortuny różne indywidua (znamy to dobrze z mediów, nazwisk nie potrzeba wymieniać)\*\*\*\*. ►

- Czy byłoby więc jakieś pozytywne dla expatriantów wyjście? Nie mamy wątpliwości. Wątpimy jedynie w to, czy nasi politycy rodem z „centrałki” zechcą się do tego poważnie zabrać. Gdyby tak odebrać złodziejom zagrabione miliardy, obniżyć nieprawdopodobne zarobki polityków i dyrektorów – różne „odprawy”, „trzynastki” i niezasłużone nagrody, ograniczyć korupcję itd, to znalazłyby się pieniądze i dla pielęgniarek, dla emerytów i dla „zabużan”. Ale tego Widaccy nie biorą pod uwagę, bo lepiej zarobi się na Kulczyku i kulczykopodobnych.

A może i na nich przyjdzie kreska?

---

\* Rozmowa z red. W. Knapem, „Dziennik Polski” 164/04.

\*\* Patrz artykuł *Federacja Organizacji Kresowych* w tym numerze. Warto dodać, że mecenas Widadki jest obecnie honorowym konsulem Litwy w Krakowie. Należało mu się, prawda?

\*\*\* Ewentualne dalsze rzeczowniki lub przymiotniki do uznania Czytelnika.

\*\*\*\* Warto zwrócić uwagę, że narzucające się niektórym porównywanie expatriantów polskich z niemieckimi jest bezprzedmiotowe, bo: po pierwsze – Polska jedną ziemię straciła, inne zyskała, zaś Niemcy tylko utraciły. Po drugie – Niemcy były agresorem, w końcu przegranym, Polska ofiarą, na koniec – choć tylko teoretycznie – wygranym. Wreszcie po trzecie – Niemcy były i są państwem bogatym, więc swoim przesiedleńcom dawno umożliwiły odzyskanie równowagi materialnej. W Polsce tego dotąd nie uczyniono. A że przesiedleńcy niemieccy upominają się dziś o odzyskanie swoich dóbr – czy można się dziwić? To całkiem logiczne. My przecież też o tym myśleliśmy – tylko nie możemy...

Niniejszy numer CRACOVIA-LEOPOLIS został wydany przy pomocy finansowej  
Wydziału Kultury i Dziedzictwa Narodowego Urzędu Miasta Krakowa.

Redakcja składa serdeczne podziękowanie w imieniu Czytelników, Autorów i własnym

---

## Czasopismo Oddziału Krakowskiego Towarzystwa Miłośników Lwowa i Kresów Południowo-WschodnichP

---

Redaguje zespół: Andrzej Chlipalski (redaktor naczelny), Barbara Kościak, Janusz M. Paluch  
Rada Redakcyjna: Andrzej Chlipalski, Barbara Czałczyńska, Ireneusz Kasprzysiak, Barbara Kościak,  
Romana Machowska, Janusz M. Paluch, Krystyna Stafińska, Maria Taszycka,

Danuta Trylska-Siekańska, Marta Walczevska

Adres redakcji: Towarzystwo Miłośników Lwowa i Kresów Południowo-Wschodnich

31-111 Kraków, ul. Piłsudskiego 27

Informacje o prenumeracie: Romana Machowska, tel. (12) 637 13 21

---

Skład i łamanie: FALL, Kraków, tel. (12) 413 35 00, 294 15 28, fall@fall.pl

Druk: Poligrafia Kurii Prowincjalnej Zakonu Pijarów, 31-015 Kraków, ul. Pijarska 2

Nakład 750 egz.

---

Redakcja zastrzega sobie prawo skracania i adiustacji nadesłanych materiałów, a także wprowadzania śródtytułów. Artykułów niezamówionych redakcja nie zwraca.

Copyright by Towarzystwo Miłośników Lwowa i Kresów Południowo-Wschodnich, Oddział w Krakowie

---



Słowo od Redakcji WIDACTWO	II	Monika Agopsowicz, Elżbieta Łysakowska KOBYLEC	34
Felieton Barbara Człczyńska BYŁ Z NAS I DLA NAS	1	Małgorzata Toczowska SOSNOWIEC DAŁ PRZYKŁAD	38
Bogusław S. Kasprówic BIJCIE DZWONY...	1	Sylwetki Grazyna Tęczar PRZYPOMINAŁ O TRAGEDII...	40
Ks. Józef Pyrek REFLEKSJE PIELGRZYMA KRESOWEGO	2	MINISTER Maria Godłowsky Z BRODÓW PRZEZ WARSZAWĘ...	41
Tadeusz Czerny WYKONYWAŁ CZYNY ZWYCZAJNE...	3	Stanisław Leszczyński WSPOMNIENIE O PRZYJACIELU	42
Naszym zdaniem PRAWDA OBOWIĄZUJE WSZYSTKICH	4	Z tamtej strony ŻURAWNO I OKOLICE	43
Piotr Marek Stański PRYWATNE ZBIORY BIBLIOTECZNE...	6	IV SEJMIK FEDERACJI ORGANIZACJI POLSKICH... WYDARZENIA	43 45
Archiwum MUZEUM LUBOMIRSKICH WE LWOWIE	9	Słownik geograficzno- -historyczny Maria Taszycka	
Kazimierz Selda DOKTOR KUBAS	10	OLESKO ♦ SĄSIADOWICE ♦ WOJUTYCZE	45
Archiwum NASZE HARCERSTWO	11	Naszym zdaniem TAK CZY NIE	46
Zdzisław Żygulski jun. ZE LWOWA DO CHICAGO	12	W Krakowie i dalej DZIEŃ PAMIĘCI NARODOWEJ... KRESY WSCHODNIE W KRWI... NOTATKI	47 47 48
Rozmowy Andrzej Chlipalski ROZMOWA Z J. WASYLKOWSKIM	15	Polacy z Polakami DO ZABŁOTOWA... DO ZAPAMIĘTANIA	50 51
Naszym zdaniem PRZYPOMINAMY...	19	Kultura ♦ Nauka 75 LAT LWOWSKIEGO RADIA Andrzej Pawłowski STULECIE LWOWSKIEJ POGONI...	52 52
Poezja Krzysztof Kołtun SOKALSKA POCIESZYCIELKA ROZSTRZELANY KOŚCIÓŁ	20	Marta Walczewska MRĄGOWO JAK CO ROKU KRONIKA	53 54
Wspomnienie Alina Dawidowiczowa O LWOWIE, O DOMU, O SOBIE	21	Książki ♦ Czasopisma DWA GŁOSY O ENCYKLOPEDII KRESÓW	56
Archiwum NASZE KLIMATY	23	NOWE KSIĄŻKI Z GÓRNEJ PÓŁKI WERTUJĄC WYDAWNICTWA	59 67 69
Wspomnienie Adam Trojanowski MOJA LWOWSKA EDUKACJA (2)	24	Listy	76
Tadeusz Olszański WĘGRZY W STANISŁAWOWIE	27	Archiwum LWOWSCY PLASTYCY...	78
Nasze zabytki MAGNUS ♦ KASA	33	Nasze miasta ZALESZCZYKI	79